TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 16 – 22 września 2026 | nr 38 (4028)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI

PIT-u, PIT-u, czyli co nie gra w podatkach

AfD i scenariusze dla Niemiec

Amerykańskie zetki nie wierzą w Trumpa

Dlaczego niewinni przyznają się do winy

Jak zadebiutować po osiemdziesiątce

NAKRĘCENI AGRESJĄ

NIE MA TYGODNIA BEZ LINCZU. TOMASZ STAWISZYŃSKI O MECHANIZMACH NASZEJ PRZEMOCY

STR. 10-14



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl ed1902df8f

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKIE CENTRUM NAUKI COGITEON
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

Małopolska Noc Naukowców

20. EDYCJA



From !Wow to Why?

NAUKOWE PODRÓŻE

ODKRYWAJ. EKSPERYMENTUJ. INSPIRUJ SIĘ.

25 września 2026

ZOBACZ PROGRAM NA

www.nocnaukowcow.malopolska.pl

Zaprasza Łukasz Smółka
MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

REKLAMA

Koordynator:
MAŁOPOLSKIE CENTRUM NAUKI COGITEON
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

Patronat honorowy:
MAŁOPOLSKA
Łukasz Smółka
MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

Patroni medialni:
onet, Tygodnik Powszechny, TVP I info_, 65 TVP3 Kraków, Gazeta Krakowska, Nauka w Polsce, Radio ESKA, ESKA 2, LoveKraków, CzasDzieci, dlaStudenta.pl, MALOPOLSKAONLINE

eprasa.pl ed1902df8f

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, JACEK STAWISKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 W Bramie Łez
MAREK KĘSKRAWIEC

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 PIT-u, PIT-u
ROZMOWA Z WOJCIECHEM PACZOSEM, EKONOMISTĄ: *Polska opowieść o reformie podatków od lat sprowadza się do propozycji: zapłać więcej, by pomóc biedniejszym*

20 Nie muszą cierpieć
DOROTA ROMANOWSKA: *Ból utrudnia zdrowienie i może odbić się na psychice dziecka. Dlaczego tak rzadko jest leczony?*

23 Szkoła mniej niż średnia
ROZMOWA Z PROF. KRZYSZTOFEM BIEDRZYCKIM, BADACZEM EDUKACJI: *Badania PISA pokazują, że co czwarty polski nastolatek, zwykle uczeń szkoły branżowej, nie rozumie prostych tekstów*

25 Republika Hałdy
ZBIGNIEW ROKITA: *Gdyby Heraklit zamiast w Efezie urodził się w Radlinie, powiedziałby, że nie da się wejść dwa razy na tę samą hałdę. I miałby słuszność*

■ ■ ŚWIAT

28 Przepowiednia dla Niemiec
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA: *Czy przejęcie władzy przez AfD w Berlinie to tylko kwestia czasu?*

32 Dług na osiemnastkę
MARTA ZDZIEBORSKA: *Amerykanie z pokolenia Zet coraz rzadziej wierzą, że osiągną w życiu sukces i stabilność finansową*

35 Tarcza i pułapka
IGOR KUŚMIERSKI: *Kim są Irańczycy wyznania mojżeszowego?*

■ ■ WIARA

42 Wojna i mir
ROZMOWA Z LUCY ASH, BYŁĄ KORESPONDENTKĄ BBC W MOSKWIE: *Rosja musi wziąć odpowiedzialność za to, że pod sztandarem religii najechała sąsiada*

46 Barbarzyńcy u bram
O. KASPER KAPROŃ OFM: *Czy w imię obrony chrześcijańskiej Europy mamy przestać zachowywać się jak chrześcijanie?*

48 Nie tak pusto, jak mówiono
KAZIMIERZ BEM: *Kościoły ewangelickie na Ziemiach Zachodnich nie „opustoszały" same. Luteranów wyrzucali z nich katolicy*

NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA

10
Nakręceni agresją
TOMASZ STAWISZYŃSKI

Nie zasilajmy potoku nienawiści i pogardy, bo prędzej czy później nas porwie. Nawet jeśli przez chwilę czujemy się jak uczeń czarownika, ukojenie z tym związane jest wyłącznie wirtualne.



■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ *o politykach na stołówce*

27 OLGA DRENDA *o wyższości skejtów*

41 WOJCIECH BONOWICZ *o bombach, których nie słychać*

76 PAWEŁ BRAVO *o dobrej fasoli*

82 TOMASZ STAWISZYŃSKI *o tym, że nadejdą czasy dla pisarzy*

ILUSTRACJA NA OKŁADCE: NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

REDAKTORKA PROWADZĄCA: ANNA GOC

51 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

54 Człowiek między archiwami
RUSŁANA MARTSENIUK: *W międzywojennej Polsce Franciszek Bała czuwał nad pamięcią Torunia jako jego wiceprezydent. Po 1939 r. zniknął w wojennej zawierusze*

57 Andaluzja kiedyś i dziś
PATRYCJA BUKALSKA

■ ■ NAUKA

58 Moja bardzo wielka niewinność
KAJA GŁOMB: *Stosowane przez śledczych agresywne techniki przesłuchań sprawiają, że podejrzani czasem przyznają się do zbrodni, których nie popełnili*

■ ■ KULTURA

62 Kiedy byłam nieodkrytą pisarką



HEATHCLIFF O'MALLEY

ROZMOWA Z JANE CAMPBELL, PISARKĄ: *Mam 84 lata. Może jeszcze nie miałam najszczęśliwszego dnia w życiu?*

66 Lek na samotność
MARTYNA LESZCZYŃSKA: *Tegoroczna trasa koncertowa Shakiry już pobiła rekord Guinnessa*

69 Botanika duszy
PIOTR KOSIEWSKI: *Czeski spirytualizm to jedno z najciekawszych zjawisk przełomu XIX i XX w. Wystawa w Muzeum Śląskim przybliża sztukę, która była z nim związana*

72 Polski monument man
ROZMOWA Z TOMASZEM SIEWIERSKIM *o biografii Karola Estreichera*

74 Nioska na gigancie
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Kura" Györga Pálfiego*

75 Kronika zachwytów
LEKTOR *o książce Jerzego Illga „Zjazd do zajezdni"*

■ ■ ZMYSŁY

78 W obronie nieprzejrzystości
CVETA DIMITROVA: *Camus i Ozon stawiają w „Obcym" pytania bez odpowiedzi. To wywołuje dyskomfort, którego źródłom warto się przyjrzeć*

eprasa.pl ed1902df8f

KS. ADAM

Boniecki: *Gdy się człowiek robi starszy*

Zacytowany w tytule wierszyk dopowiada: „gdy się człowiek robi starszy, wszystko w nim powoli parszy – wieje...” – jednak (na szczęście) nie zawsze to zdanie bywa prawdziwe. Wystarczy przeczytać wspaniałą rozmowę Justyny Dąbrowskiej z Jane Campbell – psychoterapeutką, która po osiemdziesiątce wydała swoją pierwszą książkę prozatorską i która nie narzeka na zdrowie, podróżuje, robi plany, cieszy się życiem.

Oczywiście nie zawsze tak bywa. Czasem starość przychodzi nagle. Długo udajemy, że nic się nie zmieniło, że jesteśmy tacy, jak byliśmy, aż do chwili, kiedy trudno albo wręcz nie da się udawać, że z nami wszystko jest tak, jak zawsze było.

Przybiera to rozmaitą formę. Biorą się za nas lekarze, bliscy i znajomi twierdzą, że jest jak dawniej, choć my doskonale wiemy, że nie jest. Istniejemy i z tym istnieniem trzeba jakoś sensownie
nie tylko trwać, ale iść w przyszłość, czyli ku bardziej lub mniej odległej, lecz niewątpliwie niedalekiej śmierci. Choć nie zawsze to łatwo przychodzi, warto zdać sobie z tego sprawę.

Są ludzie, którzy się poddają. Może sprzyja temu dominujące wcześniej w ich życiu nakierowanie na dążenie do jakiejś korzyści, zysku. Mówią o tym na łożu śmierci. Poddają się z konieczności, przegrywają z przemożną siłą starości z musu, nigdy niepogodzeni z koniecznością odejścia.

Są i tacy, których zaskakuje ich stan i to, że życie bez nich toczy się dalej. Nie to, że przeceniali swoją rolę, ale przyzwyczaili się być potrzebni i ważni.



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA

JACEK

Stawiski: *Wojenna przestroga*

Monachium 1938. Wielka Brytania i Francja przystały na żądania Hitlera, aby Czechosłowacja odstąpiła III Rzeszy tereny w większości zamieszkałe przez Niemców. Praga przyjęła dyktat monachijski, w rozpaczliwej próbie utrzymania państwa. Kilka miesięcy później wojska nazistowskich Niemiec wkroczyły do osłabionej Czechosłowacji. Niecały rok po Monachium Niemcy wspólnie ze Związkiem Sowieckim zniszczyły Polskę.

Monachijska ugoda z dyktatorem nazistowskim przeszła do historii jako najbardziej jaskrawy przejaw ustępstw wobec apetytów Hitlera. Churchill otwarcie przestrzegał: „Nasz rząd miał do wyboru hańbę lub wojnę. Wybrał hańbę, ale wojny nie uniknie”.

Wielu pomyśli, że to nie te proporcje. Że nie można w jednym komentarzu łączyć kryzysów i wojen wywołanych przez III Rzeszę z wojną putinowskiej Rosji przeciwko Ukrainie. Znam te proporcje i rozumiem, że trzeba je zachować. Spójrzmy jednak na uderzające podobieństwo mechanizmów.

Wysłannik Białego Domu Jared Kushner otwarcie mówi o tym,

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 53

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl ed1902df8f

Widok spraw, które kiedyś od nich zależały, a dziś płyną nowym nurtem, może rodzić frustrację.

I są wreszcie tacy, którzy nigdy nie mieli poczucia, że od nich cokolwiek naprawdę zależy. Dobrzy, „zwykli" ludzie. Koniec pracy zawodowej jest zamknięciem aktywnego obszaru życia. Ciekawe, co teraz wypełnia ich czas, i smutne, jeżeli nic go nie wypełnia.

Przychodzi, w każdym razie może przyjść, taki moment, że w pamięci zrobią się dziury, że przemieszczanie się stanie się prawdziwym kłopotem, że sprawy, które nieuchronnie cię poruszały, dziś przestały robić na tobie wrażenie. Nadrabiasz miną, bierzesz udział, w czym możesz, i nie jest to udawanie, choć zaangażowanie siłą rzeczy jest inne, niż było kiedyś. To, co dziś naprawdę cię interesuje, to bytowanie „po tamtej stronie", jakieś wieści na ten temat, jeśli można prosić, to wprost z nieba.

Wspaniała jest pani Campbell i jej sposób przeżywania starości, najgorsze jest bowiem kapitulowanie przed tym, co przynosi długowieczność. Nie każdy musi być pisarzem, ale każdy może żyć tym, co dla niego naprawdę ważne. Owszem, dla jednych może to być pisanie, ale z tym radzę uważać. Ważne może być zajmowanie się wnukami, robienie weków, porządkowanie papierów czy – jak niczego innego już nie można – spotkania i rozmowy z ludźmi, dla których wcześniej nie miało się czasu ani głowy.

Pozostaje problem samotności. Często nieuniknionej, bo wszyscy, którzy byli bliscy, umarli. Nie rozwodzę się nad budowaniem bliskości, bo to sprawa całego życia, nie ostatniego etapu. W każdym razie samotność to problem. Modlitwa? Oczywiście, ale czy modlitwa wypełni życie? Czy każdego?

Starość to jest nowy etap życia. Ważny. Trzeba dołożyć starań, żeby go nie zmarnować. Jak to zrobić? Nie wiem, czy istnieje uniwersalna odpowiedź. Jak będę wiedział, to napiszę. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

że Ukraina nie godzi się na żądania terytorialne Kremla, co stanowi przeszkodę na drodze do... No właśnie, do czego? Kushner kreśli miraże o powojennej rzeczywistości, w której Stany Zjednoczone i Rosja wspólnie korzystają z nowych możliwości współpracy gospodarczej. Świetlane możliwości, gdyby tylko Ukraina zgodziła się oddać Moskwie terytoria, których heroicznie broni armia ukraińska.

Zimno się robi na myśl, że reprezentant Waszyngtonu nie odnosi się w ogóle do żądań Kremla, który chce zmienić Ukrainę w państwo uzależnione od Moskwy na wzór współczesnej Białorusi. Kushner udaje, że tego nie słyszy, Ukraińcy słyszą i wiedzą, że kapitulacja w terenie to ledwie wstęp do likwidacji ich państwa. Tak właśnie było po Monachium. Nie chodziło jedynie o Sudety. Chodziło o likwidację Czechosłowacji i osaczenie Polski.

Na koniec sam Donald Trump żąda, by Ukraina nie atakowała rosyjskich rafinerii i oskarża ją o spowodowanie kryzysu na rynku paliw. Od Rosji Trump i Kushner nie domagają się niczego.

Wojna stanęła znowu u polskich granic. Rosjanie atakowali pociąg z Kijowa do Warszawy. I jak tu nie myśleć o monachijskiej przestrodze? ©℗

Jacek Stawiski, dziennikarz i historyk, jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Powszechnego"

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Jak pokochali Mentzena i Zandberga? Czemu idą do wyborów, skoro nie ufają demokracji? Dlaczego dają się kiwać algorytmom i teoriom spiskowym? Po starcie roku szkolnego i przed inauguracją akademickiego prześwietlamy poglądy zetek.

MALWINA TALIK
Od ponad 70 lat Austria jest neutralna i większości obywateli to odpowiada. Tylko czy w Europie jest dziś miejsce na neutralność? I co zrobią Austriacy, jeśli Rosja zaatakuje Polskę? Nasza autorka pyta o to w Wiedniu.



DOMENA PUBLICZNA

PROF. GUILLAUME CUCHET
Do jakiej Francji jedzie papież? Choć rośnie liczba chrztów osób dorosłych, katolicyzm staje się religią mniejszości. Ponad połowa Francuzów nie przyznaje się do żadnej religii.

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl ed1902df8f

OBRAZ TYGODNIA

7–13 WRZEŚNIA 2026

ESKALACJA DZIAŁAŃ KREMLA w wojnie z Ukrainą dotyka także Polskę: rosyjskie drony odrzutowe uderzyły w okolice przejść granicznych z naszym krajem (podobny scenariusz Moskwa realizowała wcześniej przy granicy z Mołdawią). Na Ukrainie jeden z bezzałogowców trafił w lokomotywę pociągu Kijów-Warszawa, zbombardowano także zakład należący do polskiej grupy Cersanit; w Polsce poderwano myśliwce, a służby ostrzegały mieszkańców rejonów przygranicznych przed zagrożeniem. ■■■ **SAMOLOT** prezydenta Zełenskiego został niemal trafiony przez drona podczas startu z Mołdawii; ukraiński przywódca leciał do Oslo na pogrzeb króla Norwegii Haralda V. ■■■ **NA LITWIE** w związku z doniesieniami o możliwym pojawieniu się drona wstrzymano pracę lotniska w Wilnie, a NATO poderwało myśliwiec stacjonujący w Szawlach. ■■■ **DODATKOWE** 6,1 mld euro na zakup uzbrojenia dla Ukrainy (m.in. amerykańskich pocisków PAC-3 do systemów Patriot) zatwierdziła Komisja Europejska. ■■■ **TRUMP** oczekuje, że Ukraina przestanie atakować rosyjskie instalacje i zasoby oleju napędowego, sugerując, że to jej działania są odpowiedzialne za wzrost światowych cen ropy. Prezydent USA mówi też, że odbył „świetną" rozmowę z Putinem, który „chce zawrzeć układ". ■■■ **CENY ROPY** tymczasem rosną nie tylko z powodu utrzymujących się niepokojów wokół cieśniny Ormuz, ale też po wstrzymaniu pracy strategicznego ropociągu przez Arabię Saudyjską, który stał się celem sprzymierzonych z Iranem jemeńskich partyzantów Huti, w wyniku ostatniej ofensywy zwiększających również kontrolę nad wybrzeżem Morza Czerwonego i cieśniną Bab al-Mandab. ■■■ **NA KONWENCJI REPUBLIKANÓW** w Dallas Trump obiecał każdemu dorosłemu Amerykaninowi 5 tys. dolarów „dywidendy", jeśli jego partia utrzyma władzę w Kongresie. ■■■ **DARIO AMODEI**, dyrektor generalny zajmującej się AI firmy Anthropic, zaapelował o natychmiastowe spowolnienie rozwoju sztucznej inteligencji. Twierdzi, że w przeciwnym razie niekontrolowane agenty AI mogą w perspektywie najbliższych miesięcy doprowadzić do poważnych szkód, np. przejąć kontrolę nad znaczną częścią internetu. ■■■ **NAJGORĘTSZY SIERPIEŃ** w historii pomiarów: średnia globalna temperatura wyniosła 16,96 stopni Celsjusza – poinformował europejski program obserwacji Ziemi Copernicus. ■■■ **ANDRZEJ POCZOBUT**, zwolniony w kwietniu z białoruskiego więzienia działacz tamtejszego Związku Polaków i dziennikarz, po kilkumiesięcznym pobycie w Polsce wrócił do ojczyzny. ■■■ **DWUNASTOGODZINNY PROTEST** maszynistów doprowadził do opóźnień ponad tysiąca polskich pociągów. Po niedawnym wypadku na przejeździe kolejowo-drogowym w Sokolnikach Suchych, maszyniści zwalniali na przejazdach do tzw. bezpiecznej prędkości 20 km/h. ■■■ **ZMARŁA** 102-letnia Barbara Tokarska (z domu Tyszkiewicz), w powstaniu warszawskim sanitariuszka służąca na Mokotowie. ■■■ **W MUZEUM BRYTYJSKIM** w Londynie tłumy zwiedzających podziwiają Tkaninę z Bayeux, wypożyczone z Francji 70-metrowe średniowieczne dzieło przedstawiające m.in. bitwę pod Hastings. ©℗



MOHAMMED HAMOUD / GETTY IMAGES

POWYŻEJ: Huti w Sanie świętują zdobycie portu w Mokce i cieśniny Bab al-Mandab. Jemen, 11 września 2026 r.

W BRAMIE ŁEZ

Jeśli na Bliskim Wschodzie nie dojdzie do szybkiej deeskalacji, za benzynę na stacjach paliw zapłacimy 9, a może nawet 10 zł. Chwilę później wyższe ceny ujrzymy również w sklepach.

MAREK KĘSKRAWIEC

Każdy z nas będzie musiał ponieść osobiste koszty wojny USA oraz Izraela z Iranem, która miała rzekomo uniemożliwić ajatollahom zdobycie broni jądrowej. Co prawda przekonania Donalda Trumpa nigdy nie wspierały dowody jego własnych służb wywiadowczych, ale dziś nie ma to już znaczenia. Wojna weszła na kolejny poziom: jemeńscy Huti na prośbę Iranu zajęli właśnie strategiczne fragmenty wybrzeża Morza Czerwonego, a eksport ropy

eprasa.pl ed1902df8f



Upokorzeni Saudowie

UKŁAD SIŁ ▪ Jemeńscy Huti to związany z Iranem szyicki ruch religijno-polityczno-wojskowy, który od 12 lat zajmuje dużą część kraju wraz ze stolicą w Sanie. Znany jest z wrogiego stosunku do monarchii arabskich oraz buntowania ich ludności, często niechętnej nieprzyzwoicie bogatym i brutalnym emirom.

Zaskakująca ofensywa Hutich, którzy teraz w ciągu trzech dni zajęli wschodnie wybrzeża Morza Czerwonego, wraz z kluczowym portem Mokka, strategiczną Bramą Łez i leżącą w tej cieśninie wyspą Perim – to klęska dawnego porządku na Półwyspie Arabskim.

Monarchia Saudów przez lata zbroiła i szkoliła jemeńskie wojska rządowe i oddziały plemienne, które dziś niemal bez walki porzuciły drogi amerykański sprzęt i zdezerterowały przed oddziałami na terenowych Toyotach, uzbrojonymi w karabiny.

Specyfiką Jemenu jest silnie zakorzenione wśród Arabów przekonanie, że kraj ten jest kolebką ich cywilizacji. Na to, co dzieje się w Jemenie, patrzą więc podwójnie uważnie.

z Arabii Saudyjskiej został sparaliżowany. To może mieć katastrofalne skutki dla świata.

CIEŚNINY | Słynna już cieśnina Ormuz, a także Bab al-Mandab (Brama Łez, łącząca Morze Czerwone z Oceanem Indyjskim) to dwa wąskie gardła, odpowiadające za mniej więcej 30 proc. transportu ropy i całego światowego handlu morskiego. Także za dostawy skroplonego gazu ziemnego, kluczowego dla wielu państw, oraz nawozów. Jeśli Huti utrzymają swe zdobycze (o ich ofensywie piszemy w ramce), to statki płynące dziś między Azją a Europą przez Kanał Sueski mogą być zmuszone do zmiany kursu: będą płynąć naokoło Afryki. Co prawda na razie Huti zapowiedzieli blokadę wyłącznie transportów saudyjskich, ale już to oznacza ogromne tąpnięcie dla światowej gospodarki.

Arabia Saudyjska to największy eksporter ropy na świecie, odpowiadający również za połowę dostaw do Polski. Mamy oczywiście możliwość sprowadzenia surowca z innych kierunków, ale musimy się po niego ustawić w kolejce z innymi państwami – i zapłacić dużo wyższą cenę; baryłka kosztuje dziś ponad 100 dolarów.

RUROCIĄG | Wcześniej tłoczył on codziennie 5 mln baryłek saudyjskiej ropy do portu w Janbu, co pozwalało ominąć sparaliżowany Ormuz (dziś przepływa tamtędy kilkanaście tankowców dziennie, gdy przed atakiem Trumpa i Netanjahu na Iran było ich średnio 130). Teraz ten kluczowy saudyjski rurociąg został wyłączony z użytku, a to za sprawą dronów wysłanych przez proirańskie milicje z Iraku. Zniszczyły one m.in. dwie przepompownie i nie wiadomo, jak długo potrwa ich naprawa. Zresztą to i tak nie ma większego znaczenia: nawet naprawiony, rurociąg byłby podatny na powtórne ataki.

Wedle poważnych amerykańskich mediów, książę saudyjski Mohammed bin Salman dwukrotnie prosił o pomoc militarną Trumpa, ale spotkał się z odmową. To oczywiście może się zmienić, jednak nie wiadomo, czy rozwiąże problem, czy go zaostrzy. Raz zajętego terytorium partyzanci Huti łatwo nie oddadzą: można ich co prawda paraliżować z powietrza, ale to nie oznacza odzyskania kontroli nad Bramą Łez ani tym bardziej bezpieczeństwa transportów, zagrożonych przez drony, artylerię i różne rodzaje rakiet, jakimi dysponują Huti.

ZAGADKA | Łatwość, z jaką Huti zajęli ten strategiczny obszar, to kompromitacja dla Arabii Saudyjskiej. Okazało się, że w starciu ze zdeterminowanym przeciwnikiem wojsko kontraktowe nie jest w stanie stawić nawet krótkiego oporu. Zwłaszcza że część uzbrajanych przez Saudów wojsk jemeńskiego rządu istniała tylko na papierze, głównie po to, by za „martwe dusze" dowódcy mogli pobierać żołd. Nie wiadomo też, czy nowoczesna armia saudyjska sama dałaby radę wspieranym przez Teheran Hutim – nie ma ona praktycznie doświadczenia bojowego.

Na tę zagadkę nakłada się nieprzewidywalna postawa Trumpa, któremu co prawda udało się skutecznie wpędzić Iran w głęboki kryzys gospodarczy, ale nic nie wróży, by ten kraj, doświadczony dziesiątkami lat sankcji, miał się załamać. Nie stało się tak tuż po zabiciu na początku wojny niemal całego kierownictwa islamskiej republiki; również dziś władze w Teheranie nie wysyłają żadnych spolegliwych komunikatów.

PERSPEKTYWY | Wojna w Zatoce Perskiej zaczęła się ponad pół roku temu i wciąż daleko do jej końca. Ostatnia eskalacja przyniosła zniszczenie przez armię USA kilku irańskich tankowców oraz atak rakiet balistycznych Iranu na bazy USA w regionie, głównie na Al Azrak w Jordanii, gdzie stacjonują nowoczesne myśliwce. Straty nie są znane, ale wiadomo, że dla odparcia ataku użyto w ciągu jednej doby co najmniej 60 pocisków z wyrzutni Patriot. To powinno martwić zwłaszcza Polskę, zagrożoną coraz większymi opóźnieniami w dostawach tego niezbędnego dla naszej armii sprzętu.

Państwa arabskie Zatoki mają coraz silniejsze poczucie, że w przeszłości zapłaciły Amerykanom miliardy za broń i ochronę, która okazała się dziurawa i nie osłoniła instalacji naftowych rażonych przez Iran. Nawet Zjednoczone Emiraty Arabskie, które wcześniej opowiadały się za jastrzębim podejściem do Teheranu, na marginesie ostatniego szczytu BRICS w Delhi nawiązały kontakty z wrogiem i dziś wspólnie apelują o deeskalację.

Nie oznacza to jeszcze klęski Stanów w regionie. Ale koniec ich hegemonii i chaos w światowej gospodarce – na pewno. W tym kontekście Trump, domagający się od Ukrainy wstrzymania ataków na rosyjskie rafinerie, bo rzekomo „ranią one świat", powinien najpierw spojrzeć w lustro. ©℗

eprasa.pl ed1902df8f



Fasola z kaszą

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

W polskich szkołach od nowego roku szkolnego obowiązują nowe zasady żywienia. Nawiązują do „diety planetarnej" – zaleceń godzących wyżywienie świata ze zrównoważonym wpływem na środowisko i zdrowie. Jadłospis ma w tygodniu zawierać dwa posiłki mięsne, jeden rybny oraz jeden na bazie nasion roślin strączkowych bez dodatków odzwierzęcych. Rozporządzenie wprowadza też restrykcje na cukier, sól i tłuszcz oraz na automaty z batonami i chipsami. To dobre regulacje, strategicznie ważne dla zdrowia publicznego: zdrowia dzieci tu i teraz oraz prewencji w chorób sercowo-naczyniowych czy nowotworowych. Ostatni dzwonek w kraju, w którym co trzecie dziecko w wieku wczesnoszkolnym ma nadwagę, z czego połowa jest otyła. Jedną szansę już straciliśmy: przed dekadą wyśmiewanemu „rozporządzeniu sklepikowemu" rządu Ewy Kopacz wybił zęby rząd Beaty Szydło. Rodziły się wtedy dzieci, które dziś tyją najszybciej w Europie.

A jednak o mięso i strączki wybuchła internetowo-polityczna awantura. Mateusz Morawiecki wyśmiewał na X „fasolę z kaszą", choć ograniczenie czerwonego i przetworzonego mięsa zalecają eksperci od WHO po Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego PZH. Ale w tym sporze jakby nie o meritum chodzi, a „dieta planetarna" kojarzy się z czymś kosmopolitycznym, z gruntu niepolskim. Tak jakby Polska była na innej planecie.

Owszem, na trochę innej planecie żyją nasi politycy. Tam horyzont zdarzeń sięga najwyżej końca kadencji, więc debatę nad wymagającą długotrwałej i złożonej pracy budową konsekwentnego systemu żywieniowego i sensownych regulacji – za niedopilnowanie czego wszyscy już płacimy, a zapłacimy jeszcze więcej, w zdrowiu i żywym pieniądzu – sprowadza się do pyskówki, inby i twittów. A z drugiej strony – do decyzji na papierze, którymi można wprawdzie pochwalić się wyborcom, ale same nic nie zdziałają. Tymczasem, jak wynika z publikowanej w „TP" rozmowy z Martą Dymek-Boniecką (czytaj na: tyg-pow.pl/stolowka), której Fundacja Jadłonomia chce wspomagać szkoły we wdrażaniu zdrowego odżywiania, placówki oświatowe poczuły, że zostały z tym rozporządzeniem same. Wydano je 16 lutego 2026 r., do wdrożenia 1 września. Kto przebuduje system żywienia w sześć i pół miesiąca, w tym dwa wakacyjne? Za rozporządzeniem poszły szkolenia, ale co z budżetem na wyposażenie i personel? W efekcie niektóre stołówki w poczuciu bezradności faktycznie mogą poprzestać na fasoli z kaszą.

Kształtowanie nawyków żywieniowych to długotrwałe i interdyscyplinarne przedsięwzięcie. Wpływa na nie tak szkolny jadłospis, jak wzorce z domu i z reklam, tak prawo, jak systemy wartości.

Oczywiście, znacznie prościej będzie wybić kolejnej regulacji zęby. ©℗



ANNA KRASKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

Od 1 września 2026 r. w stołówkach szkolnych obowiązują nowe zasady żywienia uczniów. Na zdjęciu stołówka w Szkole Podstawowej nr 10 w Zielonej Górze.



Katofaszyzm?

ARTUR SPORNIAK

U naszych zachodnich sąsiadów nikt nie ma wątpliwości, co katolicki episkopat sądzi o skrajnej prawicy. Czy ma to jednak przełożenie na wyborcze decyzje katolików? „AfD chce innych Niemiec, jeśli chodzi o nasze fundamentalne wartości i demokrację. To nie tylko jest dla nas nie do przyjęcia, ale wręcz stanowczo się temu sprzeciwiamy" – powiedział przewodniczący niemieckiego episkopatu bp Heiner Wilmer po wyborach w Saksonii-Anhalt, w których partię tę poparło blisko 44 proc. wyborców.

Już w lutym 2024 r. Konferencja Biskupów Niemiec ogłosiła deklarację „Nacjonalizm etniczny i chrześcijaństwo są nie do pogodzenia", nazywając ekstremizm prawicowy największym zagrożeniem dla demokracji, wtedy jednak nie wymieniając partii z nazwy. Kłopotów z tym nie miał natomiast biskup Magdeburga – stolicy Saksonii-Anhalt. Gerhard Feige zasłynął z bezpośredniej krytyki AfD. „Ludzie wciąż nie są odporni na pokusy i dlatego są podatni na uwodzenie i manipulację. Było to widoczne w okresie dyktatury hitlerowskiej i w czasach NRD, a co przerażające, jest to prawdą również dziś" – pisał w liście na Wielki Post. Czy te przestrogi dały rezultat?

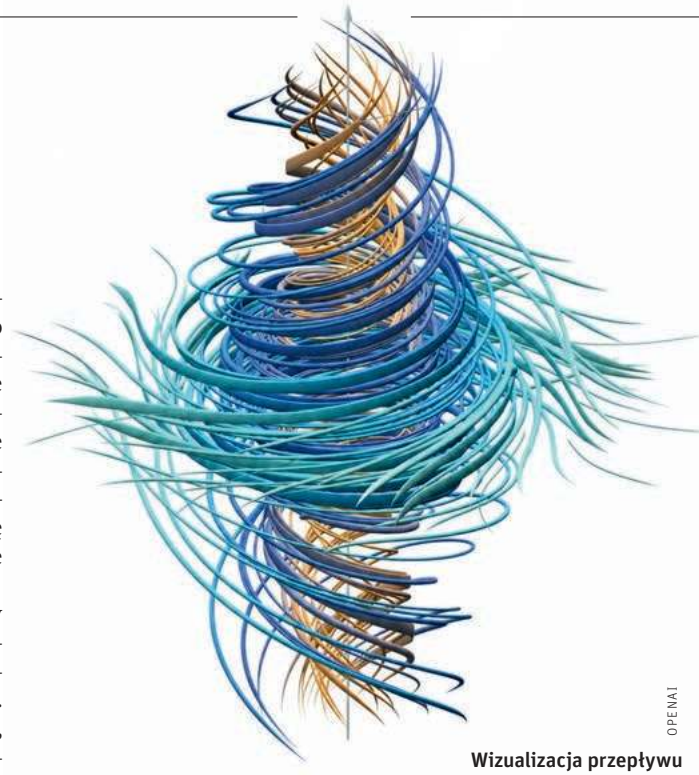
Wśród katolików AfD cieszy się mniejszą popularnością niż wśród osób niewierzących. Według badań instytutu Forschungsgruppe Wahlen na AfD w Saksonii-Anhalt głosowało 32 proc. katolików i aż 47 proc. bezwyznaniowców. Dla komentatorów oznacza to, że religia stanowiła jakiś hamulec, choć i tak co trzeci katolik jednak zagłosował na neofaszystów. Dlaczego? Zapewne argumenty religijne zostały stłumione rozczarowaniem sytuacją społeczno-polityczną i chęcią zmian. Głosy katolików w tych wyborach zresztą i tak nie miały większego znaczenia (w tym landzie stanowią jedynie 2,9 proc. mieszkańców).

AfD jest zresztą partią ateistyczną, nieodwołującą się do religii w swojej ideologii. Warto zauważyć tę różnicę choćby z najbliższą jej ideowo w Polsce Konfederacją Korony Polskiej. Grzegorz Braun swoje poparcie buduje, odwołując się wprost do religijności, choć specyficznie rozumianej. W naszym kraju – zwłaszcza na prowincji – katolicyzm ma odcień nacjonalistyczny. Braun to doskonale wyczuwa, jeżdżąc po Polsce z filmem „Gietrzwałd 1877. Wojna światów" i często korzystając z gościnności lokalnych proboszczów. Film ma ksenofobiczne przesłanie i wzbudza duże zainteresowanie.

Wygląda na to, że w Niemczech katolicyzm hamuje ksenofobię, w Polsce – dzięki nacjonalistycznemu zabarwieniu – ją do pewnego stopnia podsyca. ©℗

eprasa.pl ed1902df8f

Problemy trzeciego milenium



OPENAI

Wizualizacja przepływu opisywanego równaniami Naviera–Stokesa

MATEMATYKA ▪ OpenAI obwieściło rozwiązanie jednego z siedmiu tzw. problemów milenijnych. To wielkie otwarte problemy matematyczne, ogłoszone w 2000 r., za rozwiązanie których Instytut Matematyczny Claya oferuje milion dolarów. Od tego czasu udało się to tylko raz i było to wielkie wydarzenie.

Rzeczony problem dotyczy równań Naviera–Stokesa: standardowego opisu płynów w fizyce, inżynierii czy medycynie. Choć równania mają 200 lat, wciąż nie wiadomo, czy opisywany nimi płyn może zachowywać się „nieprzyjemnie"; pomyślmy o wirze w wodzie albo o tornadzie, które w samym środku zdają się osiągać prędkości dążące do nieskończoności.

Opublikowany przez OpenAI dokument opisuje konstrukcję takiego właśnie „nieprzyjemnego" wiru – dowód na to, że równania Naviera–Stokesa mają rozwiązania, które nie są „gładkie". To duża rzecz nie tylko dla matematyki, ale i dla pytania, czy AI jest w stanie tworzyć „naprawdę nową matematykę". Cóż, jeżeli rozwiązanie problemu milenijnego nie jest czymś „naprawdę nowym", to co nią jest?

To jednak nie koniec. Okazuje się, że zaledwie 12 godzin przed obwieszczeniem OpenAI matematycy Tristan Buckmaster i Levent Alpöge opublikowali szereg wyników dotyczących pewnej wersji tego samego problemu. Co istotne, przyznali, że podczas pracy korzystali z AI, w tym z Chata GPT. Chronologia jest taka, że gdyby OpenAI zaglądało do czatów swoich użytkowników – czego im nie wolno i czemu zaprzeczają – wykonywana przez Buckmastera i Alpöge praca mogłaby im, mówiąc eufemistycznie, troszkę pomóc. Drama się kręci.

Na co warto zwrócić uwagę w tej historii? Raz, OpenAI jest producentem i sprzedawcą AI. Mówimy nie tylko o matematyce, ale i o globalnej walce o pieniądze, władzę i wpływy. Wszelkie obwieszczenia wielkich firm technologicznych należy więc czytać bardzo ostrożnie. Dotyczy to również prawnego i filozoficznego problemu autorstwa: OpenAI ma silną motywację, by twierdzić, że dowód stworzyła „AI", a nie „zespół matematyków i inżynierów posługujących się AI" – handlują wszak AI, a nie zespołami ludzkimi. Myślę, że nigdy nie dowiemy się, jak było naprawdę – OpenAI dzieli się strzępkami informacji, głównie imponującymi liczbami opisującymi ich sekretny wewnętrzny model AI.

Dwa, matematyka (i nauka, i sztuka) nigdy nie była wyłącznie plejadą wybitnych indywiduów, a raczej rozproszonym rojem ludzkim kolektywnie penetrującym pewne uniwersum. To nie przypadek, że OpenAI, Buckmaster i Alpöge pracowali nad tym samym problemem w tym samym czasie – najwyraźniej stan wiedzy ludzkości właśnie dojrzał do rozwiązania go. Buckmaster napisał, że przynajmniej połowa zaszczytu należy się Luisowi Martínezowi-Zoroa, który w ostatnich latach znacząco rozwinął problem gładkości równań Naviera–Stokesa; OpenAI orzekło, że nie zgłosi się po Millenium Prize, bo firmie zależy tylko na rozwoju wiedzy. Aż miło patrzeć, jacy wszyscy skromni. © ŁUKASZ LAMŻA

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl ed1902df8f

TEMAT TYGODNIKA

NAKRĘCENI AGRESJĄ

Nie zasilajmy potoku nienawiści i pogardy, bo prędzej czy później nas porwie. Nawet jeśli przez chwilę czujemy się jak uczeń czarownika, ukojenie z tym związane jest wyłącznie wirtualne.

TEKST TOMASZ STAWISZYŃSKI | ILUSTRACJA NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP”



eprasa.pl ed1902df8f

Nie ma tygodnia, żeby przez media społecznościowe nie przetaczała się kolejna fala oburzenia, nienawiści, pogardy i rechotu. Atak na Olgę Tokarczuk za coś, czego wcale nie powiedziała o sztucznej inteligencji; potok inwektyw pod adresem urzędniczki skarbówki, zapoczątkowany skandalicznym komentarzem założyciela Kanału Zero; zasadna krytyka niegrzecznej i protekcjonalnej wypowiedzi Ewy Woydyłło, szybko przeradzająca się wszakże w festiwal obelg; gremialne oburzenie na Barbarę Mróz-Gorgoń za ewidentny błąd i naukową kompromitację, które zamieniło się w internetowy lincz. Przykłady można by mnożyć, nie tylko polskie, rzecz jasna. Najświeższe międzynarodowe przejawy tego zjawiska to np. fetowanie Luigiego Mangione, młodocianego socjopaty, który z zimną krwią zastrzelił w Nowym Jorku Briana Thompsona; manifestowana ostentacyjnie radość ze śmierci Charliego Kirka czy też historia Jasona Ardaya, któremu wykazano plagiat i liczne konfabulacje, a którego następnie wydano na pastwę wirtualnego tłumu.

Winny inny

O wielu z tych zdarzeń pisałem osobno w felietonach. Zestawiając je razem, w połączeniu z dyskusjami ludzi, którzy fale nienawiści i pogardy usprawiedliwiają, nazywając np. „zasłużoną krytyką", odnoszę wrażenie, że coś naprawdę niebywałego stało się z językiem, którego używamy. I z obrazem świata, który za pośrednictwem tego języka tworzymy. Mówiąc wprost: postępuje normalizacja przemocy symbolicznej, o ile tylko stosuje się ją wobec kogoś, kto uprzednio został zdefiniowany jako „winny inny".

Przemoc ta wyraża się oczywiście nie tylko w słowach. Dyskurs internetowy w znacznej mierze operuje dziś memami, przerabianymi zdjęciami, kolażami i montażami. Stężenie treści, które upadlają, upokarzają i mniej lub bardziej otwarcie wyrażają pogardę, jest bezprecedensowe. Nie pamiętam, by pojawiały się na taką skalę, choć obserwuję internet od momentu, kiedy zaczął się w Polsce rozwijać.

Nie żywię oczywiście tyleż naiwnego, ile absurdalnego przekonania, że kiedyś świat był spokojny, a ludzie mili i skłonni do rzeczowej dyskusji. Mechanika internetowych linczów odzwierciedla mechanikę linczu w świecie rzeczywistym. A historia ludzkości jest historią przemocy. Tyle że w „rzeczywistej rzeczywistości" wypracowaliśmy elementarne reguły, które przynajmniej w pewnym stopniu trzymają nasze mroczne inklinacje na wodzy. W sferze wirtualnej dochodzą one do głosu z nową siłą. Internet nie tylko wydobywa z nas ciemne strony, lecz także je intensyfikuje i nadaje im zupełnie nowe formy.

Kariera na upokorzeniu

Szczególnie znaczące jest to, że treści prymitywne, wulgarne, pełne jadu i nienawiści publikują często postacie reprezentujące kulturalne czy intelektualne elity: publicyści, pisarze, osoby związane z akademią, zajmujące ważne pozycje w hierarchiach kulturowych albo do nich aspirujące. Dla niektórych z nich organizowanie nagonek, manipulowanie i dyrygowanie emocjami wirtualnego tłumu stało się głównym zajęciem w mediach społecznościowych, a zarazem podstawowym źródłem publicznej widoczności.

Nierzadko zręcznie posługują się piórem. W publikowanych przez nich wpisach cudze zachowanie czy wypowiedź ↦



eprasa.pl ed1902df8f

↦ niepostrzeżenie przeobrażają się w coś zupełnie innego niż to, co zostało rzeczywiście zrobione lub powiedziane. Poziom manipulacji i kłamstwa w takich przypadkach bywa zdumiewający. Przecieram czasem oczy, kiedy widzę, co można zrobić z czyjąś wypowiedzią, gestem albo tekstem – i jak potem już nikt nie sprawdza, jak było naprawdę. Zmanipulowana, wyrwana z kontekstu i poprzekręcana wypowiedź natychmiast uruchamia zbiorowy afekt, a kolejni komentujący reagują coraz większą nienawiścią, pogardą albo szyderstwem.

Wygląda to trochę tak, jakby internet stał się dżunglą, w której właściwie nie da się już funkcjonować bez maczety i nieustannego nastawienia na konfrontację. Albo jakbyśmy się znaleźli w oktagonie freakowych walk MMA (choć, prawdę mówiąc, nawet tam interweniują sędziowie). Każdego, kto nie jest z nami, nie powtarza tego samego co my i nie nienawidzi wraz z nami tych, których my nienawidzimy, należy za wszelką cenę powalić na ziemię, upokorzyć, a potem odtańczyć nad nim taniec zwycięstwa.

To samo, z jeszcze większą siłą, dotyczy oczywiście każdego, kto faktycznie popełnił jakiś błąd, zachował się nieuczciwie, złamał prawo albo w inny sposób się skompromitował. Wówczas błyskawicznie zostaje zredukowany do jednego czynu albo słowa, a tłum znęca się nad nim, dopóki na horyzoncie nie pojawi się kolejny obiekt, na który można skierować uwagę.

Przemoc jest demokratyczna

Zjawisko to przenika całą sieć, dotyczy ludzi z wykształceniem podstawowym i wyższym, kobiet i mężczyzn, profesorów i profesorek oraz przedstawicieli zawodów niemających nic wspólnego z akademią. Jest powszechne, bo skłonność do przemocy nie omija żadnej klasy ani grupy. Zarazem wszystkim wydaje się, że dotyczy wyłącznie innych. To właśnie jest w tym najbardziej osobliwe, a zarazem najbardziej oczywiste. Choć rzecz jasna powszechność tego mechanizmu nie oznacza, że wszystkie środowiska posługują się przemocą na tę samą skalę ani że ponoszą jednakową odpowiedzialność za jej normalizację.

Niemniej, kiedy przypominamy sobie najciemniejsze momenty w historii ludzkości, widzimy, że przemoc zawsze okazywała się wysoce demokratyczna, a ludzie tak czy inaczej w nią uwikłani usprawiedliwiali swój czynny udział lub jej bierną akceptację. Podobny mechanizm widać u wspomnianych wcześniej wirtualnych prowodyrów, którzy sami siebie prezentują jako wzorce przyzwoitości i kultury. Wystarczy przez moment posłuchać, jak wypowiadają się o swoich oponentach politycznych albo o tych, którzy reprezentują nieodpowiadające im wartości i style życia, żeby zorientować się, że ich deklaracje nie mają pokrycia.

Tak samo dzieje się w środowiskach wyznających prawicowe, lewicowe albo jakiekolwiek inne fundamentalizmy. Wskutek silnego przywiązania do dogmatów, symboli i ideologii rzeczywistość zaczyna mieć dla fundamentalisty znaczenie drugorzędne. Przestaje on sprawdzać, na ile jego koncepcje się z nią zgadzają. W miejsce rzeczywistości podstawia własną jej wizję i nie zwraca uwagi na rozdźwięk.

Ma to oczywiście swoją cenę. Fundamentalista musi nieustannie inwestować energię, żeby podtrzymywać własną konstrukcję, spod której wciąż wyziera nieposłuszna realność. Na każdy objaw dysonansu reaguje więc rosnącą agresją. Im więcej wysiłku kosztuje go utrzymywanie dogmatu w mocy, tym większe agresja i drażliwość wobec każdego, kto przypomina o tej mistyfikacji.

Wszystkie te postawy, bez względu na sztandary i polityczne etykiety, łączy ów odwrót od rzeczywistości. Działa tu stare prawo, o którym pisał wspominany przeze mnie nieraz René Girard: prawo mimetycznej rywalizacji. Prawo to mówi, że tym, czego skonfliktowane strony najbardziej nie chcą o sobie wiedzieć, jest podobieństwo, które najgłębiej je łączy. Każde stanowisko można przeżywać w sposób fundamentalistyczny.

Także liberałowie, którzy chcą uchodzić za centrum pomiędzy skrajną prawicą a skrajną lewicą, mają własne skrajności. Wszędzie tam, gdzie ideologia zyskuje prymat

REKLAMA



eprasa.pl ed1902df8f

nad rzeczywistością, pojawiają się pogarda i nienawiść wobec innego – środki zaradcze na nieuchronny dysonans.

Obowiązek nienawiści

Nienawiść, pogarda i szyderstwo za pośrednictwem mediów społecznościowych – ich najskuteczniejszego rozsadnika – przeniknęły niemal wszystkie obszary naszego życia społecznego. W efekcie – co jest już doprawdy szczytem perwersji – nawet próba posługiwania się językiem, który nie piętnuje automatycznie „onych" i „tamtych", zaczyna być traktowana jak zdrada.

Tymi innymi mogą być kobiety albo mężczyźni, „libki", „prawacy" czy „lewacy", wszystko jedno. Te języki są do siebie bliźniaczo podobne. Gdybyśmy w zdaniach wypowiadanych po przeciwnych stronach sporów pozamieniali słowa oznaczające przeciwnika, członka grupy zewnętrznej, okazałoby się, że same zdania niczym się od siebie nie różnią. Wyrażają tę samą pogardę i tę samą nienawiść. To samo poczucie własnej wyższości, tę samą potrzebę jednomyślności i niezdolność do uznania, że ktokolwiek może myśleć inaczej. Ten sam rechot.

Skądinąd właśnie rechot stał się jednym z najskuteczniejszych i najpopularniejszych w mediach społecznościowych sposobów upokarzania, wyśmiewania, obrażania i deprecjonowania. Towarzyszy temu ideologizacja przemocy wymierzonej w przeklętych wrogów, z którymi nie wolno rozmawiać ani nawet się do nich zbliżać. Trzeba ich otoczyć kordonem, trzymać się z daleka, bo tak podpowiada ideologiczna słuszność i czystość.



Języki agresji są do siebie bliźniaczo podobne. Bez względu na to, czy tymi, których nienawidzimy, są libki, prawacy, czy lewacy.

Każdy, kto próbuje wyjść z tej koleiny, zrezygnować z języka pogardy i nienawiści oraz szukać porozumienia ponad podziałami, natychmiast zostaje uznany za wspólnika wroga. Kto odmawia udziału w festiwalu wyśmiewania, deprecjonowania i gnojenia, ten uchodzi za równie okropnego i odstręczającego jak wrogowie, z którymi nie wolno mieć nic do czynienia. Zjawisko to osiągnęło gargantuiczne rozmiary.

W najlepsze rozwija się także kult postawy psychopatycznej: cynizmu, chamstwa i bezwzględności, oczywiście wyłącznie wobec tych innych, których nie lubimy. Za słabość uchodzi dążenie do tego, by być po prostu dobrym człowiekiem: zachowywać życzliwość także wobec ludzi, z którymi się nie identyfikujemy i nie zgadzamy, oraz używać języka wolnego od uprzedmiotowienia, przemocy i brutalności. Niemała w tym oczywiście rola wzorców rodem ze świata polityki, przechodzącego podobną ewolucję. Donald Trump, który ostentacyjnie demonstruje lekceważenie dla elementarnej kindersztuby i podkreśla, że liczą się dlań wyłącznie siła fizyczna i pieniądze, symbolizuje tę smutną zmianę.

Są oczywiście sytuacje, w których trzeba mówić albo działać stanowczo, radykalnie przeciwstawić się złu albo poddać kogoś ostrej krytyce. Czym innym jest jednak ów kult brutalności i chamstwa. Wychowują się na nim kolejne pokolenia ludzi, którzy nie znają już innego świata niż ten, w którym szyderstwo, nienawiść i pogarda nieustannie spadają na każdego, kto wyłamuje się z naszej ortodoksji. Jestem pewien, że będzie to miało tragiczny wpływ na to, jak za 10, 20, 30 lat będziemy funkcjonować społecznie. O ile, rzecz jasna, do tego czasu się nie pozabijamy.

To nas się używa

W naszej rozmowie w noworocznym numerze „Tygodnika" Marcin Napiórkowski przypominał o czymś, o czym na co dzień zapominamy: znajdujemy się w szponach algorytmów. Media społecznościowe permanentnie nas programują. Architektura tych platform sprawia, że jesteśmy coraz silniej skonfliktowani, coraz gorzej do siebie nastawieni, nieustannie obrzucamy się inwektywami i przyklaskujemy tym, którzy się nimi posługują. W ich świecie rozgrywają nas środowiska polityczne i inne podmioty działające z ukrycia, zainteresowane destabilizowaniem sytuacji społecznej, wywoływaniem konfuzji i nastawianiem ludzi przeciwko sobie: prawicy przeciwko lewicy, kobiet przeciwko mężczyznom, heteroseksualistów przeciwko homoseksualistom, białych przeciwko czarnym i odwrotnie. Długo można wyliczać osie niezgody, na których tak lubimy się koncentrować.

Problem polega na tym, że jeśli działamy pod wpływem odruchów czy negatywnych emocji, to w warunkach kryzysu i wojny kognitywnej stajemy się *de facto* przedmiotami obróbki. Wydaje nam się, że jesteśmy użytkownikami sieci, a to raczej nas się używa. Robią to wielkie korporacje, politycy, stronnictwa, grupy i podmioty, które realizują własne interesy, wywołując dezorientację co do tego, co jest rzeczywiste, tworząc iluzje i wpuszczając nas w gęstwinę myślenia spiskowego. Powinniśmy zdać sobie sprawę z tego, co robi z nami wirtualny świat.

Politycy, pracownicy mediów i osoby współtworzące publiczny dyskurs powinni poruszać się po tym terenie jak po polu minowym: bardzo uważać na to, co mówią, jak, do kogo, w jakim celu i jakimi posługują się słowami. ↦

eprasa.pl ed1902df8f

Widać to było także w dyskusjach wokół fatalnej decyzji Wołodymyra Zełenskiego o nadaniu jednej z jednostek wojskowych imienia bohaterów UPA. Sposób, w jaki o tym mówiono, zasilał algorytmy antagonizujące Polaków i Ukraińców. A z kształtu tej debaty cieszyły się środowiska zainteresowane podsycaniem wrogości polsko-ukraińskiej – i które przebiegiem wydarzeń aktywnie sterowały.



Wydaje nam się, że jesteśmy użytkownikami sieci, tymczasem to raczej nas się używa.

Wolność od natychmiastowej reakcji

Co więc powinniśmy zrobić? Przede wszystkim nauczyć się odraczać reakcje. To umiejętność, która w tej epoce będzie jedną z najważniejszych, ponieważ pozwala zachować podmiotowość i wolność. Kto potrafi powstrzymać natychmiastową reakcję na to, co napotyka w sieci – niezależnie od tego, czy chodzi o reklamę, ciekawą treść, czy o pełen pogardy i nienawiści post – ten odzyskuje podmiotowość wobec oplatającej nas algorytmicznej, korporacyjno-politycznej sieci. Zdolność odraczania reakcji może nam pomóc przerwać spiralę kryzysów kognitywnych, których doświadczamy, często nawet o tym nie wiedząc.

Powinniśmy także ograniczyć korzystanie z mediów społecznościowych, a przede wszystkim powstrzymywać się od komentowania i udostępniania treści podsycających nienawiść, pogardę czy szyderstwo. Niezależnie od tego, przeciwko komu są skierowane, czy ten ktoś naszym zdaniem na to zasługuje i czy jest czegokolwiek winny. Nie róbmy tego, ponieważ karmimy w ten sposób mechanizm niszczący wszystkich bez wyjątku. Nie każda sprawa wymaga naszego komentarza, serduszka czy lajka albo kliknięcia „udostępnij". Każda taka reakcja może jednak wywołać skutki, których nie jesteśmy w stanie przewidzieć, a zarazem zasilić mechanizm, który uczy się na naszych wyborach.

Nie zasilajmy potoku nienawiści i pogardy, bo prędzej czy później porwie nas ze sobą. Nienawiść, pogarda i szyderstwo to straszne żywioły. Nie zachowujmy się niczym uczeń czarnoksiężnika, który beztrosko je przywołuje, przez chwilę czuje wielką moc, a następnie pada ofiarą własnej pychy. Uczmy się języka, który nie jest językiem pogardy, nienawiści i szyderstwa, niezależnie od tego, czy mówimy o „naszych", czy o „nie naszych".

Powtórzę: nie oznacza to bynajmniej, że mamy rezygnować z własnych przekonań, walki ze złem czy obrony wartości, które są dla nas istotne. Wręcz przeciwnie. Żeby jednak to robić w sposób przemyślany i skuteczny, musimy najpierw rozumieć sytuację, w której się znajdujemy, dostrzegać własną ciemną stronę, dobrze rozpoznawać przeciwnika, wiedzieć, kto naprawdę nim jest i dlaczego podejmujemy z nim walkę. W wirtualnym urojeniu, rozedrganiu i ekstremalnym afekcie jest to niemożliwe.

Nie stawajmy się więc częścią wirtualnego tłumu, który wprawdzie nie wie, co czyni, ale ani go to nie usprawiedliwia, ani nie sprawia, że konsekwencje jego działań są mniej dotkliwe. Nawet jeśli nie da się go powstrzymać – oby się jednak dało – nie trzeba się weń włączać. Lepiej nic nie powiedzieć, niż powiedzieć coś nienawistnego, szyderczego i pogardliwego.

© TOMASZ STAWISZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński

Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Paweł Pieniążek, Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż: Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Karolina Biały, Mateusz Gawron, Ewelina Lebida, Anna Pietrzykowska, Janusz Sieńko, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Erste Bank Polska S.A.
konto: 76 1910 1048 2102 0388 3361 0001
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl ed1902df8f

B( )NUS
TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik Powszechny" po raz drugi przyznaje Nagrodę BONUS

Dla tych, którzy łączą, nie dzielą

Od 1 września szukamy ludzi, którzy zmieniają przestrzeń publiczną na lepszą. Otwieramy zgłoszenia do drugiej edycji Nagrody BONUS „Tygodnika Powszechnego".

Nagroda BONUS powstała, by wyróżniać ludzi, którzy wzmacniają dialog, budują zaufanie i potrafią działać ponad podziałami. Doceniamy osoby, które w swojej pracy nie ulegają logice polaryzacji, uproszczeń i sensacji.

Chcemy pokazywać tych, których działalność realnie wpływa na życie społeczne, kulturę i jakość debaty publicznej.

PIĘĆ KATEGORII

W drugiej edycji Nagroda BONUS zostanie przyznana w pięciu kategoriach:

MEDIA | Dla dziennikarzy i twórców, którzy stawiają na pluralizm, rzetelność i dialog oraz pokazują, że informowanie nie musi oznaczać podsycania konfliktów.

KULTURA | Dla twórców i inicjatyw, które otwierają przestrzeń dla różnych głosów, doświadczeń i perspektyw.

DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA | Dla osób i organizacji, które budują lub odbudowują wspólnoty, niwelują podziały i tworzą przestrzeń do spotkania mimo różnic.

TECHNOLOGIA | Dla innowatorów, którzy tworzą rozwiązania służące ludziom, zwiększające dostępność i włączające, zamiast wykluczać.

MECENAT / DOBROCZYNNOŚĆ (nowa kategoria) | Dla filantropów, darczyńców i przedsiębiorców, którzy udowadniają, że kapitał może mieć wyraziste oblicze etyczne. Nagroda dla tych, którzy poprzez wsparcie inicjatyw kulturalnych, naukowych i pomocowych budują wspólnotowość i zaufanie w przestrzeni publicznej.

Laureatów drugiej edycji Nagrody poznamy 7 listopada podczas gali w Małopolskim Ogrodzie Sztuki w Krakowie. Wieczór zakończy koncert zespołu ØRGANEK.

NAJWAŻNIEJSZE DATY

1–30 września 2026 | Czas na zgłoszenie kandydatów

13 października 2026 | Ogłoszenie czterech finalistów w każdej kategorii

7 listopada 2026 | Gala Nagrody BONUS, Małopolski Ogród Sztuki, Kraków



FOT. MAREK BEDNARZ

Zgłoś osobę, której praca zasługuje na uwagę.

Wypełnij formularz online na stronie nagrody: **bonus.tygodnikpowszechny.pl**

Zgłoszenie możesz przesłać także bezpośrednio na adres **bonus@tygodnikpowszechny.pl** – podaj imię i nazwisko kandydata, kategorię oraz uzasadnienie zgłoszenia.

PARTNER: Kraków | ERGO HESTIA

PATRONI MEDIALNI: 65 TVP 3 KRAKÓW | TVP Info | Trójka POLSKIE RADIO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

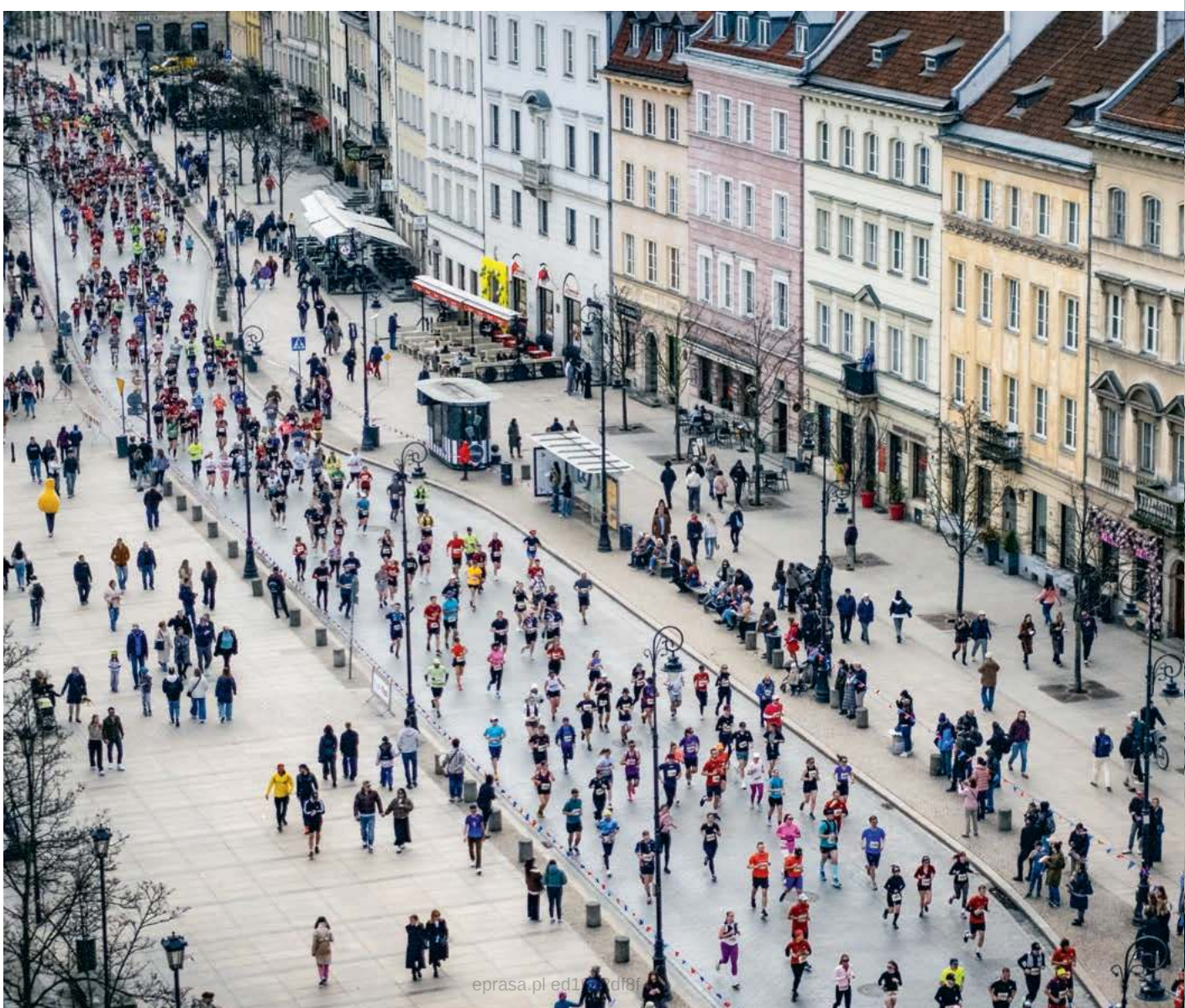
eprasa.pl ed1902df8f

KRAJ

PIT-U PIT-U

WOJCIECH PACZOS, EKONOMISTA:

Polska opowieść o reformie podatków od lat sprowadza się do propozycji: zapłać więcej, by pomóc biedniejszym. A gdyby ta reforma polegała na tym, że to ci najbogatsi pomogą tobie? Prawda, że brzmi lepiej?



eprasa.pl ed1...df8f

MAREK RABIJ: Wyobraź sobie, że jesteś Indianą Jonesem i w jakiejś jaskini odkryłeś komplet dokumentów opisujących polski system podatkowy. Czytasz je, ale nie wiesz, że chodzi o Polskę. Co byś sobie pomyślał o takim państwie?

WOJCIECH PACZOS: Nie jestem pewny, czy istnieje jaskinia, która pomieściłaby wszystkie te dokumenty. Po drugie, nie wiem, czy starczyłoby mi życia, żeby je przeczytać. I chyba od tego powinniśmy zacząć: polski system podatkowy jest dziś tak rozbudowany, że coraz trudniej powiedzieć, jaka właściwie była jego pierwotna idea.

Jeżeli miałbym spróbować ją odtworzyć, powiedziałbym, że mamy do czynienia z kolażem reform. Do systemu dokładano kolejne rozwiązania, poprawki i wyjątki, a potem wyjątki od tych wyjątków. W efekcie pierwotna konstrukcja jest już właściwie niewidoczna. Zmieniła się w patchwork.



MATEUSZ WŁODARCZYK / NURPHOTO / GETTY IMAGES

20. edycja warszawskiego półmaratonu, Krakowskie Przedmieście, Warszawa, marzec 2026 r.

Chcesz powiedzieć, że mamy nie tyle system podatkowy, rozumiany jako zbiór przepisów obsługujących w zaplanowany sposób potrzeby państwa, ile historię polskiej polityki gospodarczej zapisaną w ustawach?

Tak. I to jest problem poważniejszy, niż mogłoby się wydawać. Podatek nie jest wyłącznie technicznym sposobem pobierania pieniędzy. Jest narzędziem projektowania państwa. Powinien odpowiadać na pytania: co chcemy finansować, jak chcemy rozłożyć ciężary i jakie zachowania chcemy – albo przeciwnie, jakich zachowań nie chcemy – premiować.

Polski system jest próbą łączenia ognia i wody. Z jednej strony udaje, że jest nowoczesny, progresywny, wręcz socjaldemokratyczny.

Przypominam, że konstytucja opisuje Polskę jako państwo o społecznej gospodarce rynkowej.

Dlatego mamy progresję w podatkach osobistych PIT, czyli znany z większości krajów system, w którym im jesteś bogatszy, tym więcej płacisz na państwo. Obok niego istnieją jednak rozwiązania o zgoła odmiennej logice: niskie opodatkowanie, premiowanie przedsiębiorczości. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby wynikały one ze spójnej wizji. Problem w tym, że są efektem politycznych negocjacji i wyjątków wprowadzanych na rzecz kolejnych grup społecznych i zawodowych.

Prowadzi to do paradoksu. Mamy wojnę za wschodnią granicą, starzejące się społeczeństwo i kryzys klimatyczny, który wymusza transformację energetyczną. Obywatele oczekują poprawy jakości usług publicznych, utrzymania transferów socjalnych, reagowania na kryzysy. Jednocześnie to samo państwo utrzymuje narrację, że podatków najlepiej byłoby nie podnosić. A tym, którzy znaleźli legalny sposób, żeby płacić mu jak najmniej, po prostu na to pozwala.

Państwo chce być jednocześnie silne i tanie.

Od dawna nie jest tanie. Wiesz, ile procent PKB stanowią obecnie wydatki instytucji i podmiotów kontrolowanych przez państwo i samorządy?

Strzelam: jedna trzecia?

Ponad połowa. Dokładnie – 51 proc. W zeszłym roku po raz pierwszy przekroczyliśmy próg 50 proc. Nawet w pandemii, gdy rząd pompował w gospodarkę miliardy, udział państwa w PKB był niższy. A w podatkach tyle nie zbieramy, przynoszą one w sumie równowartość około 43 proc. PKB. Ta różnica to właśnie deficyt budżetowy. Można mieć rozbieżne opinie co do tego, kiedy staje się on niebezpieczny. Problemem w Polsce nie są jednak takie spory, lecz brak polityki, która by ten deficyt w zasadniczy sposób kształtowała.

To się co roku odbywa z grubsza tak samo: minister finansów szacuje wpływy do budżetu, potem patrzy w rubrykę z wydatkami i minus, który mu wychodzi z zestawienia obu pozycji, ląduje zapisany w ustawie budżetowej jako deficyt. Nie ma politycznej woli ograniczania tych wydatków, a tym bardziej woli zwiększania przychodów, czyli podnoszenia podatków. Z kolei my, podatnicy, nie wiemy tak naprawdę, jaki mamy system podatkowy. Powiedz, ile wynosi w Polsce kwota wolna od podatku?

30 tysięcy złotych.

Nie!

Jak to nie? To przy czym majstruje teraz rząd?

W Polsce tak naprawdę nie ma kwoty wolnej. Podatki płacisz od pierwszej zarobionej złotówki, tylko część z nich została sprytnie nazwana składkami. Jeśli pracujesz, odprowadzasz składkę emerytalną, zdrowotną, fundusz pracy i tak dalej. W rzeczywistości składką jest tylko ta emerytalna, bo wpłaty z tego tytułu faktycznie składają się na przyszłą emeryturę. Jednak składka zdrowotna to już podatek. Dostęp do świadczeń medycznych z NFZ nie jest przecież uzależniony od wysokości kapitału zgromadzonego na koncie pacjenta.

Gdy te wszystkie świadczenia, zwane potocznie ZUS-em, zbierzesz razem, otrzymujesz mniej więcej 12 proc. ↦

eprasa.pl ed1902df8f

↦ przeciętnego wynagrodzenia. Masz więc „kwotę wolną" w rzeczywistości opodatkowaną w wysokości 12 proc. Od 30 do 120 tys. dochodu płacisz dodatkowe 12 proc. w pierwszym progu podatkowym, *de facto* płacisz więc 24 proc. A potem wskakujesz w drugi próg ze stawką 32 proc. – czyli naprawdę około 44 proc.

W ubiegłym roku spotkało to 2,4 mln podatników, w tym co trzeciego nauczyciela. Drugi próg dawno nie jest czymś, co czeka tylko najlepiej wynagradzanych menedżerów, wziętych prawników czy lekarzy. Tacy jak oni coraz częściej uciekają zresztą progresji podatkowej, przechodząc na jednoosobową działalność gospodarczą.

A wtedy mają do wyboru dotychczasową skalę podatkową lub podatek liniowy 19 proc. I jeszcze płacą tzw. składkę zdrowotną w wysokości 4,9 proc. dochodu, podczas gdy osoby zatrudnione na etacie, płacące podatki według skali 12-32 proc., z tego samego tytułu odprowadzają 9 proc. Absurd. Polonista na etacie w szkole ma 9 proc. składki zdrowotnej, a pod koniec roku wpada w drugi próg. Absolwent tego samego kierunku, który udziela korepetycji jako jednoosobowa działalność gospodarcza (JDG), płaci przez cały rok 19 proc. oraz 4,9 proc. składki zdrowotnej.

Podatek liniowy jest z nami od ponad 22 lat. Wiadomo, jakie założenia stały za jego wprowadzeniem. Rząd Leszka Millera chciał w ten sposób pobudzić drobną przedsiębiorczość.

I co?

Mamy dobre badania Justyny Klejdysz i Tomasza Zawiszy, które pokazują, że nie pobudził. Doprowadził za to do tego, do czego doprowadzić musiał, czyli do przepływu zatrudnienia z umów o pracę na samozatrudnienie. Na masową skalę. W Polsce mamy 800 tys. JDG na podatku liniowym i 1,4 mln rozliczających się ryczałtem. Pytanie, ilu z nich to w rzeczywistości pracownicy firm, którzy pouciekali fiskusowi ze skali podatkowej.

Korepetytor, o którym wspomniałeś, musiałby dziś być frajerem, żeby zostać nawet na podatku liniowym.

Co planuje rząd

PO ROZLICZENIU PIT za ubiegły rok stało się jasne, że polska skala podatkowa z dwiema stawkami (12 i 32 proc.) oraz kwotą wolną do 30 tys. zł nie nadąża za wzrostem cen i płac (szerzej o tym w wywiadzie obok). Ministerstwo Finansów proponuje więc zmiany, które nadal nie przewidują obiecanego w kampanii podniesienia kwoty wolnej do 60 tys. zł (koszt takiej zmiany MF szanuje na 58,6 mld zł rocznie), ale sprawią, że według stawki z drugiego progu (32 proc.) opodatkowane byłyby dochody od kwoty 130 tys. zł – a nie od 120 tys. zł, jak dotąd. Rząd chce dodatkowo wprowadzić kolejny, pośredni próg podatkowy: dochody w przedziale od 130 do 150 tys. zł byłyby objęte podatkiem w wysokości 24 proc.

NA ZMIANACH najwięcej zyskają podatnicy o dochodach do 150 tys. zł, czyli właśnie ci, którzy najmocniej odczuwali brak elastyczności obowiązującej skali podatkowej. Lukę w dochodach budżetu mają uzupełnić podwyżki podatku CIT dla firm oraz uszczelnienie ryczałtu dla mikrofirm. W projektach zmian pojawia się propozycja obniżenia górnego limitu dochodu uprawniającego do rozliczenia ryczałtem z 2 mln euro do 250 tys. euro rocznie. Rząd rozważa także ograniczenie przywilejów fiskalnych dla niektórych grup zawodowych, np. dla programistów.

©℗ MAREK RABIJ

Stawka ryczałtu dla usług edukacyjnych wynosi 8,5 proc.

I tego się moim zdaniem nie da obronić. Zdrowy system podatkowy powinien przede wszystkim odzwierciedlać strukturę dochodów. A co robi polski fiskus? Nie pyta tylko, ile zarobiłeś. Pyta o rodzaj umowy. O branżę. Czy przychód ma charakter działalności gospodarczej? Jak zaklasyfikowałeś usługę? Podatek zaczyna więc zależeć od tego, jak nazwiemy rzeczywistość, nie od samej rzeczywistości.

Ryczałt jest najjaskrawszym przykładem tej choroby?

To rozwiązanie na pewnym etapie mogło mieć sens. Jeżeli ktoś prowadził niewielki warsztat rzemieślniczy i miał nie zawsze dobrze zafakturowane koszty, to dobrze, że państwo uprościło mu rozliczenie z fiskusem, zamiast wypychać go do szarej strefy. Prawdziwy problem zaczyna się wtedy, kiedy ryczałt staje się alternatywnym systemem podatkowym.

W Polsce tak właśnie się stało. Stawka ryczałtu zależy głównie od rodzaju działalności. Dziennikarz płaci 15 proc., lekarz 14 proc., programista 12 proc.

No chyba że programista wystawia faktury z tytułu zarządzania projektem; wtedy ma prawo do stawki 8,5 procent.

Ty się śmiejesz, ale to w gruncie rzeczy nic zabawnego. Liczba korzystających z ryczałtu bardzo wzrosła w ostatnich latach, a górny limit przychodów podniesiono do absurdalnego poziomu dwóch milionów euro rocznie. To wszystko sprawia, że nie mamy już do czynienia z preferencjami dla drobnych przedsiębiorców. Mamy alternatywną ścieżkę opodatkowania, w dodatku dostępną dla ludzi, którzy zarabiają fortuny, jakich olbrzymia większość nigdy nie ujrzy.

Może się to państwu opłaca?

Nie opłaca się kompletnie. Jeśli państwo mówi: „za tę działalność zapłacisz mniej, a za tamtą więcej", to ludzie reagują. Nie muszą tego robić świadomie. Jeżeli różnica opodatkowania jest dostatecznie duża, zaczyna mieć znaczenie przy wyborze formy pracy, a czasem i miejsca. Nie zajmujesz się tym, co umiesz najlepiej, lecz tym, co jest łagodniej opodatkowane. Zamiast poświęcać czas na produktywną działalność, część przedsiębiorców marnuje go na rozgrywki z urzędem skarbowym. Szuka najlepszej formy umowy, właściwego kodu działalności, interpretacji, wyjątków. Z punktu widzenia gospodarki to czysta strata czasu i zasobów.

Jesteś zwolennikiem pomysłów typu jednolity kontrakt pracy, czyli jednej formy opodatkowania, bez względu na formę zatrudnienia i rodzaj działalności?

eprasa.pl ed1902df8f

Podoba mi się ten kierunek. Nie może być tak, że państwo mówi: jeśli zarobiłeś pieniądze na etacie, zapłacisz tyle; jeśli na działalności – tyle; jeśli na mieszkaniu – tyle; jeśli na giełdzie – jeszcze inaczej.

Oczywiście można dyskutować o szczegółach, ale fundamentalna zasada powinna być prosta: podobny dochód powinien podlegać podobnemu opodatkowaniu. A jeżeli chcemy progresji w podatkach, to powinna ona wynikać z różnic wysokości dochodu, a nie z tego, kto jak opisał na fakturze to, z czego się utrzymuje.

Dlatego kierunek zmian, które teraz proponuje minister Domański, uważam za właściwy. Nie może być dalej tak, że ciężar utrzymania państwa i redystrybucji środków spoczywa w głównej mierze na przeciętnie zarabiających.

No proszę, wreszcie dotarliśmy w tej rozmowie do mitycznej polskiej klasy średniej.

Na klasach społecznych się nie znam, nie zapuszczę się w ten zaułek. Zajmuję się polityką fiskalną i z mojej perspektywy tragicznym nieporozumieniem wydaje się wrzucanie do jednej grupy kogoś, kto zarabia 120 tys. zł rocznie i kogoś, kto ma 1,2 miliona. Polski system podatkowy właśnie tak robi. Zachowuje się tak, jakby każdy, kto zarobi więcej niż te 120 tys. zł rocznie, był przedstawicielem tej samej finansowej elity. Bo progresja podatkowa dalej nie tylko nie rośnie, ale wręcz się spłaszcza.

Dochody powyżej miliona złotych są opodatkowane daniną solidarnościową w wysokości dodatkowych 4 proc. Ale fakt, płaci ją garstka, ok. 36 tysięcy osób.

Najzamożniejsi najczęściej giną fiskusowi z oczu w fundacjach rodzinnych, w spółkach albo na JDG i ryczałcie. Im wyższe dochody, tym większe możliwości legalnej optymalizacji. A mówiąc po ludzku – obniżenia sobie podatku zgodnie z prawem. Tutaj wracamy do największego absurdu tego systemu, który osoby o średnich dochodach opodatkowuje relatywnie mocno, za to kapituluje przed najbogatszymi.

To jest fatalny sygnał instytucjonalny. Państwo ma tworzyć reguły, a nie sprawdzać, kto ma więcej sprytu albo lepszych doradców podatkowych. Ludzie będą



DOBROBYT NA POKOLENIA / MATERIAŁY PRASOWE

DR WOJCIECH PACZOS pracuje na Uniwersytecie w Cardiff. Prowadzi badania nad długiem publicznym i polityką monetarną. Jest adiunktem w Polskiej Akademii Nauk i założycielem grupy eksperckiej „Dobrobyt na pokolenia".

się różnić dochodami. Talent, praca, szczęście, miejsce urodzenia, dobry moment, jedna trafna decyzja – wszystko to wpływa na to, ile zarabiamy i jak się nam żyje. Ale czym innym jest akceptacja nierówności, a czym innym sytuacja, w której ktoś zarabiający dziesięć razy więcej od przeciętnego podatnika może dzięki konstrukcji systemu płacić mniejsze podatki niż średniak. Problemem przestaje być wtedy nierówność dochodów, a staje się nią nierówność reguł.

Większość krajów rozwiniętych nie radzi sobie z optymalizacją podatkową. Polska w ostatnich latach przynajmniej na poważnie wzięła się za redystrybucję środków. W efekcie nierówności dochodowe nad Wisłą nie maleją, ale też nie rosną.

Tylko że my w Polsce mówimy wciąż o redystrybucji jako swego rodzaju karze dla ludzi zamożnych. W rzeczywistości transfery socjalne są mechanizmem budowy wspólnoty. Żyjemy w jednym państwie, korzystamy z tych samych instytucji, infrastruktury, bezpieczeństwa i systemu prawnego, dlatego część zasobów przesuwamy między grupami, dodając tym, którym najwięcej brakuje.

Powiedz to wyborcom Konfederacji.

Ja bym w ogóle zmienił formę i treść polskiej opowieści o podatkach. Dopóki brzmi ona z grubsza tak, że obywatel zarabiający średnią krajową ma zapłacić więcej, by pomóc biedniejszemu od siebie, dopóty każda reforma systemu podatkowego będzie skazana na klęskę. Inaczej brzmiałby przekaz w stylu: zmieniamy podatki, ale tak, żeby to właśnie z ciebie, drogi średniaku, zdjąć część ciężaru redystrybucji i przerzucić go na bogatszych.

Czyli jak?

Wyobraź sobie system, który sumuje wszystkie twoje dochody: z pracy, działalności, kapitału, najmu. Nie masz dziesięciu metod opodatkowania, czterech różnych składek zdrowotnych. Na to nakładasz sensownie wyskalowaną progresję podatkową, czyli nie dwa, nie trzy, ale cztery, a może pięć progów podatkowych. Jeżeli ktoś zarabia mało, płaci mało albo wcale. Jeżeli zarabia więcej, płaci więcej. Jeżeli zarabia bardzo dużo, płaci o wiele więcej. Nie dlatego, że państwo chce go ukarać za sukces, tylko dlatego, że jego zdolność do ponoszenia kosztów wspólnoty jest po prostu większa.

W ekonomii mówi się o krańcowej użyteczności dochodu. Jeśli zarabiasz 5 tys. na rękę i podwyżka podatku zabierze ci z tego 10 proc., odczujesz to mocno w kieszeni. Ale jeśli fiskus z 50 tys. miesięcznie zrobi ci 45 tys., w twoim życiu niewiele tak naprawdę się zmieni.

Szykując pakiet takich zmian, od razu przygotuj odpowiedź na pytanie: a co z przedsiębiorczością?

Podkreślmy to, przedsiębiorcy ponoszą ryzyko. Pracują w weekendy, nie raz bez wakacji. Czy państwo ma kompensować te koszty za pomocą szczegółowego systemu podatkowego? Moim zdaniem nie – bo tego się ani nie da zrobić, ani nie powinno się próbować. Ryzyko przedsiębiorców jest zróżnicowane, inne ponosi właściciel piekarni, a jeszcze inne założyciel startupu.

Gdyby celem podatków miało być rekompensowanie ryzyka, należałoby stworzyć system dopasowany do sytuacji każdego podatnika. Byłoby to i niepraktyczne, i niesprawiedliwe. Zadaniem systemu podatkowego nie jest wycena i nagradzanie różnych życiowych wyborów, lecz finansowanie wspólnych wydatków państwa. Przedsiębiorcy miewają świetny instynkt rynkowy i to dzięki niemu odnoszą sukces. Jestem przekonany, że większość z nich wolałaby jednolity, przewidywalny i prosty system dla wszystkich, zamiast gąszczu wyjątków, preferencji i ulg, które faworyzują jednych kosztem innych.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

eprasa.pl ed1902df8f



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Nie muszą cierpieć

DOROTA ROMANOWSKA

MEDYCYNA | Ból utrudnia zdrowienie i może odbić się na psychice dziecka. Choć naukowcy wiedzą to od lat, wciąż wielu małych pacjentów jest skazywanych na udrękę.

Miał zaledwie pięć lat, ale szybko tracił oddech. Nie był w stanie biegać ani bawić się z dziećmi. W wyniku rzadkiej choroby Filip miał zdeformowaną klatkę piersiową – odległość między mostkiem a przednią częścią kręgosłupa wynosiła u niego ok. 2,5 cm. Ściśnięta była prawa część serca.

Deformacja postępowała, a chłopiec coraz trudniej łapał oddech. Jedynym sposobem, aby Filip mógł rozwijać się jak inne dzieci, okazała się operacja.

– Wiedzieliśmy, że ból po zabiegach korygujących deformacje klatki piersiowej jest ogromny. Szukaliśmy metody, aby ulżyć naszym pacjentom. Rozwiązaniem okazała się krioanalgezja – mówi prof. Jowita Biernawska, anestezjolog z Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego nr 1 w Szczecinie. Operacja ta (refundowana przez NFZ) polega na poddaniu nerwu podżebrowego temperaturze wynoszącej minus 20 stopni C. Dochodzi wówczas do przejściowego uszkodzenia nerwu, dzięki czemu nie przewodzi on sygnałów bólowych. Efekt utrzymuje się przez 3 do 6 miesięcy.

Krioanalgezja zdziałała cuda. Filip już na drugi dzień po zabiegu biegał po korytarzu i bawił się z rodzicami, tocząc większą od siebie piłkę i wrzucając ją na fotel. Na trzecią dobę został wypisany ze szpitala. – Nic go nie boli ani nie ma zaburzeń czucia na klatce piersiowej – podkreśla prof. Biernawska.

– Gdybyśmy nie zastosowali mrożenia nerwów, chłopiec leżałby w szpitalu dwa tygodnie i proces wczesnej rehabilitacji byłby bardzo utrudniony – mówi dr hab. Sławomir Zacha, kierownik Kliniki Ortopedii Dziecięcej i Onkologii Narządu Ruchu w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym nr 1 w Szczecinie.

Mniej bólu, mniej szpitala

Gdy lekarze zauważyli, że po tym zabiegu dzieci mają o wiele mniej nasilony ból i można je wypisywać ze szpitala w trzeciej dobie, a nie w siódmej, jak było dotychczas, krioanalgezję zaczęli przeprowadzać rutynowo. – Nasi pacjenci szybciej wracają teraz do sprawności. Już w pierwszej dobie po zabiegu zaczynają wykonywać pierwsze ćwiczenia rehabilitacyjne, wstawać z łóżka, chodzić – mówi prof. Biernawska.

Lekarze ze Szczecina zoperowali w ten sposób ponad 300 dzieci. – Zabieg jest bezpieczny i skuteczny, co potwierdza kilkadziesiąt publikacji naukowych. Obecnie jest to metoda rekomendowana dla wszystkich operacji w obrębie klatki piersiowej, także kardiochirurgicznych czy nowotworowych – mówi dr Zacha.

Jego zespół pierwszą krioanalgezję u dzieci przeprowadził w maju 2022 r.; na świecie jest ona stosowana od 2016 r. – Wykonuje się ją podczas operacji, nie trzeba zatem pacjenta po raz kolejny poddawać narkozie. Zabieg wydłuża całą operację o 12-15 minut, ale uważam, że jest to niewielka cena za tak dużo korzyści – mówi prof. Biernawska.

Standardowa metoda leczenia bólu, realizowana dotychczas w Polsce, to farmakoterapia dożylna oraz blokady regionalne, czyli zastrzyki z lekiem znieczulającym. Każdej z tych metod, zdaniem prof. Biernawskiej, daleko do doskonałości. Leki mają działania niepożądane, mocno obciążają ważne narządy

eprasa.pl ed1902df8f

(np. wątrobę, nerki), a blokady zewnątrzoponowe w odcinku piersiowym wiążą się z ryzykiem komplikacji oraz koniecznością utrzymania cewnika, który wystaje przez skórę pleców i połączony jest z pompą aplikującą środek przeciwbólowy przez 72 godziny.

Utrudnia to rehabilitację, a po usunięciu cewnika powraca silny ból, gdyż tkanki są jeszcze niezagojone (trwa to 6-8 tygodni). Dzieci mogą wtedy cierpieć przy każdym oddechu, szczególnie przy głębokim, więc nie chcą ćwiczyć. A płytkie oddechy po intubacji i operacji klatki piersiowej zwiększają ryzyko zapalenia płuc.

W niedawno zaktualizowanych standardach leczenia bólu opracowanych przez sekcję pediatryczną Towarzystwa Anestezjologii i Intensywnej Terapii pojawiło się zalecenie stosowania krioanalgezji, ale nadal zabieg ten nie jest u nas powszechnie wykonywany.

Lista powikłań

W polskich szpitalach każdego roku wykonuje się około 1,5 mln zabiegów – u części pacjentów rozwija się przewlekły ból pooperacyjny. Niektórzy eksperci uważają, że doświadcza go jeden pacjent na dziesięciu, ale są też tacy, którzy twierdzą, że po niektórych zabiegach może on dotyczyć nawet połowy z nich. Wszyscy eksperci są jednak zgodni: uśmierzanie bólu ostrego powinno stanowić integralną część postępowania okołooperacyjnego.

Niewłaściwie leczony ból prowadzi do poważnych konsekwencji: zwiększa ryzyko powikłań krążeniowo-oddechowych, zakrzepicy, osłabia odporność oraz opóźnia rehabilitację. Dodatkowo wywołuje lęk, bezsenność, uszkadza mózg. – Dlatego pacjenci dotknięci bólem przewlekłym mają problemy z zapamiętywaniem, chorują na depresję, mają stany lękowe i zaburzenia snu – tłumaczy dr n. med. Magdalena Kocot-Kępska z Zakładu Badania i Leczenia Bólu Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Pod wpływem bólu przewlekłego zwiększa się obszar w mózgu, który odbiera i interpretuje sygnały bólowe. – W jednych miejscach dochodzi do pączkowania komórek nerwowych, a w innych do ich obumierania. W badaniach z zastosowaniem rezonansu magnetycznego wykazano, że zmniejsza się też gęstość i objętość substancji szarej, podobnie jak dzieje się to w wyniku starzenia – mówi dr Kocot-Kępska.

Wiarygodnych badań, które pokazują, jak destrukcyjny wpływ na organizm ma ból, są już setki – nadal jednak ból ostry po operacjach nie jest skutecznie leczony, zarówno u dorosłych, jak u dzieci. Potwierdzili to inspektorzy NIK.

„W większości skontrolowanych szpitali (w 69 proc.) w wymaganym terminie nie wdrożono procedury leczenia i oceny skuteczności leczenia bólu, a personel medyczny (w 94 proc. szpitali) nie dokumentował pomiarów natężenia bólu u wszystkich odczuwających ból pacjentów i nie monitorował skuteczności zastosowanego leczenia przeciwbólowego" – czytamy w raporcie. Zaniedbania w diagnostyce i terapii przeciwbólowej dotyczyły także oddziałów pediatrycznych i neonatologicznych.

Od opublikowania raportu NIK minęło już dziesięć lat, ale przez ten czas praktycznie nic się nie zmieniło. – Jest źle, co potwierdzają historie naszych pacjentów. Jednym z nich jest chłopiec hospitalizowany z powodu zapalenia wyrostka robaczkowego, wokół którego pojawił się ropień, doszło do zapalenia otrzewnej. Potrzebna była rozległa operacja, po której dziecko dostawało paracetamol, i to tylko na żądanie. Nic więcej – mówi lek. Anna Łotowska-Ręczmień, specjalistka anestezjologii i intensywnej terapii, prezeska Fundacji „Nie musi boleć". Jej zdaniem takie podejście do leczenia bólu u małych pacjentów jest niestety raczej standardem, a nie wyjątkiem.

Cierpienie na sygnale

Równie niewłaściwie są leczone dzieci, które np. uległy wypadkom i są karetką wiezione do szpitala. Z badania, które w 2019 r. przeprowadził prof. Andrzej Basiński z Katedry i Kliniki Medycyny Ratunkowej w Gdańskim Uniwersytecie Medycznym, wynika, że jedynie 16,58 proc. pacjentów poniżej 18. roku życia z urazami wielonarządowymi otrzymuje leczenie przeciwbólowe. Wśród dorosłych – 25,23 proc.

Na zlecenie Ministerstwa Zdrowia prof. Basiński wraz z zespołem opracował w 2019 r. dokument „Dobre praktyki leczenia bólu u dzieci". Standardy powstały w celu zwalczania tzw. „oligonalgezji", czyli zjawiska powszechnego nieodpowiedniego uśmierzania bólu u najmłodszych pacjentów w opiece przedszpitalnej i ratownictwie medycznym. Problem nadal nie został jednak rozwiązany.

„Wciąż pokutuje przekonanie, że podanie środków przeciwbólowych przed przyjęciem pacjenta do szpitala może maskować objawy i tym samym utrudnić postawienie prawidłowej diagnozy" – mówił w czerwcu tego roku podczas spotkania Parlamentarnego Zespołu ds. Medycyny Bólu dr Bartosz Kudliński z Zakładu Anestezjologii, Intensywnej Terapii i Medycyny Ratunkowej Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Ból ostry źle leczony lub nieleczony prowadzi do bólu przewlekłego. Z dziecka z bólem przewlekłym wyrośnie dorosły z bólem przewlekłym, który będzie się leczyć przez całe życie (być może również psychicznie). – Mitem jest przekonanie, że dziecko z bólu wyrośnie – dodaje lek. Łotowska-Ręczmień.

Lekarze i pielęgniarki nie są jednak kształceni w leczeniu bólu przewlekłego u dzieci. Uważają, że wystarczy im podać paracetamol lub ibuprofen, a cierpienie minie. To nieprawda. „Ryzyko, że źle leczony lub nieleczony ból ostry doprowadzi do bólu przewlekłego wynosi od 50 do 90 procent" – mówił w czerwcu podczas wspomnianego już spotkania w Sejmie dr hab. Dariusz Kosson z Wydziału Nauk o Zdrowiu Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. – Jeśli wybierzemy metody leczenia bólu ostrego, które są relatywnie tanie, to unikniemy leczenia groźnych powikłań. Są to też wymierne oszczędności dla systemu.

Lekarze muszą zrozumieć

Jeszcze do niedawna na studiach medycznych w ogóle nie było zajęć z leczenia bólu. Obecnie na niektórych uczelniach są prowadzone wykłady na ten temat, ale mówi się na nich tylko o tym, jak leczyć ból u dorosłych. Można zatem uznać, że problem specyficznego bólu przewlekłego u dzieci nie istnieje. – I do takich wniosków doszła ogromna większość społeczeństwa, w tym kadry medyczne – uważa lek. Łotowska-Ręczmień.

Statystyki przeczą temu przekonaniu. W 2024 r. dr Cristine Chambers z kanadyjskiego Centre for Pediatric Pain Research w Halifax wykazała, że co najmniej jedno na pięcioro dzieci doświadcza bólu przewlekłego, najczęściej z powodu bólów głowy, także migrenowych. ↦

eprasa.pl ed1902df8f

↦ – Ale gdy dziecko mówi, że boli je głowa, to zazwyczaj uznaje się, że szuka wymówki, aby uniknąć klasówki w szkole czy też sprzątania pokoju – uważa lek. Łotowska-Ręczmień.

Drugą grupę stanowią dzieci z bólami mięśniowo-szkieletowymi (np. w wyniku skoliozy czy po operacjach ortopedycznych), a trzecią – z przewlekłym bólem brzucha. Są jeszcze dzieci z bólami wielomiejscowymi (np. chorujące na fibromialgię), bólem neuropatycznym i problemami onkologicznymi.

Takie dane dr Chambers uzyskała po przeprowadzeniu metaanalizy. Przeszukała bazy z publikacjami medycznymi i wybrała artykuły naukowe dotyczące bólu przewlekłego u dzieci i młodzieży do 18. roku życia (opublikowane między 1 stycznia 2009 r. a 30 czerwca 2023 r.) Takich badań było prawie 120, a uczestniczyło w nich ponad milion dzieci z 70 krajów.

Nie wiadomo, jak jest w Polsce. Fundacja „Nie musi boleć" dopiero rozpoczęła badanie, które ma pomóc ustalić, jak często dzieci w naszym kraju odczuwają ból, z jakim konkretnie bólem się mierzą i jakiego wsparcia potrzebują. Jest ono skierowane do uczniów szkół podstawowych i średnich w wieku od 7 do 18 lat.

Specjalne ankiety, dostosowane do wieku, wypełniają dzieci, a nie ich rodzice. Dlatego fundacja nie objęła tym projektem przedszkolaków. Do nich będzie skierowany drugi etap badania, bardziej czasochłonny i kosztowny, bo z dziećmi będą rozmawiali wolontariusze.

– Ankiety powoli do nas spływają i budzą moje przerażenie. Wynika z nich, że w Polsce ten problem jest jeszcze większy niż to, co pokazała kanadyjska metaanaliza – mówi lek. Łotowska-Ręczmień.

Trzy poradnie na kraj

W Polsce działają tylko trzy poradnie leczenia bólu u dzieci – w Katowicach, Warszawie przy Centrum Zdrowia Dziecka oraz w Białymstoku. W teorii jednak każda placówka leczenia bólu w Polsce ma kontrakt NFZ na leczenie wszystkich pacjentów, niezależnie od wieku. Większość z nich przyjmie 16-latków czy 17-latków z bólami głowy, bo są to już prawie dorosłe osoby – ale czterolatka niekoniecznie. Bo dziecko to nie jest „mały dorosły" i trzeba umieć się nim zająć. Nie zawsze potrafi też powiedzieć, co je boli. Trzeba chcieć i umieć je wysłuchać.



ARCHIWUM PRYWATNE

ANNA ŁOTOWSKA-RĘCZMIEŃ:

Z powodu bólu przewlekłego dzieci są często stygmatyzowane, ignorowane, przez wiele lat nie uzyskują diagnozy i tym samym skutecznej terapii.

Najmłodsze dziecko, które trafiło do poradni leczenia bólu w Białymstoku, miało 2,5 roku. Było po operacji przepukliny oponowej. Miało dużą bliznę i ból neuropatyczny stóp. – Ale z tą dziewczynką można było zwyczajnie porozmawiać, oczywiście na jej poziomie i jej językiem. Oczywiście nie powiedziała nam, że doświadcza bólu neuropatycznego, ale mówiła, że gdy się kładzie do łóżka, to kołdra jest twarda i ostra, oraz że cały czas czuje piasek w skarpetkach. A gdy mama masuje jej stopy, to piasku w skarpetach jest mniej – opowiada lek. Łotowska-Ręczmień. – Nie trzeba posiąść wyjątkowych kompetencji, aby zrozumieć, co dziecko chce przekazać.

Dziewczynka uzyskała pomoc dzięki czujności mamy, która zainteresowała się tym, co córka mówi, i nie pomyślała, że skarżąc się na piasek w skarpetkach, wymusza na niej np. masowanie stóp. A tak twierdził neurolog. To też jeden z najczęstszych mitów – powszechne przekonanie, że jeśli dziecko mówi, że coś je boli, to kłamie, bo chce coś osiągnąć.

– Z powodu bólu przewlekłego dzieci są często stygmatyzowane, ignorowane, przez wiele lat nie uzyskują diagnozy i tym samym skutecznej terapii – mówi lek. Łotowska-Ręczmień. – Mamy teraz w poradni dziewczynkę, która w wyniku leczenia onkologicznego miała amputowaną nogę. Rozwinęła ból fantomowy i trafiła do nas już po trzech tygodniach od pojawienia się bólu. Jednak cała reszta pacjentów przychodzi do nas nawet po dwóch, trzech, a nawet pięciu latach bezskutecznego szukania pomocy. Nikt rodzicom nie powiedział o istnieniu takiej poradni.

Kolejek w poradni nie ma – dzieci nie czekają na wizytę dłużej niż dwa tygodnie.

Iść drogą Kanady

Polska nie jest wyjątkiem. W zdecydowanej większości krajów na świecie, do których lubimy się porównywać, leczenie bólu u dzieci także jest na niskim poziomie. Najlepiej jest w Kanadzie, nieźle w niektórych stanach USA i w Wielkiej Brytanii. Wszędzie zmiany zachodzą jednak bardzo powoli. Dopiero w latach 90. XX w. naukowcy dostarczyli niezbitych dowodów, że wcześniaki i noworodki czują ból. Wcześniej przekonywali, że w zasadzie to niemożliwe, bo tak małe dzieci mają nie w pełni wykształcony układ nerwowy.

– Są lekarze, którzy nadal tak uważają. Ich zdaniem dzieci płaczą, bo się boją, a nie dlatego, że coś je boli – mówi lek. Łotowska-Ręczmień. – Dla mnie w tym micie najgorsze jest to, że zawiera ono ziarno prawdy, bo pierwsza część, że dzieci mają nie w pełni wykształcony układ nerwowy, jest prawdą. Tyle tylko, że ta niedojrzałość u wcześniaków, noworodków czy niemowlaków obejmuje naturalne układy hamowania bólu, a to oznacza, że czują one ból silniej niż dorośli – zapewnia lek. Łotowska-Ręczmień.

Gdy kilka lat temu mój syn złamał kość przedramienia z przemieszczeniem i musiał być operowany, w karcie wypisu ze szpitala wśród różnych zaleceń nie dostał żadnych informacji na temat uśmierzania bólu. Miesiąc później mój pies przeszedł operację usunięcia podejrzanej zmiany na skórze. Pani weterynarz kilka razy przypominała mi, aby regularnie podawać mu lek przeciwbólowy i podkreślała, jak jest to ważne w zdrowieniu zwierzęcia...

© DOROTA ROMANOWSKA

eprasa.pl ed1902df8f



DANIEL DMITRIEW / FORUM

Przed pisemną maturą z języka polskiego. Lubliniec, 4 maja 2026 r.

Szkoła mniej niż średnia

PROF. KRZYSZTOF BIEDRZYCKI, BADACZ EDUKACJI:

OŚWIATA | Badania PISA pokazują, że co czwarty polski nastolatek, zwykle uczeń szkoły branżowej, nie rozumie prostych tekstów. Musimy wymyślić ten sektor szkolnictwa na nowo.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Może Pan swobodnie narzekać na młode pokolenie: nawet jeśli jakimś cudem przeczytają nasz wywiad, mogą go nie zrozumieć.

KRZYSZTOF BIEDRZYCKI: Mówi pan o co czwartym polskim piętnastolatku badanym przez PISA i o tym, że pomiar wykazał tzw. funkcjonalny analfabetyzm tej grupy. Obawiam się, że oznacza on coś gorszego niż brak zrozumienia tekstu w „Tygodniku Powszechnym".

Za moment do tego wrócimy, ale zacznijmy od informacji dobrych: badanie PISA, czyli największy na świecie, wykonywany co trzy lata pomiar kluczowych umiejętności nastolatków z krajów OECD, po raz kolejny pokazał, że polska edukacja ma się nieźle.

Wyniki tej edycji PISA są o tyle ciekawe, że widzimy w nich światowe spadki kompetencji we wszystkich badanych dziedzinach – czytaniu, rozumowaniu matematycznym i przyrodzie – przy czym w czytaniu są one największe. Może to być wydłużony efekt pandemii, ale też rezultat ekspansji elektroniki.

Dobra informacja dla nas jest rzeczywiście taka, że jesteśmy jednym z niewielu krajów, w których ten spadek nie nastąpił, mimo iż to samo badanie PISA wykazuje, że polscy nastolatkowie są bardziej uzależnieni od ekranów niż młodzież w innych krajach, a nawet częściej używają telefonów podczas szkolnych przerw. Nie bardzo wiadomo, jak wyjaśnić ten paradoks. Być może wynika on z faktu, że u nas największe spadki już nastąpiły – w 2022 r. zobaczyliśmy wielki regres w stosunku do roku 2018.

Wtedy przyczyny tąpnięcia na świecie upatrywano w pandemii, a w Polsce dodatkowo w likwidacji gimnazjów. W rezultacie wypadliśmy wówczas ze ścisłej światowej czołówki, pozostając jednak wyraźnie powyżej średniej i unijnej, i krajów OECD.

Tę pozycję potwierdza obecna edycja PISA: w każdej z badanych dziedzin jesteśmy wysoko. To, co może martwić, to utrzymująca się skala najsłabszych wyników – mniej więcej co czwarty, co piąty polski piętnastolatek nie wykazuje podstawowych kompetencji koniecznych do funkcjonowania w społeczeństwie.

W czytaniu oznacza to tzw. funkcjonalny analfabetyzm. Co to takiego?

Chodzi o uczniów, którzy są w stanie zrozumieć tylko najprostsze informacje, ale mogą mieć problemy nawet z połączeniem dwóch wiadomości w tym samym tekście. Uczeń na tym poziomie zrozumie oczywiście napis na sklepie: „Czynne od 9.00 do 15.00", pojmie też SMS o treści: „Będę u ciebie jutro wieczorem". Natomiast jeśli dostanie instrukcję obsługi jakiegoś urządzenia, może mieć duże trudności. Nie mówiąc już o tym, że gdy otrzyma krótki tekst z sieci, np. z zakresu polityki czy nauki, najprawdopodobniej nie połączy zawartych tam informacji w całość.

Jeśli takie braki mają faktycznie dotyczyć co czwartego Polaka, to słabo rokuje przyszłemu społeczeństwu.

Tak, choć znowu warto to ustawić w światowym kontekście. Zarówno w skali państw OECD, jak i krajów unijnych, ten polski odsetek najgorszych wyników i najniższych kompetencji i tak jest relatywnie niewielki. Co mają powiedzieć Cypryjczycy lub Bułgarzy, gdzie tego rodzaju poziom wykazuje około dwóch trzecich uczniów!

Komisja Europejska zakreśliła wiele lat temu maksymalnie 15-procentowy próg tych najsłabszych rezultatów. Polska w swoich najlepszych latach, czyli do 2018 roku, była jednym z niewielu krajów, które te wyśrubowane standardy spełniały. Teraz już tak dobrze nie jest.

Przyjrzyjmy się bliżej tym tysiącom polskich nastolatków, którzy mają elementarny problem z rozumieniem tekstu.

To raczej nie jest grupa uczniów, która będzie przystępować do matury, a tym bardziej ubiegać się o indeksy studentów. A jeśli nawet, to niekoniecznie z powodzeniem. Ogromna część tych ↦

eprasa.pl ed1902df8f

↦ nastolatków to uczniowie szkół branżowych pierwszego stopnia, czyli dawnych zawodówek. Odsetek chodzących do tych szkół, którzy spadają poniżej wspomnianego najniższego progu kompetencji, to aż dwie trzecie! W liceach ta grupa to w zasadzie margines, w technikach nieco więcej, ale nadal niedużo.

Wniosek jest dość ponury: jeden z najważniejszych sektorów polskiego szkolnictwa ponadpodstawowego nie jest w stanie ochronić nawet połowy swoich uczniów przed funkcjonalnym analfabetyzmem!

W dodatku niewiele wiemy o przyczynach tego zjawiska, ponieważ ten typ szkół mamy bardzo słabo przebadany. Niewiele też wiemy o uczniach branżówek. Poza tym, że kończą podstawówkę, dostają się bez problemu – to znaczy zwykle bez selekcji – do szkoły branżowej, a następnie są przez nas zostawiani sami sobie.

W jakim sensie?

W takim, że szkoła branżowa jest skupiona na nauce zawodu – ci, którzy nie mają ambicji podejść do matury, w zasadzie nie muszą już się przykładać do ogólnego wykształcenia. Kiedyś wysunąłem postulat, by w ramach egzaminu zawodowego na koniec branżówki pierwszego stopnia młody człowiek mierzył się też z zadaniem sprawdzającym kompetencje komunikacyjne na podstawowym poziomie. Postulat przeszedł w zasadzie bez echa.

Tymczasem w podstawach programowych szkół branżowych zapisujemy w zasadzie powtórzony kurs licealny, co jest kompletną fikcją. Na miłość boską, skoro większość uczniów tych placówek nie rozumie prostych komunikatów, to jaki sens ma zmuszanie ich do przeczytania „Lalki"! Oni przecież tego nie zrobią; w najlepszym razie obejrzą film, mając już obecnie większy wybór – lecz i to wątpliwe. „Lalka" Prusa wpadnie więc do czarnej dziury, a my stracimy czas, który można by było wykorzystać na wyrównywanie szans i wyposażanie tych młodych ludzi w podstawowe kompetencje – także czytelnicze.

Znowu kłania się nam likwidacja gimnazjów: ich istnienie wydłużało okres wspólnej nauki wszystkich uczniów z ośmiu do dziewięciu lat.



KAMIL PIKLIKIEWICZ / DDTVN / EAST NEWS

DR HAB. KRZYSZTOF BIEDRZYCKI jest profesorem na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, badaczem literatury i edukacji. Pracuje też w Instytucie Badań Edukacyjnych, który odpowiada za polską edycję międzynarodowego badania PISA.

To była decyzja katastrofalna, która sprawiła, że dzisiaj w badaniach PISA mamy dużo fatalnych wyników – zwłaszcza w szkołach poza dużymi miastami. Ale równie negatywny jest wpływ sposobu, w jaki edukujemy uczniów branżówek.

Stereotypowo moglibyśmy zapytać: po co przyszłemu ślusarzowi albo hydraulikowi, który zresztą może w przyszłości liczyć na dość stabilny zarobek, praca z tekstem?

Choćby po to, by mógł się komunikować z ludźmi, także z klientami, będąc w stanie nie tylko wymienić uszczelkę, ale też wytłumaczyć, co się tak naprawdę stało. W ogóle umiejętności miękkie, interpersonalne, przydadzą mu się niezależnie od tego, czy tym hydraulikiem zostanie, czy też nie. Zresztą w tej chwili fachowiec to już nie jest facet przychodzący do nas z kluczem francuskim – to są specjaliści obsługujący coraz bardziej skomplikowane urządzenia, do czego też są potrzebne kompetencje poznawcze.

Nie da się również pominąć faktu, że dzisiaj i w przyszłości – na niepewnym i zmieniającym się rynku pracy – będzie potrzebna gotowość do nieustannego uczenia się, rozwoju. Jeśli my tych młodych ludzi już na wejściu do procesu uczenia się zniechęcamy, to możemy im w ten sposób zafundować problemy z pracą. Do branżówek tymczasem idzie mniej więcej co piąty polski absolwent podstawówki, a wysuwa się postulat zwiększenia tej puli. Skoro tak, to robi się nam z takiego, a nie innego wyniku PISA problem społeczny.

Jak go rozwiązać? Wymyślając szkolnictwo branżowe na nowo?

Zdecydowanie tak. Cała dydaktyka powinna być inaczej ustawiona. W tej chwili nie wiadomo dlaczego zakładamy, że każdy uczeń branżówki pierwszego stopnia pójdzie do szkoły drugiego stopnia i przystąpi do matury. Więc wszystkich jak leci do tej matury przygotowujemy, mimo iż egzamin maturalny w obecnej formule jest przecież przepustką na studia. A nie każdy na te studia pójdzie.

Nawiasem mówiąc, także przygotowywanie do matury w tego rodzaju szkołach idzie nam dość słabo. Wyniki tego egzaminu wśród uczniów branżówek drugiego stopnia są od lat znacząco niższe niż w technikach i liceach. Być może także to jest efektem nierealistycznych wymagań, stawianych uczniom? Nauczyciele tych placówek powtarzają, że lekcje języka polskiego są na poły fikcyjne. W ogóle nie ma mowy o czytaniu tekstów z literackiego kanonu – można co najwyżej prowadzić z uczniami luźne rozmowy.

Jaka jest recepta? Zrezygnować z czytania?

Absolutnie nie! Czytać, i to czytać także teksty literackie, ale inaczej je dobierać. To naprawdę nie muszą być ani „Dziady", ani „Lalka", chyba że w odpowiednio dobranych fragmentach. Za to mogą być pozycje współczesne dla nich interesujące. Jeśli piętnastolatek z branżówki ma obowiązek przeczytania arcydzieł polskiej klasyki literackiej, to nie dziwmy się, że staje przed tym zadaniem przerażony. To tak jakby kazać komuś słabo wyrobionemu w wędrówkach wchodzić na Everest. Wiadomo, że się przestraszy, w efekcie może w przyszłości nie wejść nawet na Gubałówkę.

Za dużo dla tych uczniów chcemy, w efekcie czego przegapiamy to, co jest dla nich najważniejsze. To się musi zmienić, jeśli w kolejnych edycjach czytelniczej części badania PISA chcemy zobaczyć progres.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

eprasa.pl ed1902df8f



Powyżej i na następnej stronie: górnośląskie hałdy

Republika Hałdy

TEKST: ZBIGNIEW ROKITA
FOTOGRAFIE: AREK GOLA

ŚLĄSK | Gdyby Heraklit zamiast w Efezie urodził się w Radlinie bądź Wodzisławiu, powiedziałby, że nie da się wejść dwa razy na tę samą hałdę. I miałby słuszność.

Kiedy byłem tu po raz ostatni, ta hałda była inna. Wszystko było czarne, hałda była wszędzie. Musieli trochę jej wybrać – mówi mi Arek Gola. Hałdy fotografuje czwartą dekadę.

Jesteśmy w Świerklanach, między Rybnikiem i Jastrzębiem. – Z tamtej strony znów hałda się posunęła, powoli pożera okoliczne domy. O, tutaj była łączka, na której rosły drzewa, a teraz jest jezioro z wystającymi konarami. Teren osiadł, woda wybiła.

– Jak wrócimy za pięć lat, jeziorko będzie większe?

– Może być większe, a może go wcale nie być. Nigdy nie wiesz. Hałdy są w ciągłym ruchu, za każdym razem, gdy na którąś wracam, jest inna.

W OKAMGNIENIU rodzą się tu i giną jeziora, strumienie, wyrastają lasy, aby potem zmienić się w biologiczne pustynie. Góry co rusz przeobrażają się w doliny, a doliny w góry. Tak jak teraz: ciężarówka obok nas, wyrzucając odpady, usypuje hałdę, jej wierzchołek rośnie, podwaja, potraja, poczwarza, przepoczwarza, galopuje orogeneza świerklańska – powstaje nowy szczyt.

To przyroda na naszą śląską miarę, niedoprzyroda, natura nienaturalna, natura wynaturzona, stworzona przez człowieka, a potem podszywająca się pod coś, czym nie jest.

ONA POTRAFI zwieść. Tak jak mnie zwiodła, gdy za dziecka myślałem, że pochodzę z krainy jezior, aby później dowiedzieć się, iż to pozalewane kamieniołomy, wyrobiska kopalni żwiru, piasku, gliny, do których ktoś nawpuszczał ryb.

Arek idzie przodem, jest w swoim żywiole. – W której porze roku hałda jest najpiękniejsza? – pytam.

– Najbardziej lubię ją, gdy topnieje śnieg. Wtedy biel przełamuje czerń, hałda staje się łaciata. Minimalizm pejzażu jest niespotykany – mówi.

JESZCZE TROCHĘ w górę. Muszę podpierać się rękami, po kostki grzęznę w błocie, buty są pełne węglowego łupku. Jestem zmęczony, ale Arek zamierza iść dalej. Przecież się nie przyznam, że mam dość.

Wywrotki nieustannie sypią, przed nami wyrasta kolejny kopczyk. Hałda jest szczodra, a my sprawdzamy, czym obrodziła tym razem. – Ktoś się ucieszy: trochę złomu, trochę węgla – mówi Arek. – Ale z latami przeróbka na grubie jest coraz lepsza i na hałdę trafia coraz mniej węgla. Głównie kamień, łupek...

Hałda w Świerklanach ma różne oblicza: w jednym miejscu przyroda się odważa, wyrasta zagajnik czy łączka, a w innym krajobraz zmienia się w księżycowy, surowy. – Nie podchodź za blisko skarpy – przestrzega Arek.

TAK, MUSIMY uważać. Hałda żywi, ale może też zabić. Tu ginie się na wiele sposobów, ↦

eprasa.pl ed1902df8f

↦ np. pod lawiną, zabójczym osuwiskiem szlaki i łupku. Niejeden *ôżyrok* dał się uwieść hałdzianym syrenom, zasnął, a ulatniające się modre gazy utuliły go do snu tak mocno, że nigdy się nie obudził.

Można również spaść i połamać nogi. A że to odludzie, to gdyby ktoś był tu sam i coś by mu się stało, nikt go nie znajdzie. Można wreszcie w hałdę wpaść i zniknąć na zawsze. Wiele hałd wciąż płonie żywym ogniem, a temperatura w ich wnętrzach dochodzi do kilkuset stopni.

Hałdy pochłonęły wiele istnień, skrywają truchła boroków, którzy wpadli do wnętrza i spłonęli. Ale nie dziwi mnie to: ta hica wabi, gorąc przyciąga, hałdy to dobre miejsca na koniec życia lub na jego początek – Kazimierz Kutz twierdził wszak, że najlepszym miejscem na miłość są właśnie rozgrzane węglem hałdy.

WSPINAMY SIĘ. Podnoszę kamień, jest na nim dziwny kształt. Odcisnęła się roślina: paproć czy widłak. Rosły w tym miejscu setki milionów lat temu. Poprzez kamień patrzę w przeszłość, a moja wyobraźnia jest bezsilna wobec ogromu czasu. – To właśnie malował Holesz – mówi Arek.

Ludwik Holesz był malarzem urodzonym w Szerokiej, wiosce parę kroków stąd, widać ją z hałdy. Malował najbliższą okolicę, ale tę z ery karbonu, która zakończyła się 300 milionów lat temu. Na Górnym Śląsku rosły przecież ogromne lasy, pełne drzewiastych paproci, wężowych liści, kilkudziesięciometrowych skrzypów i widłaków oraz kalamitów z pustymi pniami i podziemnymi kłączami.

Tropikalna górnośląska puszcza była tak bogata, że przyroda nie nadążała z rozkładaniem szczątków, paprociowe trucha pogrążały się w mokradłach, zmieniały w torf, a torf w węgiel. To właśnie ów karboński Górny Śląsk dowyobraził sobie i namalował Holesz, pracownik okolicznych kopalń, którego prace podziwiał świat, od hajerów z kopalni w Jastrzębiu po brytyjską królową.

HOLESZ WIDZIAŁ miejsce, w którym teraz jesteśmy, w trójnasób: najpierw własnymi oczami jako rajską Ptasią Dolinę swojej młodości, później jako śląską bliznę, pomnik arogancji człowieka, który kiełzna naturę, a w końcu oczami wyobraźni jako karboński las. Przez chwilę stoję patrzę w karbońską paproć i widzę świat jego oczami. Myślę o tym, co pod ziemią, jako o podziemnym lesie, wyobrażam sobie, że węgiel był kiedyś zielony.

Co jakiś czas zauważamy kogoś w oddali. Ktoś zbiera złom, ktoś inny węgiel, ktoś łowi ryby, a ktoś dokądś zmierza – może szuka mułu węglowego. Nędzarze suszą go, a potem palą nim w piecach. Kopci jak sto czortów.

– Spójrz, jaka ta hałda jest ogromna – mówi Arek. – Jeśli tyle wydobyli tu spod ziemi, to jak ogromna musi być pusta przestrzeń pod nami?

PRZEZ CHWILĘ na myśl o setkach kilometrów tuneli rzeczywiście czuję niepokój. Wreszcie – stajemy na szczycie. Stąd widać śląskie kopalnie i zakłady, w tej okolicy sporo ich jeszcze pozostało.

– To, co tam dymi, to chyba koksownia Radlin, a tam Dębieńsko – palcem po landszafcie oprowadza Arek. – A potem kopalnie: Marcel, Jankowice, Chwałowice, Borynia, Zofiówka. Przy lepszej pogodzie dostrzegłbyś Szczygłowice i Pniówek. A tam już kominy czeskie.

Na Górnym Śląsku hałd jest ponad sto. W aglomeracji katowickiej są starsze, ale zdaniem wielu to tutaj, w Rybnickim Okręgu Węglowym, są te najpiękniejsze: stożkowe, wulkaniczne, urokliwsze.

Widok jest oszałamiający. Rozpoznaję królową śląskich hałd, rydułtowską Szarlotę. Ma 407 metrów n.p.m. i gdyby leżała na Białorusi, to przewyższałaby jej najwyższy szczyt, Górę Dzierżyńską.

Gdy przyjedziemy tu następny raz, być może niczego nie poznamy. Gdy tylko odwrócimy wzrok, hałda, ta śląska góra przemienienia, znów się przeobrazi, a my będziemy musieli obłaskawiać ją od początku. © ZBIGNIEW ROKITA

Album **REPUBLIKA HOŁDY. GÓRNY ŚLĄSK 1991-2026** z fotografiami Arkadiusza Goli i tekstem Zbigniewa Rokity, opublikuje Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej w listopadzie 2026 r.



OLGA

Drenda:
Mamy cyberpunk



Fotograf Kuba Dąbrowski złapał kiedyś kadr z teraźniejszości: bezładnie porozrzucane na skrzyżowaniu hulajnogi elektryczne na wynajem. Zapewne nie przypuszczał wtedy, że obserwował obiekt, który przyczyni się do powszechnej zgody między Polakami.

Ruch drogowy to dziedzina, w której każdy ma absolutną rację, a przy tym panuje nieustanny, dynamiczny konflikt frakcji. Ktoś, kto bywa i pieszym, i kierowcą, i rowerzystą, nieustannie przełącza się między tożsamościami. Bywają też niespodziewane sojusze. Gdy mieszkałam w okolicy leśnej, poruszałam się głównie na rowerze w celach i rekreacyjnych, i praktycznych, powiedzmy jak Ojciec Mateusz. Jeździłam dużo, często i przez cały rok. Irytowali mnie szczególnie inni rowerzyści – „weekendowi wojownicy" popisujący się sprzętem, którzy gnali po ścieżkach leśnych, potrącając innych i nigdy nie używali słowa „przepraszam". Ale i oni, i hardzi śląscy rowerzyści-seniorzy, którzy cisnęli od lat na jednym i tym samym kole niezależnie od pogody, i leśnicy w samochodach, jednakowo nie znosili tego samego wroga, czyli crossowców zjeżdżających ze skarpy do rzeczki.

Podobnie dziś niechęć do bezmyślnych użytkowników e-hulajnóg, zwłaszcza małoletnich, pogodziła kierowców, pieszych, rowerzystów, motocyklistów, skuterzystów. Nawet słynący ze swobodnego podejścia do spraw drogowych dziennikarz motoryzacyjny Złomnik nie ma do nich cierpliwości. Wreszcie – dezaprobatę słychać ze strony samych e-hulajnogarzy i e-rowerzystów poruszających się przepisowo, a także – to nowy gracz w zestawieniu – kierowców elektrycznych crossów. Ci ostatni mają ciężki los, jeśli poruszają się zgodnie z prawem, bo ich pojazdy są obciążone fatalnym wizerunkiem. W Polsce kojarzą się z nastolatkami znudzonymi nadmiarem swobody i pieniędzy. W innych krajach zaś głównie ze złodziejami torebek. Na ich szczęście są e-hulajnogarze, którzy dorobili się jeszcze gorszej sławy, bo kojarzą się z niedopilnowanymi dziećmi, czyli tym, co Polaka irytuje najbardziej. Mamy taki cyberpunk, jaki mamy, chciałoby się rzec. Ale gdy ktoś jeździ odpowiedzialnie, to w pełni rozumiem jego złość. Sama nie chciałabym takiej gęby. A mówię to wszystko jako osoba, której frajda ze sportów ekstremalnych jest zdecydowanie nieobca (choć prędzej zjem swój kask, niż zobaczycie mnie na czymkolwiek z napędem elektrycznym).

Nieproszony gość roku 2026



OLGA DRENDA

Mamy możliwość obserwowania w czasie rzeczywistym, co się dzieje, gdy technologia wyprzedza prawo, a nawet obyczaj. Ludzie jeżdżą głupio i niebezpiecznie jedynie dlatego, że mogą. Chwilowo trwa bezkrólewie prawne, które zapewne za moment się skończy, bo pracują na to usilnie ci, którzy jeżdżą, jakby nie było jutra. Dopóki wypadki dotyczą samych użytkowników, można zbywać sprawę, że to na własne ryzyko (warto spisywać makabryczny folklor dotyczący hulajnogarzy, to będzie pamiątka naszych czasów). Ale dochodzi już do bardzo poważnych w skutkach potrąceń, jak ostatnio, gdy przewrócone przez agresywnego hulajnogarza małe dziecko omal nie zginęło. Żarty się kończą, można się pewnie spodziewać jeśli nie zakazu, to grubego zaostrzenia przepisów.

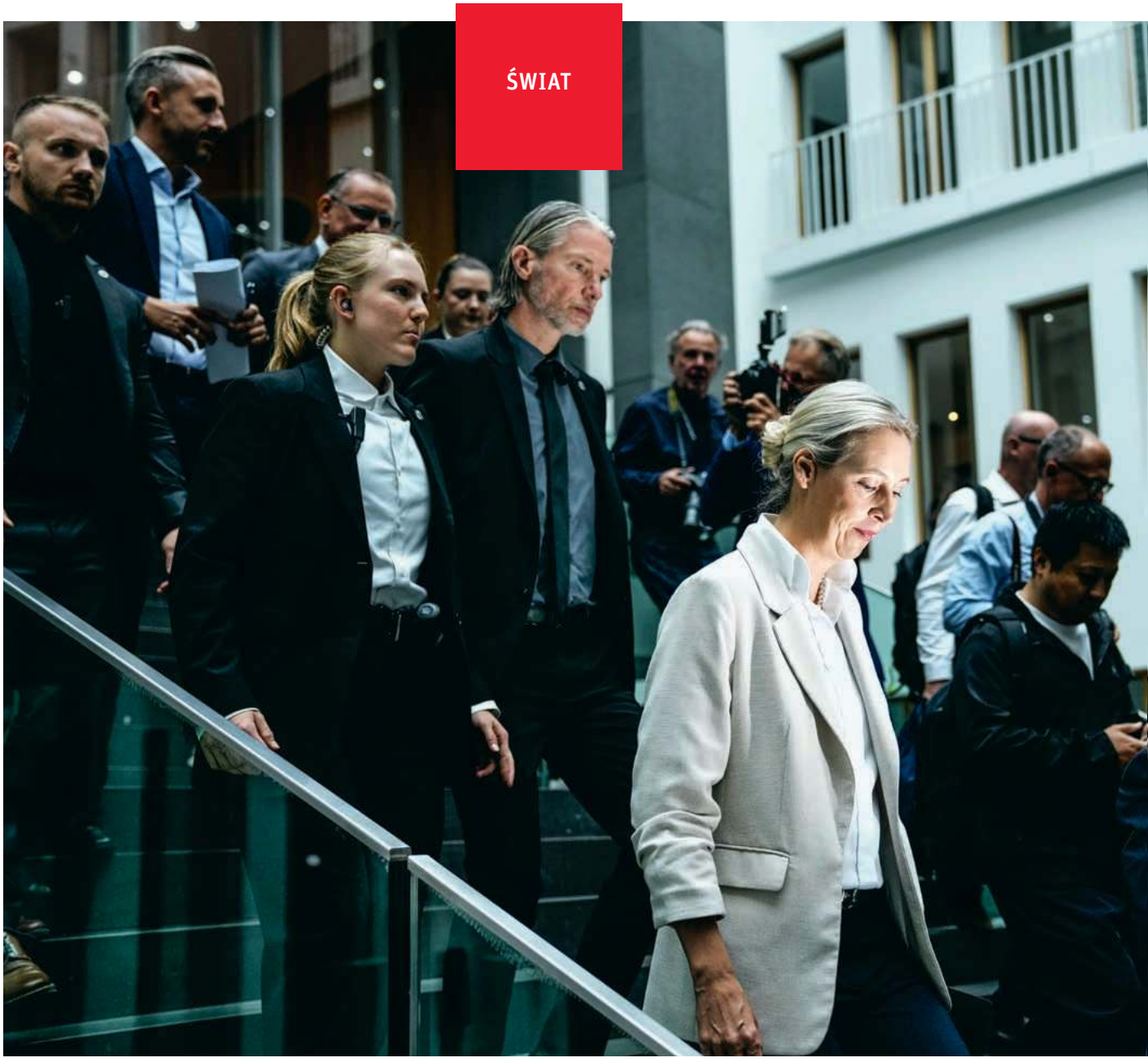
Jest w tym ironia. Pojazdy, które jeszcze niedawno promowano jako sposób na mikromobilność, którymi starsza pani miała komfortowo dojechać do przychodni, przyczyniły się do chaosu na chodnikach i drogach rowerowych. Jak to często bywa, nikt nie przewidział, że można wykorzystać wynalazek niezgodnie z pierwotnym zamysłem. Który to już raz?

Ale też – w czasie bezkrólewia zasady wykuwają się *ad hoc* w bieżących konfliktach. Obserwowanie dynamiki między grupami to ciekawy przykład spontanicznej organizacji. Widać rozczarowujący kryzys wśród dorosłych, którzy wiedzą, że powinni jakoś odpowiedzieć, ale nie chcą pakować się w kłopoty. Młodsi rozwiązują to przy pomocy kontrowersyjnej, lecz czasem skutecznej metody, jaką jest ostracyzm grupowy. Można przypuszczać, że za tworzeniem negatywnego PR-u stoją ci, którzy jeżdżą elektrykami, ale z głową, i nie chcieliby stracić do tego prawa, dlatego posługują się pogłoską, memem, filmikiem. Głupia jazda jest przez nich piętnowana nie dlatego, że jest niebezpieczna, ale dlatego, że jest dziecinna i żenująca: ci, którzy chcą być groźni, wychodzą na „Anioły Piekieł z Temu". To przeciwieństwo jazdy wyczynowej, która wymaga pracy nad sobą, rozsądku i samokontroli, a jeśli ryzykujesz zdrowiem i życiem, to wyłącznie własnym.

Gdyby pojawiła się inicjatywa kogoś z posłuchem i charyzmą, może kolejnym krokiem będzie składanie wniosków do budżetu obywatelskiego albo wynajęcie kawałka gruntu i samodzielna budowa torów do ewolucji. Tak jak od lat robili to skejci. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl ed1902df8f



PRZEPOWIEDNIA DLA NIEMIEC

Powojenny model niemieckiej polityki dogorywa. Coraz więcej Niemców zadaje sobie pytanie, czy przejęcie władzy przez AfD w Berlinie to tylko kwestia czasu. Możliwe są różne scenariusze.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA

eprasa.pl ed1902df8f



FILIP SINGER / EPA / PAP

Alice Weidel, współprzewodnicząca AfD i przyszła kandydatka tej partii na urząd kanclerski, po konferencji prasowej w Berlinie. 7 września 2026 r.

Jest rok 2033 i Alternatywa dla Niemiec w końcu przejmuje urząd kanclerza Republiki Federalnej. W tym celu zawiera koalicję z chadecką CDU. Przez dwie dekady, które minęły od powstania AfD w 2013 r., chadecy nie chcieli słyszeć o współpracy ze skrajną prawicą. W końcu uznają, że wszelkie inne metody – ignorowanie, zwalczanie, próby delegalizacji – nie przyniosły skutku, zatem trzeba iść na współpracę.

Tak zaczyna się – na ten moment wciąż fikcyjna – opowieść o demontażu dotychczasowego porządku prawno-politycznego w Niemczech. Za tym fikcyjnym scenariuszem stoi Justus Bender, dziennikarz prominentnego dziennika „FAZ" i autor książki „Deutschland 2033. Ein Szenario", która właśnie się ukazała.

Bender uważa, że obecna koalicja chadeków i socjaldemokratów w Berlinie, choć skłócona i dysfunkcjonalna, przetrwa aż do kolejnych wyborów do Bundestagu, zaplanowanych na rok 2029. Przewiduje, że również wtedy, mimo rosnącego poparcia dla AfD, nikt nie zdecyduje się na współpracę z nią. Dopiero kolejne lata pogłębiającego się chaosu przesądzą o tym, że nowe pokolenie chadeckich polityków zdecyduje się na ten krok po kolejnych wyborach, w roku 2033.

Widmo setnej rocznicy

Mam dwa przeczucia, dlaczego autor tej wizji zdecydował się poprowadzić potencjalne losy Niemiec w tym kierunku. Po pierwsze, mógł zdecydować zmysł marketingowy. Niemal każdemu w Niemczech zapala się lampka, gdy słyszy o roku '33. Sam, wpisując pełną datę, najpierw popełniłem błąd. Spojrzałem na monitor, na którym pojawiła się data „1933". Rok przejęcia władzy przez Adolfa Hitlera będzie coraz częściej służyć nam za punkt odniesienia. Im bliżej setnej rocznicy dzielącej nas od tamtych wydarzeń. I im wyższe poparcie dla AfD.

Hitler i jego partia, NSDAP, przejęli władzę drogą wygranych wyborów, wolnych i demokratycznych. Następnie w zaledwie kilka miesięcy udało im się rozmontować parlamentaryzm, sterroryzować politycznych przeciwników i wprowadzić dyktatorskie rządy jednej partii i jednego przywódcy.

Jest też kolejny powód, dla którego Justus Bender w swojej książce przewiduje przejęcie władzy przez AfD na szczeblu federalnym dopiero za siedem lat. On sam, jak i redakcja „FAZ" są głęboko zanurzeni w tradycyjnym niemieckim sposobie myślenia na temat tego, jak powinny rozwijać się zdarzenia i procesy.

To podejście uporządkowane, w którym jedno logicznie wynika z drugiego, gdzie podejmowanym decyzjom towarzyszą chłodny namysł, dyskusja i racjonalne ważenie argumentów.

Model na oparach

Tak przecież polityka wyglądała w Niemczech – tych powojennych, a potem tych zjednoczonych w 1990 r. Po te same prawidła sięgała opinia publiczna, recenzująca polityków. Jeszcze niedawno, przed powstaniem AfD i przed kryzysem migracyjnym, w polskich tekstach na temat niemieckiej polityki dominowały przymiotniki: poukładana, pragmatyczna, nudna.

Jednak ten model polityki w Niemczech zmierza ku końcowi. Na desce rozdzielczej zarządzania państwem od kilku lat na czerwono świeci się kontrolka rezerwy paliwa. Wizja Bendera przewiduje zaś, że kraj w swojej dotychczasowej formie dojedzie na ostatnich oparach do roku 2033.

Tyle że już w najbliższych latach, a nawet miesiącach, na drodze będą pojawiać się kolejne przeszkody: hiperpolaryzacja polityczna, za sprawą algorytmów platform (anty)społecznościowych; narastające lęki mas pracowników w związku z rozwojem AI; zagrożenie otwartym konfliktem z Rosją; wypieranie na globalnych rynkach niemieckich produktów przez tańsze chińskie odpowiedniki.

Wizja, że do zasadniczej zmiany u naszych sąsiadów dojdzie dopiero w 2033 r., jest więc w sumie założeniem bardzo konserwatywnym.

Magdeburg w rękach AfD

Wróćmy do teraźniejszości. AfD wygrała właśnie wybory landowe w Saksonii-Anhalcie. „Niebiescy" zdobyli blisko 44 proc. głosów. Do uzyskania większości w landtagu, parlamencie krajowym, potrzebują zaledwie trzech dodatkowych mandatów.

W Magdeburgu, stolicy landu, trwają polityczne łowy. Politycy struktur CDU są kuszeni wizją przejścia do AfD lub opuszczenia chadecji i popierania AfD z bezpartyjnych pozycji. Równolegle trwają rozmowy z piątką posłów Sojuszu Sahry Wagenknecht (BSW), którzy dostali się do landtagu. Choć w tej partii dominuje duch lewicowy, to główną emocją, tak jak u AfD, jest tu niechęć wobec establishmentu, do elit oraz do *status quo*. Jak też prorosyjskość. To wszystko może okazać się wystarczającym składnikiem zaprawy pod budowę przyszłej koalicji.

AfD jest świadoma, że jeszcze nigdy nie była tak blisko władzy – nawet jeśli idzie o niewielki, dwumilionowy land, ma to znaczenie symbolu. ↦

eprasa.pl ed1902df8f

↦ Równie ciekawy jak scenariusze wydarzeń politycznych w następnych tygodniach, jest przepis AfD na osiągnięcie tak wysokiego poparcia. Zamiast wysublimowanych analiz, posłużę się kilkoma scenkami z kampanii.

Scenka pierwsza: rynek w jednym z miast regionu. Niech to będzie Merseburg nad Soławą, albo Quedlinburg, przytulony do gór Harzu, albo także Magdeburg. Wszędzie tam wiece wyborcze AfD przyciągały tłumy. Magnesem był Ulrich Siegmund, 35-letni kandydat na premiera landu. To typ sympatycznego chłopaka z sąsiedztwa. Nawet lewicowcy z niechęcią przyznają, że to polityczny supertalent. Zawsze uśmiechnięty, swojski, skracający dystans.

AfD jako „partia nadziei"

Ale lider to nie wszystko. Stałym elementem wieców „niebieskich" był przejazd sympatyków AfD na Simsonach. Ten motorower, produkowany w komunistycznej NRD, ma status kultowy. Już sam jego wybór obsługuje emocjonalnie „ostalgię", czyli nostalgię starszych mieszkańców za czasami, gdy obecne wschodnie landy tworzyły Niemiecką Republikę Demokratyczną.

Dla wielu życie w NRD – choć uzależnionej od Moskwy i rządzonej autorytarnie przez komunistycznych aparatczyków z pomocą bezpieki Stasi – i tak było lepsze niż życie w Niemczech AD 2026.

Owszem, można tu polemizować, wskazywać na fakty, stan portfela, na możliwości. Na próżno. Wielu *Ossis*, jak nazywa się mieszkańców byłej NRD, żyje wspomnieniem „dobrych starych czasów", gdy panowała przewidywalność. Simson to ukłon wobec tych wyborców.

Równocześnie Siegmund i AfD obsługują emocje młodych: kreują się jako formacja rebeliancka i antysystemowa. W czasie transformacji energetycznej, przy opinii publicznej, której mainstream promuje „zielony" tryb życia, tu młodzi mogą odpalić Simsona i w dymie spalin demonstrować, gdzie mają polityków i ich wizje zrównoważonej przyszłości. W ten sposób, jednym symbolem, Simsonem, AfD zjednała sobie ludzi z zupełnie różnych grup.

Dodajmy do tego estetykę relacji z rajdów AfD, które ukazywały się w internecie: droga wśród ozłoconych blaskiem słońca pól, cel ukryty za horyzontem, wspólnota, dynamika grupy poruszającej się motorowerami. Do tego uśmiechnięty Siegmund na przedzie.

Te obrazy były tak sugestywne i pozytywne, że nawet Thomas de Maizière, były minister obrony i spraw wewnętrznych za rządów Angeli Merkel, komentując wyniki w Saksonii-Anhalcie, przyznał, że AfD udało się z partii protestu zmienić w partię nadziei.

Nowe polityczne złoto

Scena druga: znów Siegmund w roli głównej. Jest wyborcza niedziela, lider AfD wraz z żoną Julią oddali już głosy. Wczesnym popołudniem Siegmund wrzuca zdjęcie na platformę X: na nim on z żoną i dwojgiem znajomych z otuliny AfD. Siedzą na przydomowym tarasie. W kadrze stół i talerze, na nich makaron z sosem pomidorowym. Do tego paczka najtańszego tartego sera z marketu i puszki Coli. Całość kompozycji uzupełniają w tle ogrodowe tuje.

Pewnie u niemal każdej zwykłej niemieckiej rodziny pojawi się tu skojarzenie z własnym życiem. Na szybko ugotowane kluski, najprostszy sos, podstawowe składniki. A jednak taki posiłek, w gronie najbliższych, to często najważniejsza chwila wytchnienia po odrobieniu się z masy obowiązków.

Dlaczego nawet tak zwyczajną migawkę z życia Siegmund potrafi przekuć w polityczne złoto? Bo w Niemczech przestają działać tradycyjne metody komunikacji politycznej. Jednocześnie pojawia się wielka potrzeba autentyczności. To oczywiście pokłosie coraz większego wpływu życia online, gdzie to, co „prawdziwe", sprzedaje się najlepiej.

Dlatego swojak Siegmund nokautuje polityczne wygi z tradycyjnych partii. Na jego tle ich dobrze skrojone garnitury, ich studiowana mimika i dopracowane komunikaty wzbudzają co najwyżej wzruszenie ramionami, częściej niechęć.

Skrojeni pod algorytmy

Wreszcie scena trzecia: przed wyborami w Saksonii-Anhalcie, na głównych kanałach telewizji publicznej wyemitowano, niemal równocześnie, wywiady z liderami AfD. Tino Chrupalla wystąpił w ARD, niemieckiej „jedynce", a Alice Weidel w ZDF, „dwójce".

Oglądając je, ktoś bez rozeznania w niemieckiej polityce mógłby pomyśleć, że to politycy dwóch różnych partii. O ile Chrupalla przekonywał, że zintegrowani obcokrajowcy są w Niemczech mile widziani, o tyle Weidel podniesionym głosem wołała, że Afgańczyków i Syryjczyków trzeba jak najszybciej wyrzucić z Niemiec.

Sprzeczne, nieprofesjonalne? Nic z tych rzeczy. Fragmenty obu wywiadów, po emisji nadal wciąż w sieci, rychło pocięto na rolki i setki, te zaś wrzucono w otchłań internetu. Tu czekali wyrobnicy alternatywnych mediów, by opatrzyć tę czy inną wypowiedź komentarzem, podbić argumenty. Ci bardziej umiarkowani mogli sięgnąć po Chrupallę, ci radykalni po Weidel. Algorytm zadbał, by gotowe produkty trafiły na ekrany smartfonów konkretnych wyborców, zgodnie ze zdefiniowaniem ich upodobań.

AfD świetnie radzi sobie w nieregulowanym, anarchistycznym środowisku internetowej produkcji dopaminy. Plejada alternatywnych kanałów (pseudo)informacyjnych, które rozrosły się za Odrą w czasach pandemii, albo wprost wspierają AfD, albo z nią sympatyzują.

Nie program, nie namysł, lecz ciągłe podbijanie emocji, najlepiej przez budzenie poczucia zagrożenia, wynosi dziś na szczyt popularności internetowej agory. Gdy inne partie częściowo rezygnują z obecności na toksycznej platformie X lub wciąż dywagują nad użyciem TikToka, ludzie AfD bez skrupułów docierają ze swoim przekazem do milionów.

Merz skrajnie niepopularny

Kilka dni temu, podczas gorącej dyskusji w Bundestagu nad budżetem na rok 2027, kanclerz Friedrich Merz rzucił pod adresem Alice Weidel, że wygląda, jakby z upojenia sukcesem ledwo mogła chodzić. Liderce AfD nigdy nie brakowało pewności siebie, ale teraz istotnie sprawia wrażenie, jakby za moment jej partia miała przejąć władzę w całym kraju. To gra na osłabienie chwiejącego się wroga. Bo dla Weidel wrogiem numer jeden są chadecja i Merz.

Weidel ma o tyle łatwiej, że rząd Merza jest ekstremalnie niepopularny. Nie odpowiada za to tylko kanclerz. Faktycznie, jego sposób komunikacji pozostawia wiele do życzenia. Ruganie własnych wyborców, sugerowanie lenistwa i szereg innych niezręcznych uwag, z których później musi się wycofywać rakiem, należą do repertuaru 70-letniego kanclerza.

eprasa.pl ed1902df8f



MICHAEL KAPPELER / DPA / PAP

Friedrich Merz, kanclerz i lider chadecji, po kryzysowej naradzie władz CDU, następnego dnia po wyborach w Saksonii-Anhalt. Berlin, 7 września 2026 r.

Jednak gniew i frustrację wzbudza także fakt, że to ten rząd wziął się za trudne i niepopularne reformy w obszarach, których dotykać nie chciała ani Merkel przez cztery kadencje swych rządów, ani potem Olaf Scholz, socjaldemokratyczny kanclerz z lat 2021-2025.

Niemcy potrzebują reform

Aby dojrzeć istotę problemu, przyjrzyjmy się liczbom, które przedstawiano w trakcie niedawnej debaty budżetowej.

W 2027 r. wydatki państwa (federacji) przekroczą pół biliona euro, z czego ponad jedna trzecia będzie przeznaczona na emerytury i zasiłki socjalne. W przyszłych latach dynamicznie wzrośnie liczba i nowych emerytów, i prawdopodobnie też bezrobotnych. Rząd próbuje zatem forsować reformy. Będą oznaczać m.in. wyższy wiek emerytalny oraz mniejsze i trudniej dostępne zasiłki. Dodatkowo sytuacja międzynarodowa sprawia, że dużo więcej środków należy przeznaczyć na obronność.

Co do celowości tych reform jest zgoda ekspertów. Nie zmienia to faktu, że w oczach wyborców koalicja CDU/CSU-SPD kojarzy się przede wszystkim z decyzjami, które będą mieć negatywny wpływ na ich standard życia. Mówiąc krótko: Merz nie ma pozytywnej oferty dla Niemiec.

Kolejne wiadomości z gospodarki to wrażenie pogłębiają. Volkswagen niedawno postanowił w najbliższych latach uszczuplić liczbę etatów w Niemczech o 50 tys. i zamknąć tu cztery zakłady. To nie tylko decyzja konkretnego koncernu. To hiobowa nowina, w której swoje własne przyszłe losy dostrzegają wszyscy zatrudnieni w niemieckim przemyśle.

Ostatnim politykiem w Niemczech, który odważył się przeprowadzić trudne reformy, był socjaldemokrata Gerhard Schröder. Wkrótce potem wyborcy pozbawili go władzy. Z powodu coraz słabszej pozycji we własnym ugrupowaniu i nieporozumieniach na linii z koalicjantem, nie wiemy nawet, czy Merzowi uda się doprowadzić reformy do końca.

Sprawdzam!

Chaos w polityce i frustracje w społeczeństwie, bojącym się utraty dobrobytu, będą się pogłębiać. Naturalnym beneficjentem będzie AfD.

Jednak dochodzi tu nowy czynnik: ewentualne przejęcie władzy przez AfD w Saksonii-Anhalcie. Jak dotąd „niebiescy" mogli wygodnie krytykować rząd i próby zawiązywania egzotycznych koalicji po to tylko, aby trzymać ich z dala od władzy. Teraz jesteśmy coraz bliżej momentu, gdy będzie można zobaczyć, jak AfD radzi sobie z polityką nie tylko w wersji kampanijnej, ale też tej mniej efektownej, polegającej na forsowaniu rozwiązań, kontrolowaniu procesów ustawodawczych itd.

Będzie można też zweryfikować, co tak naprawdę kryje się za hasłami Alternatywy. Czy postulowana „reemigracja" będzie oznaczać polowanie na migrantów, jak w USA, oraz sięgnięcie po wszelkie środki, aby pozbyć się jak największej ich liczby? Czy też będzie to oznaczać „tylko" kontynuację polityki obecnego rządu, który przez kontrole na granicach i zaostrzanie przepisów stara się zniechęcać nielegalnych imigrantów do podróży do Niemiec?

Dalej: co ma oznaczać w praktyce hasło, że zamiast imigracji rdzenni Niemcy powinni postawić na dzietność? Czy w liberalnych demokracjach da się skłonić obywatelki do rodzenia? Albo: jak będą wyglądać rozwiązania gospodarcze? Także w tej kwestii w AfD słychać głosy różnych frakcji: i ekonomicznych liberałów, i zwolenników silnego państwa opiekuńczego (tu z zastrzeżeniem, że ma ono służyć głównie etnicznym Niemcom).

Oraz: co będzie oznaczać zaprowadzenie „pruskiego porządku" w szkołach?

Dwa scenariusze

No i mamy jeszcze politykę zagraniczną: AfD chce dobrych relacji z Rosją i zakończenia wsparcia dla walczącej z agresorem Ukrainy. Obiecuje, że naprawionymi nitkami gazociągu Nord Stream znów popłynie pod Bałtykiem rosyjski gaz. Czy realizację tych postulatów można pogodzić z pozostaniem Niemiec w UE i NATO?

Zbliżamy się więc do momentu, w którym AfD, zamiast tylko wabić wyborców obietnicami lepszego jutra albo też powrotu do „starych dobrych czasów", będzie musiała wyłożyć karty na stół.

Zwolennicy takiego scenariusza przekonują, że tylko w ten sposób będzie można odczarować ofertę AfD i ustawić ich faktyczną sprawczość z powrotem na równi z ofertą innych partii, które dotąd rządziły w Niemczech. Oraz że Niemcy mają dużo więcej zabezpieczeń, tych *check and balance*, niż mieli przed rokiem 1933.

Przeciwnicy przestrzegają, że radykałowie już raz zdobyli władzę w Niemczech, oraz że wtedy szybko zadbali o to, żeby dla ich oferty i wizji świata nie było żadnej alternatywy.

Jak będzie, dowiemy się pewnie szybciej niż w roku 2033.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

Autor wydał ostatnio książkę „Alternatywa dla Niemiec czy zagrożenie dla świata? Kulisy marszu AfD po władzę", Wydawnictwo Szczeliny 2026.

eprasa.pl ed1902df8f



JEENAH MOON / REUTERS / FORUM

Amerykanie z pokolenia Zet wchodzą w dorosłość z długami studenckimi i niewiarą w American Dream. Na zdjęciu: ceremonia wręczenia dyplomów na Uniwersytecie Columbia. Nowy Jork, maj 2025 r.

Dług na osiemnastkę

MARTA ZDZIEBORSKA

USA | Amerykanie z pokolenia Zet coraz rzadziej wierzą, że osiągną w życiu sukces i stabilność finansową. Chyba że dostaną spadek po bliskich. Jak przekłada się to na ich wybory polityczne?

Kati Yau, terapeutka i aktorka z przedmieść Chicago, zaczyna naszą rozmowę od wspomnień o polskich pierogach. Tłumaczy, że oszalała na ich punkcie, gdy kilka lat temu zwiedzała Warszawę i Kraków.

Podczas tej podróży po Europie, trwającej miesiąc, Kati – przedstawicielka pokolenia Zet, czyli ludzi urodzonych po 1996 r. – była też w Berlinie, Pradze, Sarajewie i w paru miejscach, gdzie swego czasu funkcjonowały obozy koncentracyjne, w tym Auschwitz. Na wyjazd śladami II wojny światowej załapała się podczas studiów z psychologii i aktorstwa na Cornell College w stanie Iowa.

Wybrała tę uczelnię, bo wykłady prowadzone są tam w kilkunastodniowych blokach, a nie regularnie, w trybie tygodniowym. Dzięki tej formule Kati miała czas na dodatkowe zainteresowania, np. chodziła na wykłady o Holokauście (stąd wyjazd do Europy). Dla niej to temat ważny, bo dorastała w Skokie w stanie Illinois, gdzie żyje jeszcze wielu Żydów, którzy ten koszmar pamiętają. Chciała zobaczyć miejsca, o których opowiadali jej sąsiedzi.

Rodzice mieli łatwiej

Realizacja marzeń ma jednak wysoką cenę. Za naukę na prywatnej uczelni, co jeszcze bardziej podnosi koszty (uczelnie publiczne też są płatne), 27-letnia dziś Kati musi oddać bankowi 98 tys. dolarów. Z jej kalkulacji wynika, że zwróci całą kwotę do 2048 r. Będzie mieć wtedy 49 lat.

Euforię, która towarzyszyła jej na studiach, dziś zastąpiła apatia. Kati mówi, że wejście w dorosłość jest dziś trudniejsze niż w czasach młodości jej rodziców – chińskich imigrantów z okolic Kantonu. Mama (księgowa) i tato (pracownik fizyczny) już przed trzydziestką kupili dom na kredyt. W ich okolicy nieruchomość kosztuje dziś średnio prawie pół miliona dolarów. Dla Kati wzięcie kredytu przy takich cenach nieruchomości jest poza zasięgiem.

– Ciągle słyszę od rodziców, że jeśli ułoży mi się z chłopakiem, lekarzem, to będę ustawiona na całe życie. Ale co, jeśli się rozwiedziemy lub któreś z nas umrze i druga strona zostanie z długami? – zastanawia się Kati. Jej partner wciąż jeszcze ma pożyczkę studencką, ale w swoim zawodzie spłaci ją szybko. Z pensją lekarza łatwiej też będzie wziąć razem kredyt hipoteczny.

– Pocieszam się, że przynajmniej posłuchałam rodziców i zostałam terapeutką.

eprasa.pl ed1902df8f

Przynajmniej nie żyję od wypłaty do wypłaty, a po godzinach mogę realizować się w teatrze. Moi koledzy artyści nie mają tego luksusu – mówi Kati.

Mieszkanie poza zasięgiem

Życia przez długie lata w wynajętym mieszkaniu boi się Dawson, 26-letni urbanista z Chicago. Także za nim ciągnie się studencki dług: 115 tys. dolarów. Jest dziś rozżalony, że uwierzył, iż jedyną gwarancją sukcesu jest skończenie uczelni. Dlatego zrobił drogi licencjat, a gdy okazało się, że nie ma po tym dobrej pracy, poszedł jeszcze na studia magisterskie.

Dziś pracuje na pół etatu na uczelni w Chicago i dorabia jako kierowca taksówki, opiekun zwierząt i konsultant przy projektach urbanistycznych. Jego roczne zarobki to 60-70 tys. dolarów. Aby wziąć kredyt hipoteczny, potrzebowałby na wkład własny połowy tej kwoty. To nierealne, koszty życia są zbyt wysokie. Poza tym, jak twierdzi, banki nie będą chętne, by mu go udzielić, skoro wciąż ma do spłaty pożyczkę studencką.

– Wyobraźmy sobie, że tracę pracę, nie jestem w stanie płacić rat i ogłaszam bankructwo. W pierwszej kolejce do ściągnięcia należności będzie rząd federalny, który udzielił mi pożyczki na studia. Bank, drugi w kolejce, moich pieniędzy raczej nie zobaczy – spekuluje Dawson.

Powoli oswaja się z myślą, że jedyną szansą na posiadanie własnego lokum będzie odziedziczenie go kiedyś po rodzinie: – Jeden z moich znajomych stracił niedawno oboje rodziców w wypadku samochodowym. To dla niego tragedia. Ale, paradoksalnie, też szansa, aby żyć bez kolejnego kredytu na głowie.

Wchodząc w dorosłość

Wysokie koszty życia i kula u nogi w postaci długu studenckiego sprawiają, że wizja *American Dream* – że każdy może osiągnąć sukces, jeśli ciężko pracuje – jest dziś dla wielu zetek pustą obietnicą. Według sondażu Pew Research Center niemal 90 proc. Amerykanów poniżej czterdziestki uważa, że trudniej im kupić dom niż pokoleniu ich rodziców. Przyczyną są wyśrubowane ceny nieruchomości i równie wysokie raty kredytów.

To wszystko sprawia, że wiele zetek wynajmuje mieszkanie ze współlokatorami lub wraca do rodzinnych domów. Według serwisu Realtor.com, w 2025 r. pod jednym dachem z rodzicami mieszkała aż jedna trzecia Amerykanów poniżej 35. roku życia.

Wejście w dorosłość utrudnia też rynek pracy, na którym jest coraz mniej etatów dla osób tuż po studiach. Stanowiska juniorskie pożera dziś sztuczna inteligencja i polityka firm – zmuszone do oszczędności, najpierw tną etaty na niższych szczeblach drabiny korporacyjnej. Bezrobocie wśród absolwentów w wieku 22-27 lat jest dziś wyższe niż w przypadku ogółu pracowników: w czerwcu wynosiło odpowiednio 5,7 i 4,1 procent.

O tym, że coraz trudniej o *American Dream*, zresztą nie tylko zetkom, przypomina analiza opublikowana w piśmie „Science". Podczas gdy 90 proc. osób urodzonych w latach 40. XX w. zarabiało więcej niż ich rodzice, w przypadku milenialsów (tj. osób urodzonych 40 lat później) odsetek ten spadł do ok. 50 procent.

Starsze wiekiem pokolenie boomersów – tych, którzy dorobili się w czasach największego egalitaryzmu ekonomicznego w USA – kontroluje dziś ponad połowę majątku gospodarstw domowych. A dodajmy, że boomersem jest dziś zaledwie co piąty mieszkaniec Stanów.

W kolejce po jedzenie

Także historia 28-letniej Rosie Alumbaugh (pożyczka studencka: 65 tys. dolarów) dobrze pokazuje realia, w jakich młodzi Amerykanie wkraczają w dorosłość.

Gdy rozmawiałyśmy po raz pierwszy, na początku pandemii, Rosie straciła pracę w kawiarni i bostońskim teatrze, gdzie pracowała przy realizacji przedstawień. Podobnie jak około 40 mln Amerykanów, została nagle bez środków do życia i stanęła w kolejce po zasiłek dla bezrobotnych. Gdy w końcu znalazła dorywczą pracę w pizzerii, ta wkrótce upadła. Rosie zgłosiła się wtedy po bony żywnościowe dla najbiedniejszych. Z takiej pomocy korzystał w przeszłości także Dawson.

Ostatnie lata były dla Rosie bardziej łaskawe. Pracowała na cały etat w teatrze, co zawsze było jej marzeniem. Jednak dobrą passę przekreśliła tegoroczna zapowiedź zwolnień. Wtedy zdecydowała się na wyjazd do Nowego Jorku, gdzie jest więcej zleceń w branży teatralnej. Aby zarobić na przeprowadzkę, przez kilka miesięcy harowała po 80 godzin tygodniowo i założyła zbiórkę na GoFundMe.

Robi tak wiele zetek, gdy nie mają pieniędzy na nieprzewidziane wydatki. Znajomi Rosie zbierają w ten sposób na operacje medyczne, naprawę auta itd.

Marzenie o rodzinie

– To nie są czasy, gdy mojej mamie, która na studiach pracowała w paczkarni, starczało na opłacenie najmu mieszkania, jedzenie i podręczniki. W jej wieku dorabiałam w czterech pracach, bo nie starczało mi na bieżące wydatki – opowiada Rosie.

Dziś dziewczyna zaczyna od nowa, na West 46th Street na Manhattanie. Tam mieści się nowojorski oddział IATSE – związku pracowników sceny teatralnej. Każdego ranka ustawia się tam kolejka chętnych do pracy, w nadziei, że któryś z teatrów na Broadwayu będzie akurat potrzebować kogoś do pomocy.

Rosie, koczująca pod budynkiem IATSE codziennie od szóstej rano, załapała się już na kilka zleceń, np. przy spawaniu konstrukcji na dużej wysokości. Nie wybrzydza, rachunki same się nie opłacą. Wynajmuje maleńki pokój w Harlemie, gdzie, jak mówi, przynajmniej nie ma karaluchów, co jak na nowojorskie warunki jest osiągnięciem (sama nie zapomnę, jak w wynajętym na AirBnB mieszkaniu na Brooklynie po ścianach wędrowały prusaki).

– Wcale nie chciałam mieszać w Nowym Jorku – tłumaczy Rosie. – Wolę zieleń i spokój, a nie ogromne miasto. To nie jest mój *American Dream*. Po prostu chciałabym zarabiać tyle, żebym nie musiała codziennie martwić się o pieniądze. Marzy mi się założenie rodziny w ciągu najbliższych pięciu lat. Nie mam większych oczekiwań.

Rzemiosło wraca do łask

Rosie zaczyna nowe życie w najtrudniejszym momencie dla nowojorskich zetek od czasu pandemii. Niektórzy szukają tu pracy miesiącami, wysyłając setki aplikacji. Zarazem muszą opłacać koszmarnie drogi wynajem (średni jego koszt jest tu wyższy o 2,8 tys. dolarów niż w innych rejonach kraju) i ciągną za sobą studenckie długi. Wśród osób w wieku 25-34 lat wynoszą one średnio niemal 38 tys. dolarów – tak źle nie jest w żadnym innym stanie.

Nie chcąc pakować się w drogie studia na niestabilnym rynku pracy, niektórzy wolą postawić na pewny fach, którego ↦

eprasa.pl ed1902df8f

↦ nie pożre sztuczna inteligencja. Organizacja National Student Clearinghouse wylicza, że w latach 2020-2025 liczba studentów w publicznych szkołach oferujących programy zawodowe i rzemieślnicze wzrosła o prawie jedną piątą.

Rośnie też zainteresowanie praktykami organizowanymi przez związki zawodowe. Także w Nowym Jorku, gdzie chętni ustawiają się w kolejce nawet kilkanaście godzin przed rozpoczęciem przyjmowania aplikacji.

Popyt jest duży, bo praca w rzemiośle to obietnica stabilnych zarobków. Według amerykańskiego Biura Statystyk Pracy, fachowcy – jak hydraulicy, elektrycy czy stolarze – zarabiają ok. 60 tys. dolarów rocznie. To prawie tyle, co Dawson z Chicago, a nie trzeba dyplomu i pożyczki studenckiej.

Nasze pokolenie

O zdobycie uprawnień i przyjęcie do związku zawodowego elektryków stara się dziś Zach, mąż Devynn, 22-letniej nauczycielki z Nebraski. Zach robi to dla wyższej pensji, na budowie jako szeregowy pracownik fizyczny nie zarabia zbyt wiele. W domu przyda się dodatkowy zastrzyk pieniędzy, bo Devynn ma problemy zdrowotne, przez co często chodzi na zwolnienia, a to znacznie obniża jej pensję. W najtrudniejszych chwilach pomagają rodzice Zacha, robiąc im zakupy spożywcze.

Sytuację zdrowotną Devynn pogorszyła polityka firmy ubezpieczeniowej, która odmówiła jej sfinansowania leków biologicznych do leczenia tzw. trądziku odwróconego. To przewlekła choroba skóry, która objawia się bolesnymi guzkami i ropniami. Nie chodzi tylko o estetykę. Choroba wywołuje stan zapalny i może prowadzić do powikłań. Devynn mówi, że odkąd odcięto ją od leczenia, cierpi na zapalenie wątroby, co może być skutkiem braku odpowiedniej terapii.

– Czy wiesz, kim jest Luigi Mangione? – pyta mnie Devynn. Chodzi o zamachowca, który w grudniu 2024 r. postrzelił śmiertelnie Briana Thompsona, prezesa UnitedHealthcare, firmy ubezpieczeniowej znanej z odmowy finansowania leczenia lub leków na receptę. Mangione miał wtedy 26 lat.

– Nasze pokolenie uwielbia Mangionego. Traktujemy go jak bohatera, bo przynajmniej na chwilę zwrócił uwagę na bezwzględną politykę ubezpieczycieli – mówi Devynn, która dziś czeka na rozpatrzenie odwołania od decyzji w sprawie jej kuracji. Jest w zawieszeniu, choć płaci za polisę zdrowotną 258 dolarów miesięcznie. Na leczenie z własnej kieszeni jej nie stać – podawany raz w tygodniu zastrzyk z lekiem kosztuje 3 tys. dolarów.



ARCHIWUM PRYWATNE x3

ROSIE *ma 65 tys. dolarów długu studenckiego. W Nowym Jorku walczy o zlecenia w branży teatralnej. Marzy o założeniu rodziny.*



KATI *ma 98 tys. dolarów długu za studia. Gdy go spłaci, będzie mieć 49 lat. Euforię, która towarzyszyła jej na studiach, dziś zastąpiła apatia.*



DAWSON *spłaca 115 tys. dolarów długu za studia. Oswaja się z myślą, że szansą na własne lokum jest odziedziczenie go kiedyś po rodzinie.*

Medyczne bankructwa

Jeszcze zanim stan zdrowia Devynn się pogorszył, przymierzali się z mężem do wzięcia kredytu na dom. Mają pieniądze na wkład własny, bo oszczędzali od 16. roku życia i nie są obciążeni pożyczką studencką. Ale tylko dlatego, że wzięli młodo ślub: przekalkulowali, że przy ich wspólnych niskich dochodach Devynn ma szansę na stypendium.

– Dziś boimy się wziąć kredyt, bo nie wiemy, czy znów nie będę wyłączona z pracy i nie wpadniemy w kolejne długi medyczne – tłumaczy Devynn.

W kwestiach zdrowotnych na krawędzi balansuje też Dawson z Chicago. Ma kiepską polisę, obejmującą jedynie wizyty na ostrym dyżurze w uczelnianym szpitalu. Gdyby chciał wykupić dodatkowe ubezpieczenie, musiałby płacić 600 dolarów miesięcznie.

– Nie ma opcji, żebym bulił tyle firmie UnitedHealthcare. Gdy muszę iść do specjalisty, dzwonię do kliniki i pytam, czy dadzą mi zniżkę, bo mam kiepską polisę i zapłacę gotówką z własnej kieszeni. Zwykle się godzą i dostaję rabat – mówi Dawson. Ta metoda działa, dopóki nie pojawią się poważne problemy. W Stanach brak dobrej polisy może oznaczać finansową śmierć – długi medyczne to dziś w USA jedna z głównych przyczyn ogłoszenia bankructwa.

Zetki patrzą na Europę

Zarówno Devynn, jak też Kati, Rosie oraz Dawson mówią – zgodnie, choć przecież niezależnie od siebie – że marzą o takim modelu państwa, jaki jest w Europie. O bezpłatnych studiach, o powszechnej opiece zdrowotnej, o długich urlopach rodzicielskich i wakacjach dłuższych niż kilka dni w roku.

Dlatego cała czwórka deklaruje, że w listopadowych wyborach „połówkowych" planuje głosować na tych kandydatów, którzy obiecują progresywne reformy. Zetki z USA mają dość pogoni za *American Dream*, w której potykają się o dysfunkcje obecnego systemu.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

eprasa.pl ed1902df8f



MORTEZA NIKOUBAZL / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

Rabin Arash Tehrani prowadzi modlitwę za poległych Irańczyków przed ruinami synagogi Rafi-Nia, zniszczonej podczas izraelskiego nalotu na irańską stolicę. Teheran, 14 maja 2026 r.

Tarcza i pułapka

IGOR KUŚMIERSKI

BLISKI WSCHÓD | W Iranie wciąż żyje kilka, może kilkanaście tysięcy Żydów: potomków wspólnoty, która trwa tu od 25 wieków. Kim są Irańczycy wyznania mojżeszowego? Jak udaje im się przetrwać?

Polecenie, które otrzymali niedawno irańscy Żydzi, było osobliwe: mają omijać najświętsze miejsce swojej wiary w Iranie.

W lipcu Żydowskie Stowarzyszenie Teheranu rozesłało wśród wiernych komunikat, nakazujący trzymać się z dala od Hamadanu – miasta, w którym jest grobowiec Estery i Mardocheusza. Oficjalnie idzie o remont. Dotąd wizytę w sanktuarium można było uzgodnić z gminą w Teheranie, teraz to niemożliwe. Izraelskie media twierdzą, powołując się na źródła w środowisku, że przyczyną są groźby islamskich ekstremistów.

Nie jest to zwyczajne sanktuarium. Skromny ceglany budynek z kopułą kryje, wedle tradycji, groby żydowskiej królowej Persji i jej opiekuna – postaci z biblijnej Księgi Estery, którym 2500 lat temu Żydzi mieli zawdzięczać ocalenie. Jeszcze w marcu 2025 r., w radosne święto Purim, wierni czytali tam pisma i tańczyli. Dziś miejsce, gdzie irańskość i żydowskość zrastały się w jedno przez 25 wieków, zamknięto do odwołania.

OD ZAWSZE | Poza Izraelem to właśnie w Iranie żyje dziś największa wspólnota żydowska na Bliskim Wschodzie. Choć nikt nie wie dokładnie, jak duża: szacunki wahają się od ośmiu do piętnastu tysięcy. Liczba bywa kartą przetargową: niezależne rachuby dają wartości niższe; sami irańscy Żydzi i władze Iranu podają zwykle wyższe. Pewne jest, że kiedyś było ich więcej: w 1979 r., w przeddzień islamskiej rewolucji, w Iranie żyło ok. 100 tys. Żydów.

Są tu od zawsze. Czyli od blisko 2700 lat, odkąd asyryjscy i babilońscy władcy pognali ich na wschód. To obecność starsza niż islam, starsza niż idea Persji jako państwa.

Gdy w VI w. przed naszą erą perski król Cyrus Wielki pozwolił wygnańcom wrócić do Jerozolimy, wdzięczni autorzy Biblii hebrajskiej nazwali go „pomazańcem" (to jedyny nie-Żyd uhonorowany w niej tym mianem). Część Żydów została jednak wtedy w Persji. Dziś są z Iranu tak samo jak Persowie czy zaratusztrianie.

Zachód lubi widzieć w nich zakładników czekających na ratunek. Reżim Iranu przedstawia ich jako dowód swej tolerancji: jest żydowski poseł w parlamencie, są synagogi. Obie opowieści mijają się z prawdą, gdyż pomijają to, co w tej historii najważniejsze: przez wieki ci ludzie budowali Iran, razem z muzułmanami, czując się w nim u siebie.

WROŚNIĘCI | Ich historię opowiada się bowiem zwykle jako pasmo pogromów i upokorzeń, zwieńczone szczęśliwym zakończeniem: emigracją do Izraela. W tej wersji każde stulecie w Persji to ledwie poczekalnia przed wyjazdem do ziemi obiecanej. Tymczasem w wieku XX ich los potoczył się zupełnie inaczej – przed 1979 r. zdążyli wrosnąć w Iran na dobre.

Wtedy to, za rządów szachów z dynastii Pahlawi, irańscy Żydzi awansowali z wiejskiej biedy do miejskiej ↦

eprasa.pl ed1902df8f



PETER LANGER / DESIGN PICS / EAST NEWS

Według tradycji sanktuarium w Hamadanie kryje grób Estery, żydowskiej królowej Persji, która 2500 lat temu ocaliła Żydów przed zagładą z rąk Persów. Latem 2026 r. gmina żydowska w Iranie poinformowała wiernych, że sanktuarium zamknięto do odwołania.

↦ klasy średniej. Zdobywali wykształcenie, wchodzili w politykę. Robili to jako Irańczycy wyznania mojżeszowego. Bywali monarchistami i marksistami, syjonistami i wrogami syjonizmu. Zasilali partię komunistyczną (jej obietnice sprawiedliwości trafiały do ludzi biednych lub właśnie wyrwanych z biedy). Słowem: byli społeczeństwem Iranu w miniaturze.

Nawet emigracja do Izraela nie pasuje do prostego mitu o „powrocie". Falę z lat 1948-1951, gdy wyjechało 22 tys. osób, napędzała głównie bieda; mało kto jechał z syjonistycznego przekonania. Wielu z tych, którzy pojechali i zderzyli się z twardymi początkami Izraela, odradzało to bliskim, którzy zostali.

EKSODUS | Nie znaczy to, że świat sprzed rewolucji islamskiej był sielanką. XIX-wieczna Persja potrafiła być wobec nich okrutna: oskarżano ich o mordy rytualne, w kilku miastach były krwawe pogromy, z rabunkiem żydowskich dzielnic. Także w Hamadanie, z inicjatywy miejscowego imama. Grób Estery stoi w mieście, które ma też ciemniejszą kartę.

Historia tej wspólnoty nie układa się w żadną prostą wersję. Nie było jednej wielkiej cezury. Były stulecia, w których jedne gminy cierpiały, inne zaś żyły spokojnie, a w tych samych ludziach duma z bycia Persem mieszała się z poczuciem obcości.

Najostrzejszy sprawdzian przyszedł dopiero po roku 1979: w ciągu jednej dekady stutysięczna niegdyś wspólnota stopniała o ponad cztery piąte. Cokolwiek znaczyła irańskość irańskich Żydów, przed eksodusem ich nie uchroniła.

PAKT PRZETRWANIA | Jednak etap ten, po 1979 r., zacząć trzeba od sceny, która nie pasuje do obrazu bezbronnych ofiar. Rok wcześniej, gdy Teheranem wstrząsały protesty przeciw szachowi, ranni demonstranci szukali pomocy w żydowskim szpitalu Sapir. Wiedzieli, że tam ich nie wydadzą tajnej policji. Dyrekcja szpitala współpracowała z liderami rewolucji. W tym przewrocie Żydzi brali udział.

Tym większym wstrząsem było to, co stało się 9 maja 1979 r.: egzekucja Habiba Elghaniana, przemysłowca i szefa irańskiej gminy. Oskarżono go o szpiegostwo dla Izraela. Jego kontakty z Izraelem sięgały czasów szacha, gdy oba kraje żyły w zgodzie, ale teraz to nie miało znaczenia. Sens był jasny: nic nie ochroni tego, kto usłyszy zarzut podwójnej lojalności.

Reakcja wspólnoty przesądziła o jej dalszych losach. W dniu egzekucji delegacja dwóch rabinów i czterech intelektualistów, sympatyków rewolucji, udała się do ajatollaha Chomeiniego, by prosić o gwarancje. Ten powiedział wtedy zdanie, które dla irańskich Żydów stało się i tarczą, i pułapką: mniejszości żydowskiej nie wolno mylić z syjonistami, gdyż judaizm to religia, a syjonizm to polityka.

Tak powstał swoisty pakt o przetrwaniu. Konstytucja Republiki Islamskiej uznaje Żydów za prawowitą mniejszość (obok chrześcijan i zaratusztrian) i daje im miejsce w parlamencie. Wolno im modlić się, prowadzić synagogi, koszerne sklepy, szkołę, dom starców. W zamian muszą dowodzić, że są po dobrej stronie linii, którą wytyczył Chomeini.

KWESTIA CENY | Takiego dowodu lojalności nie składa się raz na zawsze. Trzeba go ponawiać, a dwie twarze wspólnoty pokazują, ile to kosztuje.

Homayoun Sameyah Najafabadi, lat 61, jest od 2020 r. tym jedynym żydowskim posłem. Głosi rzeczy, które na Zachodzie brzmią jak groteska, a tu są warunkiem przetrwania. Np. w czerwcu 2025 r. orzekł, iż jego wspólnota jest najpierw irańska, a dopiero potem żydowska. Syjonizm zaś porównał do Państwa Islamskiego. Druga twarz to jeden z duchowych liderów gminy: rabin Younes Hamami Lalehzar, lekarz ze szpitala Sapir. W 2025 r. wystąpił w państwowej telewizji i odciął się od Izraela, mówiąc, że syjoniści mają z judaizmem tyle wspólnego, co Państwo Islamskie z islamem. Gdy pod koniec lutego 2026 r. amerykańsko-izraelski nalot zabił ajatollaha Chameneiego, rabin złożył kondolencje: mówił o jego „męczeństwie" i „nieodwracalnej tragedii dla narodu irańskiego".

Łatwo uznać obu za marionetki. Izraelskie media piszą, że słowa rabina dyktuje reżim. Sprawa jest jednak bardziej złożona. Możliwe, że dla wielu irańskich Żydów zdanie „jestem najpierw Irańczykiem, potem Żydem" jest szczere i opisuje to, kim się czują. Na tym polega okrucieństwo ich sytuacji. Państwo wzięło ich prawdziwą miłość do Iranu i przerobiło ją na narzędzie: na dowód okazywany światu i na egzamin zdawany bez końca.

W IMADLE | Jak ten egzamin wygląda, pokazują właśnie ostatnie dwa lata. W czerwcu 2025 r. miała miejsce 12-dniowa wojna izraelsko-irańska. Bomby spadały na Teheran, Isfahan i Szyraz, gdzie żyje większość irańskich Żydów. Nie opuszczali domów z obawy, że antyizraelski gniew znajdzie ujście na ulicy. Kilkudziesięciu, podejrzanych o kontakty z Izraelem, trafiło na przesłuchania. Poseł Najafabadi zapewniał, że gmina jest gotowa bronić ojczyzny.

W grudniu 2025 r. Najafabadi ogłosił list otwarty; mówi on wiele o położeniu

eprasa.pl ed1902df8f

wspólnoty. Po tym, jak został wezwany przez służby, tłumaczył w liście współwyznawcom, że ściągnęli na siebie podejrzenia, „polubiając" i komentując w sieci izraelskie treści. Apelował, by to kasować, wypisać się z izraelskich kanałów i nie zostawiać w sieci nic dwuznacznego. Wspólnota miała czyścić telefony, by nie dać pretekstu.

Potem przyszedł 7 kwietnia 2026 r., już podczas obecnej wojny. Izraelski samolot zaatakował budynek w Teheranie; celował, jak przyznała izraelska armia, w irańskiego dowódcę, który miał się tam ukrywać. Wybuch unicestwił pobliską synagogę Rafi-Nia (wzniesioną w latach 50. XX w.). Izrael nazwał to „szkodą uboczną" i wyraził ubolewanie.

Co nastąpiło potem? Poseł potępił Izrael, spod gruzów wyciągano zwoje Tory, a kilka dni później liderzy gminy czytali w teherańskiej synagodze psalmy za poległych Irańczyków. Wesela i uroczystości przełożono. Bombardowani przez państwo, które podaje się za ich wybawcę, irańscy Żydzi opłakiwali zabitych żołnierzy państwa, które trzyma ich pod nadzorem.

PRZESTRZEŃ | Grobowiec w Hamadanie nie jest, jak już powiedziano, zwykłym miejscem modlitwy. W 2010 r. pojawiły się groźby jego zburzenia. Dekadę później ktoś podpalił część kompleksu i groził, że zamieni go w „konsulat palestyński". W kwietniu 2024 r., po izraelskim ataku na ambasadę Iranu w Damaszku, poleciały nań butelki z benzyną.

Za każdym razem bronili go sami mieszkańcy Hamadanu, a napastnikami okazywała się garstka fanatyków. Autorstwo gróźb jest sporne: niektórzy w Iranie utrzymują, że stoją za nimi prowokatorzy, którym zależy, by wypchnąć Żydów z kraju.

Symbolika tego miejsca sięga jednak głębiej niż groźby. Estera to żydowska dziewczyna, która zostaje królową Persji i ratuje swój lud, działając z wnętrza państwa. Postać, w której bycie i Żydówką, i częścią Persji (poprzedniczki Iranu) się nie kłóci. Przez 25 wieków jej grób był dowodem, że te dwie tożsamości potrafią się łączyć. Zamknięcie go w 2026 r. to przyznanie, że przestrzeń, w której można było jednocześnie być Irańczykiem i Żydem, właśnie się skurczyła.

CO DALEJ | Ilu z nich w końcu wyjedzie? Wielu Irańczyków marzy dziś o emigracji. Ale akurat Żydzi wyjeżdżają rzadko. Mimo że mieliby dokąd jechać i niekoniecznie do Izraela: pod Los Angeles i Nowym Jorkiem czeka na nich spora diaspora.

Zostają, gdyż w Hamadanie spoczywa ich Estera, a perski w modlitwie brzmi równie swojsko jak hebrajski. Przyznać, że ich irańskość jest warunkowa, ważna do chwili, gdy zdadzą kolejny egzamin z lojalności, znaczyłoby zgodzić się na to, iż stulecia ich obecności można unieważnić jednym „polubieniem" w sieci.

Czy jednak wspólnota zniesie tę presję na dłuższą metę? Nie wiadomo. Na razie irańscy Żydzi czekają, aż grób Estery znów się dla nich otworzy. I pilnują, by w telefonach nie zostało nic, co można by wziąć za zdradę. © IGOR KUŚMIERSKI

REKLAMA



eprasa.pl ed1902df8f

GRUPA ZAGRANICA

Od kryzysu do samodzielności

JACEK TARAN

Jak pomagać, by wsparcie przynosiło trwałą zmianę? O działalności Fundacji Kalejdoskop Kultur w Ukrainie i Fundacji Kiabakari w Tanzanii.



OKSANA LANS / MATERIAŁY PRASOWE FUNDACJI KALEJDOSKUP KULTUR X2

Ukraina i Tanzania. Wojna, trauma i ubóstwo, ale też brak dostępu do edukacji i opieki zdrowotnej. Fundacja Kalejdoskop Kultur i Fundacja Kiabakari odpowiadają na te różne wyzwania, wspierając lokalne społeczności i budując rozwiązania, które mają działać długofalowo. Obie są członkami Grupy Zagranica – federacji polskich organizacji pozarządowych zajmujących się współpracą rozwojową, pomocą humanitarną i edukacją globalną.

Odporność na lata

Koniec lutego 2022 r., dworzec we Wrocławiu, tłumy ludzi uciekających z Ukrainy i spontanicznie organizujący się wolontariusze. Wśród nich psycholożki, które same kilka dni wcześniej uciekły przed wojną. Trzeba było szybko zdecydować, co można zrobić.

– Ja chodziłam szybciej, jadłam szybciej, wszystko się po prostu działo – wspomina Katarzyna Zaremba, prezeska Fundacji Kalejdoskop Kultur. – Zastanawiałyśmy się, co robić.

Kalejdoskop Kultur nie był wtedy organizacją, która dopiero odkrywała Ukrainę. Fundacja powstała we Wrocławiu jako inicjatywa wyrastająca ze środowisk mniejszości narodowych i etnicznych. Najpierw były kultura i dialog międzykulturowy, później działania integracyjne i pomoc nowym mieszkańcom miasta. Od 2016 r. organizacja współpracowała też z ukraińskimi psychologami, szkoląc ich m.in. z interwencji kryzysowej, pracy z traumą i osobami wracającymi z niewoli.

Kiedy w lutym 2022 r. rozpoczęła się pełnoskalowa wojna, to doświadczenie okazało się bezcenne.

Psycholog też potrzebuje pomocy

Na wrocławskim dworcu szybko pojawiły się setki osób chcących pomagać. Wśród wolontariuszy było wielu psychologów. Problem polegał na tym, że nikt właściwie nie miał czasu ani możliwości, żeby zorganizować ich pracę.

– Te osoby przychodziły i chciały pomagać, ale nie było takiej części organizacyjnej, która by powiedziała: dobra, zorganizujmy to – mówi Zaremba.

Kalejdoskop Kultur, wspólnie z innymi organizacjami, zaczął tworzyć system opieki i zagospodarowania potencjału psychologów, którzy trafili do Polski z Ukrainy. Ruszyły szkolenia. W ten sposób powstał pierwszy zespół, który miał nie tylko pomagać osobom uciekającym przed wojną, ale także zapewnić samym pomagającym odpowiednie narzędzia i wsparcie.

Wtedy szczególnie wyraźnie pojawiło się pytanie: jak mają pomagać ludzie, którzy sami są dotknięci traumą?

– To taki odwieczny dylemat, na ile osoba, która sama jest dotknięta wydarzeniem traumatycznym, może pomagać – mówi Sebastian Chmieliński, psycholog współpracujący z Kalejdoskopem. – Są szkoły, które mówią, że nie może. Ale sytuacja w Ukrainie jasno pokazuje, że właściwie stoimy pod ścianą. Bo kto miał pomagać Ukraińcom, jeśli nie ukraińscy specjaliści, znający język, kulturę, realia życia i uwarunkowania wojny?

Rozwiązaniem nie było więc odsunięcie ich od pracy, ale stworzenie systemu, w którym można było monitorować ich stan psychiczny, zapewnić superwizję, szkolenia i reagować, kiedy pojawiały się problemy. Chmieliński podkreśla, że Kalejdoskop od początku patrzył na pomoc systemowo.

Wojna to nie sprint

Dziś największym problemem jest to, że wojna trwa. A wraz z nią nie znikają jej psychologiczne konsekwencje i często potrzebna jest długotrwała terapia. Liczby pokazują skalę zmiany. W 2016 r. Kalejdoskop i jego ukraińscy partnerzy planowali około 500 konsultacji w ciągu roku dla weteranów i ich rodzin. W 2024 r. było ich 1600. Teraz zaplanowano ponad 5 tysięcy konsultacji w ciągu zaledwie pół roku.

– Na początku mówiliśmy bardziej o interwencji kryzysowej, o pewnej stabilizacji klientów. Teraz widzimy, że często potrzeba dłuższej terapii, większego wsparcia – mówi Zaremba.

Kalejdoskop pracuje dziś m.in. z ukraińskimi organizacjami, centrami usług socjalnych, specjalistami zdrowia psychicznego, szkołami i pracownikami pierwszego kontaktu. W Żytomierzu szkoleni są pracownicy socjalni, przedstawiciele organizacji pozarządowych i oświaty. Chodzi o to, żeby potrafili rozpoznać traumę, udzielić podstawowej pomocy i wiedzieli, kiedy potrzebna jest interwencja specjalisty.

Dziewczynka na moście

Za tym systemem nie stoją jednak wyłącznie szkolenia, projekty i liczby. Stoją konkretni ludzie.

Chmieliński opowiada o dziewczynce z Żytomierza, której matka zginęła na wojnie. Dziewczynka została pod opieką ojca, który nie był w stanie odpowiednio się nią zajmować. W pewnym momencie znalazła się w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia – została ściągnięta z mostu.

Wtedy zadziałał system, który przez lata współpracy wspierał Kalejdoskop.

Była policjantka zajmująca się ochroną osób zagrożonych, pracownicy pomocy społecznej, specjalistka ze szpitala psychiatrycz-

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl ed1902df8f



Specjalistyczne szkolenie dla psychologów



Poczekalnia ośrodka zdrowia w Kiabakari

BOŻENA KOCZUR / MATERIAŁY PRASOWE FUNDACJI KIABAKARI

nego. Informacja o dziewczynce mogła szybko przejść od jednej instytucji do drugiej, a dziecko szybko trafiło na odpowiednią ścieżkę pomocy.

To właśnie w takich sytuacjach widać sens pracy, której efekty trudniej zmierzyć niż liczbę przeprowadzonych konsultacji.

Odporność to nie twardość

Kalejdoskop Kultur mówi dziś o swojej działalności jako o budowaniu odporności społecznej.

– Odporny to nie ten, który zawsze jak czołg idzie do przodu. Nie o to chodzi – mówi Chmieliński. – To ten, który jest świadomy siebie, swoich zasobów, ale także braków w tych zasobach. Kiedy trzeba powiedzieć: słuchajcie, mam gorszy czas, zaopiekujcie się mną.

Dla Zaremby odporność zaczyna się wcześniej – od umiejętności rozpoznania własnych emocji i ograniczeń, ale także od wiedzy, gdzie szukać pomocy.

– Odporne społeczeństwo oznacza dla nas takie społeczeństwo, które zna swoje zasoby, umie się ze sobą komunikować i kontaktować, i w momencie kryzysu umie do siebie wyciągnąć rękę – mówi.

Dlatego fundacja pracuje nie tylko z osobami wymagającymi specjalistycznej pomocy. Szkoleni są również nauczyciele, pracownicy socjalni, wolontariusze czy osoby pierwszego kontaktu. Chodzi o to, żeby wiedza o tym, jak reagować w sytuacji kryzysowej, nie była zarezerwowana wyłącznie dla psychologów.

– Dbanie o siebie to nie jest egoizm. To po prostu podstawa pomagania i obowiązek – mówi Zaremba.

Bo odporność nie oznacza, że człowiek przestaje się bać, cierpieć czy potrzebować innych. Oznacza raczej, że wie, co zrobić, kiedy kryzys przychodzi.

– Nie ma odbudowy Ukrainy bez zdrowia psychicznego – mówi Zaremba. – Mówimy o odbudowie: infrastruktura, drogi, szkoły. Kto będzie korzystał z tych dróg i szkół, kiedy nie zadbamy o zdrowie psychiczne?

To samo pytanie można postawić także poza Ukrainą. Wobec społeczeństwa, które coraz częściej żyje w napięciu, podatnego na dezinformację, manipulację i wzajemną nieufność.

– Człowiek rozedrgany jest podatny na manipulację – mówi Zaremba.

Dlatego ich odpowiedź jest zaskakująco prosta: budować więzi. Uczyć rozpoznawania emocji. Wiedzieć, kiedy poprosić o pomoc. Wiedzieć, jak pomóc drugiemu człowiekowi. I tworzyć lokalne społeczności, które potrafią działać razem, zanim kryzys stanie się katastrofą.

– Jestem zwolennikiem takiej pracy organicznej u podstaw – mówi Chmieliński.

I chyba właśnie w tym zdaniu najlepiej mieści się dzisiejsza filozofia Kalejdoskopu Kultur. Nie chodzi już tylko o to, żeby zdążyć z pomocą wtedy, gdy wydarzy się coś złego. Chodzi o to, żeby ludzie i społeczności były na taki moment trochę lepiej przygotowane.

Kalejdoskop Kultur działa dzięki wsparciu Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP w ramach polskiej współpracy rozwojowej „Polska pomoc". W 2026 r. realizuje projekt finansowany przez MSZ, „Pomoc Humanitarna – Ukraina 2026", wyłoniony w konkursie „Pomoc humanitarna 2026" oraz w ramach programu „RITA - Przemiany w regionie" Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności, realizowanego przez Fundację Edukacja dla Demokracji, którego wsparcie umożliwiło rozpoczęcie działań w 2026 r. W Ukrainie współpracuje z organizacją „Wolny Wybór", Żytomierskim Miejskim Centrum Służb Społecznych Rady Miejskiej, Szpitalem Weteranów Wojny Rady Obwodu Żytomierskiego w Berdyczowie oraz Departamentem Edukacji Rady Miejskiej Żytomierza.

Od Wrocławia do Tanzanii

Jeśli we Wrocławiu punktem wyjścia była potrzeba budowania odporności ludzi i instytucji dotkniętych wojną, w Kiabakari początkiem była znacznie bardziej podstawowa potrzeba: zapewnić mieszkańcom dostęp do edukacji, jedzenia i opieki zdrowotnej.

Kiabakari to około 30-tysięczna miejscowość w Tanzanii, położona w pobliżu Jeziora Wiktorii. To właśnie tutaj od ponad 35 lat pracuje pochodzący z Krakowa ks. Wojciech Kościelniak. Z czasem wokół misji zaczęły powstawać kolejne miejsca i projekty służące lokalnej społeczności. Fundacja Kiabakari powstała w 2008 r., by wspierać tę działalność i odpowiadać na potrzeby, które pojawiały się na miejscu.

Piechotą bez śniadania

– Jeszcze zanim fundacja powstała, misjonarz rozmawiał z wolontariuszami, że jako ksiądz nie poradzi sobie sam. Powstał pomysł, aby powołać fundację, która będzie wspierała działanie – mówi Bożena Koczur, prezeska Fundacji Kiabakari.

Jedną z najbardziej podstawowych potrzeb było jedzenie. Dzieci często pokonywały kilka kilometrów do szkoły, nie jedząc wcześniej śniadania. – Dzieci się bardzo słabo rozwijały, słabo się uczyły. Przekładało się to na ich całe życie – opowiada Koczur. ↦

eprasa.pl ed1902df8f



BOŻENA KOCZUR / MATERIAŁY PRASOWE FUNDACJI KIABAKARI

Dożywianie dzieci w Kiabakari

↦ Dlatego w 2015 r. fundacja wprowadziła program dożywiania. Dziś dzieci otrzymują nie tylko śniadania, ale także obiady. Program „Gorący Kubek" pozwala sfinansować miesięczne śniadania dla jednego dziecka za 20 złotych, a miesięczny koszt obiadu wynosi około 50 złotych. Z pomocy korzysta około 350 dzieci. – Są zdrowe, są radosne, doskonale się uczą, więc na pewno warto w nie inwestować – mówi Koczur.

Szkoła i medycyna

Z czasem pomoc zaczęła obejmować coraz więcej obszarów: edukację, ochronę zdrowia i rozwój zawodowy. Fundacja wspiera fundusz szkolny i zdrowotny, współfinansowała budowę i rozwój szkoły podstawowej, przedszkola, kliniki okulistyczno-stomatologicznej oraz internatów. W Kiabakari działa również centrum edukacyjno-zawodowe i Centrum Przedsiębiorczości i Rozwoju Kobiet WAWATA. Na stronie Fundacji lista zrealizowanych przedsięwzięć obejmuje także m.in. remont ośrodka zdrowia, farmę organiczną, instalacje fotowoltaiczne i projekty poprawiające warunki sanitarne.

– Praktycznie każdy kolejny projekt wychodzi z poprzedniego. Na miejscu rodzą się potrzeby, na które my staramy się odpowiedzieć – mówi Bożena Koczur. Jak podkreśla, możliwość kontynuowania projektów sprawiła, że ich efekty przekroczyły pierwotne oczekiwania.

Jednym z przykładów jest opieka zdrowotna. Do ośrodka zdrowia w Kiabakari przyjeżdżają pacjenci z całego regionu Mara. Fundacja wspiera także przyjazdy polskich specjalistów – w klinice wykonywane są m.in. zabiegi okulistyczne i stomatologiczne. W planach jest dalszy rozwój zaplecza medycznego, w tym stworzenie sali operacyjnej i banku krwi.

Wbrew przesądom

Innym przykładem jest ośrodek dla dzieci z albinizmem w Lamadi. Powstał w odpowiedzi na ich szczególnie trudną sytuację – zagrożenie przemocą, porwaniami i okaleczeniami, a także problemy zdrowotne związane z albinizmem. Ośrodek zapewnia dzieciom bezpieczne miejsce do życia i nauki.

Szczególnym projektem jest jednak Nyumba Salama – Bezpieczny Dom. To miejsce dla dziewcząt, które uciekły przed rytualnym obrzezaniem, przymusowymi małżeństwami lub innymi formami przemocy. Projekt realizowany w latach 2024-2025 pozwolił stworzyć dwa dormitoria, zaplecze edukacyjno-zawodowe i rekreacyjne. W ten sposób powstało 160 miejsc dla dziewcząt w wieku od 6 do 17 lat.

Koczur pamięta początki tego projektu. W jednym niewielkim budynku mieszkało około 50 dziewcząt, które spały na kocach i kawałkach materiału, w bardzo trudnych warunkach. Część z nich trafiała do ośrodka za pośrednictwem rodzin, sąsiadów, policji czy sądów, po doświadczeniu przemocy.

Nowy ośrodek ma dać im coś więcej niż bezpieczne miejsce do spania. Dziewczęta mogą się uczyć i zdobywać podstawowe umiejętności zawodowe, tak aby po opuszczeniu ośrodka mogły samodzielnie zadbać o siebie. – Aby wychodząc z tego środka w wieku 17 lat, mogły iść w świat i godnie zarabiać na swoje życie – mówi Koczur.

Kluczowa jest samodzielność

To właśnie samodzielność jest jednym z najważniejszych słów w opowieści o Kiabakari. Fundacja nie chce ograniczać pomocy do doraźnego zaspokajania potrzeb. Edukacja ma prowadzić do dalszej nauki, a znajomość języka angielskiego ma otwierać nowe możliwości. Projekty skierowane do kobiet pozwalają im zarabiać na siebie i swoje rodziny. – My rośniemy jako fundacja razem z Kiabakari – mówi Koczur.

Zmienia się również sama fundacja. Kiedy powstawała w 2008 r., zarówno ona, jak i lokalne instytucje dopiero stawiały pierwsze kroki. Z czasem zmieniały się także potrzeby mieszkańców. Dziś obok edukacji i podstawowej opieki zdrowotnej coraz większe znaczenie mają m.in. rozwój zawodowy, bezpieczeństwo i możliwość samodzielnego utrzymania się.

Istotną rolę w działalności fundacji odgrywają wolontariusze. Niełatwo jednak jest nim zostać. – Jeśli my pojedziemy na miejsce do Tanzanii z nastawieniem „będziemy robić wszystko, co będzie trzeba", to zabieramy pracę miejscowym ludziom – tłumaczy Koczur. Dlatego fundacja wybiera wolontariuszy, którzy mogą przekazać konkretną wiedzę i umiejętności, zamiast wykonywać pracę, którą mogą wykonać lokalni mieszkańcy. W cenie jest przede wszystkim wiedza medyczna i gotowość na długofalowe zaangażowanie. Również dlatego, że potrzeby stale się zmieniają. Jednym z wyzwań jest rehabilitacja. Fundacja realizuje obecnie projekt wykończenia i wyposażenia centrum rehabilitacyjnego, przede wszystkim z myślą o dzieciach z problemami wynikającymi m.in. z komplikacji okołoporodowych, ale także o osobach starszych i poszkodowanych w wypadkach drogowych.

Kiabakari to historia miejsca, które przez lata zmieniało się krok po kroku: od potrzeby nakarmienia dziecka i zapewnienia mu szkoły, przez dostęp do lekarza i bezpiecznego schronienia, aż po możliwość zdobycia zawodu i samodzielnego życia.

Ważnym źródłem finansowania działalności Fundacji Kiabakari jest program polskiej współpracy rozwojowej „Polska pomoc", prowadzony przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP. Fundacja realizuje projekty w ramach konkursów programu od 2011 r. To dzięki kolejnym dotacjom udało się m.in. rozwijać infrastrukturę edukacyjną i medyczną, a także tworzyć projekty odpowiadające na nowe potrzeby mieszkańców. ©℗ JACEK TARAN

GRUPA ZAGRANICA

Niniejsza publikacja jest finansowana przez Unię Europejską. Za jej treść odpowiadają wyłącznie autorzy i niekoniecznie odzwierciedla ona poglądy Unii Europejskiej.

Finansowane przez Unię Europejską

Fundacja "Kiabakari"

eprasa.pl ed1902df8f

WOJCIECH

Bonowicz: *Tu nie słychać syren*



Po spotkaniu z W. wszystko, o czym zamierzałem napisać, wydało mi się nagle błahe, niewarte uwagi. W. jest prawnikiem, poetą i tłumaczem poezji. Przyjechał do Krakowa na kilka dni, służbowo. Te kilka dni, choć wypełnione spotkaniami, to dla niego czas wytchnienia. W Kijowie syreny alarmowe odzywają się nawet dziesięć razy w ciągu dnia. Trzeba schodzić do piwnic, a potem znów wracać za biurko, bo pracy jest dużo. Z okien pokoju, w którym W. usiłuje pracować, widać dymy unoszące się nad różnymi częściami miasta, raz dalej, raz bliżej.

Sytuacja przypomina pierwsze miesiące rosyjskiej agresji. Są problemy z dojazdem do pracy, zaopatrzeniem, energią. Pociski spadają w miejscach, w których dotąd toczyło się normalne życie. Rosja starannie wybiera cele ważne dla funkcjonowania miasta. Nie chodzi tylko o infrastrukturę. Na Ukrainie ukuto nowe pojęcie: terroru książkowego. Bo rakiety w ostatnim czasie uderzają precyzyjnie w magazyny, gdzie przechowuje się książki. Oblicza się, że mogło spłonąć nawet piętnaście milionów egzemplarzy, w tym świeżo wydrukowane podręczniki. Podobnie z innymi obszarami kultury. Kilka tygodni temu W. wybrał się do teatru. W trakcie przedstawienia były dwa nieplanowane antrakty, z powodu zagrożenia trzeba było opuścić widownię. Aktorzy improwizowali, starając się rozładować napięcie. Ale napięcie czuć wszędzie. „Nienormalna normalność. Tak teraz żyjemy", mówi W.

Starsi ludzie, którzy wieczorami, żeby porozmawiać, siadywali w podwórkach kamienic, dziś spotykają się w metrze. Ludzie w różnym wieku, nieraz całe rodziny, układają się tam do snu, bo przynajmniej nie będzie to sen przerywany ewakuacją. Niektórzy rozkładają małe namioty, żeby zapewnić sobie choć odrobinę prywatności. Metro kursuje, ale z przerwami, nieraz długimi; często nie można się dostać z jednej strony rzeki na drugą. „Mówimy sobie: nasi na froncie mają gorzej. Bo tak rzeczywiście jest".

Złamać ducha – o to chodzi agresorowi. Być może to oznaka jego desperacji. Być może koniec jest blisko. Pocieszamy się, ale wewnątrz czujemy, że agresor wciąż jest silny i zdeterminowany. Kiedy porównuję Rosję do smoka, W. gwałtownie protestuje. „Lubię przyjeżdżać do Krakowa, bo to miasto, w którym smok jest dobry". Śmiejemy się, że wpierw musieliśmy tego smoka zabić, żeby potem go polubić. W. ma przed oczyma przede wszystkim smoka z „Porwania Baltazara Gąbki". „Odkąd zobaczyłem tę bajkę, wierzę w istnienie dobrych smoków. Zresztą sam urodziłem się w Roku Smoka", dodaje W.

skoro mnie nie zabijają
czy mam prawo
rozmawiać z tymi których zabijają
jak równy z równym
czy mam prawo cierpieć
skoro nie mam rany
skarżyć się
skoro nie mam straty
czy mam prawo
do bezsenności
kiedy tu
nie słychać syren

To fragment wiersza Iryny Szuwałowej (w przekładzie Anety Kamińskiej).

Kiedy W. zaczyna mówić o wdzięczności wobec Polski, spuszczam głowę. Nie wiem, co powiedzieć, jest mi wstyd. Tak, pomoc ciągle jest duża, nie brakuje u nas ludzi ofiarnych, także gotowych zaryzykować życiem. I ciągle większość z nas – takie mam wrażenie – zachowuje życzliwość wobec Ukrainek i Ukraińców. I kibicuje Ukrainie, życząc jej szybkiego i szczęśliwego końca wojny. W. mówi żarliwie, jakie to dla niego ważne, że może liczyć na polskie instytucje i ludzi w Polsce. Ale ja czuję wstyd, przypominając sobie nie tylko te haniebne pobicia, oplucia, wyzwiska, ale też to, co rozsiane zostało szeroko w internecie. Wiem, słyszę ciągle ten argument, że i ukraiński internet nasycany jest antypolskimi treściami. No ale my odpowiadamy za polski, a w każdym razie – powinniśmy się czuć za niego odpowiedzialni. „Przegrywamy wojnę w sieci". Ileż razy to słyszałem. I co? Wydaje się, że wciąż niewiele się dzieje w tej dziedzinie. A przecież o to chodzi agresorowi: wzbudzić nieufność, niechęć, w końcu wrogość. Grubymi nićmi ta propaganda szyta? Owszem. Ale okazuje się, że grube nici już nie przeszkadzają. Coś zawsze się przyklei. A poza tym są i subtelniejsze pomysły. Powolutku sączyć wątpliwości. Powolutku. Potem wystarczy jakaś drobna, powszednia sytuacja: konflikt w pracy czy w szkole, sprzeczka w sklepie, głośniejsza rozmowa w tramwaju...

Tak, wstydzę się, że jesteśmy tak bezradni. Ale może bardziej jeszcze wstydzę się naszej niefrasobliwości. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

eprasa.pl ed1902df8f

WIARA

WOJNA I MIR



LUCY ASH,
BYŁA KORESPONDENTKA BBC W MOSKWIE:

Rosja musi wziąć odpowiedzialność za to, że pod sztandarem religii najechała sąsiada. Bez realnej pokuty rosyjskie prawosławie pozostanie jedynie pustą skorupą.

KASPER KALINOWSKI: Zacznijmy od początków. W sporze o księcia Włodzimierza, który ochrzcił Ruś, kto ma rację – Putin czy Zełenski? Obaj się na niego powołują.

LUCY ASH: Bez wątpienia Zełenski ma silniejsze argumenty. Choć dla patriarchy Cyryla i Władimira Putina to fakt skrajnie niewygodny, że kolebka prawosławia Słowian wschodnich znajduje się w kraju, który nie chce mieć z dzisiejszą Rosją nic wspólnego. Ta walka o „duchowe korzenie" stała się wręcz jednym z powodów wojny, swoistym *casus belli*. Putin postrzega ukraińską niezależność jako policzek wymierzony w jego wizję ruskiego miru. Przecież tuż przed inwazją otwarcie deklarował, że Ukraina jest „nieodrodną częścią naszej własnej historii, kultury i przestrzeni duchowej".

Pamiętam uderzający obraz z Kijowa, który widziałam tuż po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji – pomnik księcia Włodzimierza, wznoszący się wysoko nad Dnieprem, szczelnie obłożony workami z piaskiem, by chronić go przed rosyjskimi bombami. Przejmujący kontrast wobec monstrualnego, niemal karykaturalnego pomnika Włodzimierza, który Putin kazał postawić tuż przy murach Kremla, mimo protestów UNESCO. Obaj przywódcy uznają księcia Włodzimierza za swojego świętego, ale warto pamiętać o historycznym kontekście – chrzest Rusi nie był aktem czysto metafizycznym. Włodzimierz, idąc śladem swojej babki Olgi, chciał zjednoczyć lud pod jedną religią z powodów czysto politycznych i handlowych, pragnąc zbliżyć się do potężnego Bizancjum. Od samego początku mamy więc do czynienia z mariażem państwa i Kościoła zawartym z politycznego rozsądku. Cerkiew zawsze dążyła do bycia po prawicy władzy.

To zdaje się nie uległo zmianie. Niezależnie od tego, kto zasiada na Kremlu.

To prawda. Cerkiew zawsze chciała być blisko ośrodków decyzyjnych, by cieszyć

eprasa.pl ed1902df8f



SERGEY VLASOV / ASSOCIATED PRESS / EAST NEWS

Władimir Putin i patriarcha Cyryl na nabożeństwie bożonarodzeniowym podczas święcenia krzyży dla rosyjskich żołnierzy. Moskwa, 7 stycznia 2025 r.

się wpływami i bogactwem. Pod jarzmem mongolskim była niemal jedyną instytucją zwolnioną z podatków, podczas gdy chłopi, rzemieślnicy i żołnierze musieli płacić daninę Złotej Ordzie. Kościół potrafił się od tego wykręcić. Ten schemat powtarzał się pod rządami carów, Biura Politycznego, a obecnie Putina. Cerkiew zawsze szuka bliskości z „silnym człowiekiem".

Ostatnio widzieliśmy szczyt hipokryzji w kontekście Ławry Peczerskiej w Kijowie. Gdy ukraińskie służby zaczęły usuwać stamtąd mnichów oskarżanych o bycie „piątą kolumną" i modlenie się o zwycięstwo Rosji, w Moskwie podniósł się krzyk o prześladowaniu wiary. Tymczasem te same „święte miejsca", o które tak rzekomo dba Rosja, nie zostały oszczędzone przez rosyjskie bomby. Jak można twierdzić, że czci się kolebkę prawosławia, a jednocześnie ją bombardować? Rosyjska propaganda nie dba jednak o logikę.

Putin chętnie odwołuje się do takich postaci historycznych jak Piotr Wielki czy Iwan Groźny. Sakralizuje swoją władzę?

Putin próbuje kreować się na Piotra Wielkiego XXI wieku, ale w rzeczywistości kopiuje jego najgorsze cechy, jak okrucieństwo i chorobliwy nacjonalizm. Piotr Wielki wyrządził Cerkwi ogromne szkody, zamieniając ją w bezwolne ramię państwa. Już w XVIII wieku zmuszano księży, by na podstawie spowiedzi donosili na osoby podejrzane o działalność wywrotową. Święta więź zaufania między kapłanem a wiernym została zerwana na ołtarzu interesu państwowego.

Putin początkowo mógł wydawać się otwarty na technologię czy Europę, podobnie jak Piotr Wielki budujący „okno na świat" w Petersburgu. Jednak uraza, którą Putin żywił do Zachodu – poczucie, że nie został doceniony po 11 września, że zlekceważono jego gesty w Azji Środkowej – eksplodowała w formie totalnego nacjonalizmu. Dziś Cerkiew jest używana do sankcjonowania agresji, grabieży ziem i mordowania cywilów. ↦

eprasa.pl ed1902df8f

↦ Trudno patrzeć bez bólu na tysiące ofiar w Ukrainie, podczas gdy rosyjscy hierarchowie błogosławią tę rzeź.

Nazywa Pani tę relację „trucizną". Zawsze tak było? Ruski mir nie miał innego oblicza?

Byłam na tyle naiwna, by uwierzyć w pewnym momencie, że inna Rosja była możliwa. Gdy w sierpniu 1990 r. zaczynałam pracę dla BBC w Moskwie, Cerkiew budziła powszechną sympatię jako ofiara dekad komunistycznych prześladowań. Panował tam niesamowity ferment intelektualny, ludzie jeździli na odległe parafie, by słuchać niezależnych księży, których nie lubił oficjalny patriarchat. To był czas duchowego głodu, fascynacji – nawet wystawienie „Jesus Christ Superstar" w Leningradzie budziło religijny entuzjazm, a żona brytyjskiego ambasadora osobiście nosiła cegły przy odbudowie klasztoru w Tołdze.

Niestety, ten kapitał został błyskawicznie roztrwoniony. Szybko stało się jasne, że hierarchowie są bardziej zainteresowani odzyskiwaniem majątków i własnymi interesami niż edukacją biblijną wiernych. Gdy ksiądz Gleb Jakunin zaczął odkrywać dowody na współpracę kleru ze służbami, Cerkiew natychmiast zamknęła dostęp do archiwów KGB. Zamiast duchowości, mieliśmy handel alkoholem i papierosami na masową skalę pod przykrywką pomocy humanitarnej, za co dzisiejszy patriarcha Cyryl zyskał przydomek „Tytoniowego Metropolity".

Czy w dzisiejszej Rosji jest jeszcze miejsce na niezależność Cerkwi?

Większość z 40 tys. rosyjskich duchownych prawdopodobnie stara się po prostu przetrwać, zajmując się swoimi społecznościami na prowincji. Jednak ci, którzy mają odwagę słuchać własnego sumienia, spotykają się z bezwzględnymi represjami. Księża, którzy odmówili odmawiania narzuconej „modlitwy o zwycięstwo" lub publicznie potępili wojnę, są natychmiast usuwani z urzędów, a nawet wsadzani do więzień. Aleksiej Umiński musiał uciekać z kraju w obawie przed aresztowaniem. Szacuję, że tylko około 10 proc. księży naprawdę wierzy w sens tej wojny, reszta jest sparaliżowana strachem lub próbuje udawać, że nic się nie dzieje.



IVAN WEISS / MATERIAŁY PRASOWE

LUCY ASH
– była korespondentka BBC w Moskwie, dziennikarka specjalizująca się w sprawach międzynarodowych, głównie Rosji i Ukrainy. Jej pierwsza książka „The Baton and The Cross" znalazła się w finale nagrody im. Orwella i nagrody British Academy Book Prize. Wydanie polskie („Batem i krzyżem. Tysiąc lat nieświętego przymierza polityki i religii w Rosji") ukaże się 25 października nakładem Wydawnictwa Bo.wiem.



Używa Pani określenia: „małżeństwo kadzidła z rakietą". To brzmi jak religijny fundamentalizm.

Zaczerpnęłam tę analogię od pewnego francuskiego teologa – dym z kadzielnicy i dym z bomb zlewają się w jedną, duszącą chmurę. Cyryl posunął się do stwierdzenia, że wojna nuklearna może mieć charakter oczyszczający, niemal święty. Od lat budował bliskie relacje z kompleksem militarno-przemysłowym, porównując naukowców pracujących nad bronią jądrową do średniowiecznych pustelników i świętych patriotów. To czyste szaleństwo, w które Rosja jest przedstawiana jako „katechon" – jedyna siła powstrzymująca nadejście Antychrysta, która poprzez apokalipsę oczyści świat. Cyryl nie zachowuje się jak lider duchowy, lecz jak minister obrony.

Symbolem tego sojuszu jest Główna Świątynia Sił Zbrojnych. Co ona mówi o dzisiejszej Rosji?

To „świątynia Marsa", boga wojny, a nie Chrystusa. Jest groźna, monumentalna, a jednocześnie kiczowata – przypomina mroczną wersję Disneylandu w kolorach khaki, z turkusowymi oknami. Fakt, że wchodzi się do niej po schodach odlanych z przetopionej niemieckiej broni, mówi sam za siebie. To symbol całkowitego wyzucia Cerkwi z treści ewangelicznych. Najważniejsze przykazanie miłości bliźniego zostało tam podeptane na rzecz kultu siły i triumfalizmu. To kontynuacja starej idei „Moskwy jako Trzeciego Rzymu", po którym czwartego nie będzie.

A może kluczem do zrozumienia tej mentalności są powiązania Cerkwi ze służbami specjalnymi?

Oczywiście. Stalin potrzebował Cerkwi do mobilizacji narodu przeciwko Niemcom, dlatego przywrócił ją w 1943 r. Od tamtego czasu KGB, a później FSB, są głęboko zaangażowane w jej działalność. Żaden biskup nie zostanie mianowany bez zgody Łubianki. Służby i Kościół są niemal nieodróżnialne. Hierarchowie dbają o swoje udziały w handlu ropą, nieruchomościach i luksusowe zegarki, które próbują nieudolnie retuszować na zdjęciach. Widzimy tę hipokryzję na każdym kroku – oligarchowie budują puste kościoły, by kupić sobie zbawienie, podczas gdy ich synowie rozbijają luksusowe Lamborghini. Urzędnicy ścigani przez Hagę za porywanie dzieci biorą wystawne śluby w „podmoskiewskim Wersalu". To w dużym stopniu biznes, a nie religia. Ale ta hipokryzja ma charakter systemowy – pod sztandarem „tradycyjnych wartości" Cerkiew torpedowała ustawy przeciwko przemocy domowej, nazywając ochronę katowanych kobiet „ludobójstwem rosyjskiej rodziny". Sama instytucja jest zresztą oparta na przemocy – od bicia kleryków po wykorzystywanie seksualne podwładnych.

Czy Rosjanie są w ogóle narodem religijnym?

Są znacznie mniej religijni niż Polacy. Prawosławie służy im głównie jako

eprasa.pl ed1902df8f

znacznik tożsamości narodowej: „to czyni nas Rosjanami”. Ale ta wiara jest tak naprawdę powierzchowna – zaledwie 1 proc. uczęszcza na liturgię bożonarodzeniową, a 3 proc. zjawia się na liturgii wielkanocnej, najważniejszej uroczystości w prawosławnym kalendarzu. Religijność jest czysto na pokaz: zapalenie świeczki, kupienie modlitwy z cennika, zanurzenie się w lodowatej wodzie w Epifanię. Większość nie zna modlitw ani Biblii. Cerkiew jest im potrzebna głównie do rytuałów przejścia, szczególnie teraz, gdy synowie i mężowie wracają w trumnach z Ukrainy. To tragiczne, że jedynym momentem realnego kontaktu z *sacrum* dla wielu rodzin jest pogrzeb.

Tymczasem na Zachodzie prawosławie zyskuje na popularności. Co do niego przyciąga?

To ciekawe zjawisko, widoczne szczególnie w USA czy Wielkiej Brytanii. Prawosławie przyciąga młodych mężczyzn, którzy szukają „męskiej”, wymagającej religii – fascynują ich długie nabożeństwa na stojąco, surowe posty i tradycja Ojców Pustyni. Często są to ludzie rozczarowani współczesnością, którą postrzegają jako zbyt liberalną czy wręcz „sfeminizowaną”. Widzą w prawosławiu coś starego i autentycznego, nie zdając sobie sprawy z tego, jak bardzo ta instytucja jest w Rosji uwikłana w politykę i przemoc.

A Putin? Czy on w ogóle wierzy w Boga? Czy to tylko cyniczna gra, a rację miał McCain, mówiąc, że w jego oczach widzi tylko trzy litery: „K, G i B”?

Trudno zajrzeć do jego duszy, ale jego czyny są zaprzeczeniem nauk Jezusa. Jego religijność wydaje się oparta na zabobonach i strachu przed śmiercią. Przenoszenie cennych ikon z muzeów do cerkwi, by „zmienić losy wojny”, wizyty u szamanów na Syberii, rytuały mające zapewnić mu długowieczność – to obraz człowieka przerażonego własnym, zbliżającym się kresem.

Widzi Pani jakąkolwiek szansę na odrodzenie niezależnej Cerkwi w Rosji?

Na ten moment – nie. Dopóki Rosja nie przegra tej wojny i nie zostanie zmuszona do odpokutowania za swoje winy, nie ma miejsca na duchową niezależność. Możliwa jest jedynie „Cerkiew podziemna”, podobna do tej z czasów stalinowskich czystek, gdzie ludzie spotykają się w tajemnicy, przy zasłoniętych oknach.

Dzisiejsza Cerkiew rosyjska wymaga głębokiej lustracji i odsunięcia wszystkich wyższych hierarchów. To jednak proces na dekady, którego prawdopodobnie nie dożyjemy. Rosja musi wziąć odpowiedzialność za to, że pod sztandarem religii najechała sąsiada i próbowała zniszczyć jego duszę, m.in. poprzez pranie mózgów uprowadzonym dzieciom. Bez realnej pokuty rosyjskie prawosławie pozostanie jedynie pustą skorupą, narzędziem w ręku dyktatora.

© Rozmawiał KASPER KALINOWSKI

POŻEGNANIE

2 października 2026 minie rok od odejścia

Ś.†P.

Włodzimierza Gajewskiego

kieleckiego lekarza psychiatry

Był uczniem i współpracownikiem prof. Antoniego Kępińskiego,
twórcą i liderem kieleckiej psychiatrii,
od 1972 roku ordynatorem oddziału psychiatrycznego Wojewódzkiego
Specjalistycznego Zespołu Opieki Neuropsychiatrycznej w Kielcach,

inicjatorem i współzałożycielem Świętokrzyskiej Izby Lekarskiej,
prezesem Okręgowej Rady Lekarskiej ŚIL I i II kadencji,
zastępcą prezesa ORL ŚIL III i IV kadencji.

Był strażnikiem etyki medycznej i opiekunem lekarzy,
przewodniczącym Zespołu Etyki Lekarskiej, Pełnomocnikiem
ds. Zdrowia Lekarzy, wieloletnim członkiem Komisji Bioetycznej.

Działał w Naczelnej Izbie Lekarskiej w Komisji Etyki Lekarskiej NIL.

Odznaczony medalem Gloria Medicinae oraz odznaczeniem
Meritus Pro Medicis. Uhonorowany Złotą Odznaką
Świętokrzyskiej Izby Lekarskiej.

Uczestnik wypraw z ks. Karolem Wojtyłą, współzałożyciel i członek
kieleckiego Klubu Inteligencji Katolickiej,
miłośnik literatury i bibliofil, wierny prenumerator
i czytelnik „Tygodnika Powszechnego” do ostatnich chwil życia.

Do 2011 roku przez kilkadziesiąt lat był wykładowcą medycyny
pastoralnej w Wyższym Seminarium Duchownym w Kielcach.

Msza św. w rocznicę śmierci odbędzie się w Kielcach 02.10.2026
o godz. 18.30 w Kościele Akademickim Jana Pawła II przy ul. Wesołej 54

ŻONA, DZIECI I WNUKI

eprasa.pl ed1902df8f



TIZIANA FABI / AFP / EAST NEWS

Papież Leon XIV z rodziną migrantów przy pomniku „Brama Europy". Lampedusa, 4 lipca 2026 r.

Barbarzyńcy u bram

O. KASPER KAPROŃ OFM

Czy w imię obrony chrześcijańskiej Europy mamy przestać zachowywać się jak chrześcijanie? Jeśli tak, to już tę walkę przegraliśmy. Zanim ktokolwiek sforsował nasze granice.

Obrazy z Ceuty są trudne do oglądania. Najpierw morze: ludzie płynący wpław, pontony, łodzie, tłum przedzierający się przez granicę. Potem ulice i plaże miasta, które w ciągu kilku godzin musiało przyjąć liczbę imigrantów, na jaką było nieprzygotowane. Teraz – przemoc i gwałty, jakich doznają przybysze.

Migracja masowa nie jest kolorową opowieścią o spotkaniu kultur. Potrafi być brudna i brutalna. Może rodzić przestępczość, agresję i strach. W Ceucie byli zabici i ranni; służby, szpitale i infrastruktura zostały poddane ogromnej presji. W tym czasie my, katolicy, potrafiliśmy z pasją dyskutować, czy prawdziwie katolicka msza powinna być sprawowana po łacinie, czy w językach narodowych. Czy kapłan powinien stać twarzą do ludu, czy *ad orientem*. Nie twierdzę, że liturgia jest nieważna. Problem zaczyna się wtedy, kiedy nie zauważamy człowieka leżącego pod naszym kościelnym murem.

Dwie łatwe odpowiedzi

Jedna odpowiedź na Ceutę jest prosta: zamknąć granice, wysłać więcej policji i wojska, postawić więcej zasieków, deportować tych, którzy nie mają prawa pozostać. Pojawiła się też propozycja, by strzelać do łodzi.

Nie przyjmuję tej logiki. Przemoc rodzi przemoc, upokorzenie potrafi podsycać gniew przez pokolenia. Europa może postawić wyższe płoty, wysłać więcej okrętów, użyć dronów, kamer termowizyjnych i całego arsenału technologicznego współczesnego państwa. Ale jeżeli za Morzem Śródziemnym będą rosły miliony młodych ludzi bez perspektyw, którzy po drugiej stronie będą widzieć bogate, starzejące się społeczeństwo, kolejne kilometry płotów nic nie dadzą. Migracyjne ciśnienie od tego nie zniknie.

Czy zatem należy otworzyć granice i naiwnie wpuszczać wszystkich? To drugi absurd. Problemu migracyjnego nie rozwiąże się pizzą zaniesioną na granicę, zdjęciem z uchodźcą i wpisem w mediach społecznościowych.

Chodzi również o coś poważniejszego. Drażni mnie ten model sumienia: pójść na manifestację w obronie uchodźców, wpłacić pieniądze na szczytną akcję, segregować odpady... A potem wrócić do wynajętego mieszkania, którego ceny skutecznie uniemożliwiają młodemu małżeństwu posiadanie kolejnego dziecka. Wzruszać się losem uchodźcy, pieska, kotka i dzika, a jednocześnie uczestniczyć w tworzeniu kultury, która coraz słabiej potrafi odpowiedzieć na podstawowe pytanie: dlaczego właściwie nasz cywilizacja ma przetrwać? Nasz problem nie zaczyna się w Ceucie. Zaczyna się w Europie.

eprasa.pl ed1902df8f

Kto będzie wywoził nasze śmieci

Starzejemy się. Rodzi się coraz mniej dzieci. Przyzwyczailiśmy się do wygody, konsumpcji i usług dostępnych przez całą dobę. A potem odkrywamy, że ktoś musi tę cywilizację obsłużyć. Ktoś musi w tym czasie siedzieć „na kasie" w supermarkecie, posprzątać hotel, odebrać nasze śmieci, zaopiekować się osiemdziesięcioletnią matką, której jedyne dziecko mieszka kilkaset kilometrów dalej, poprowadzić Ubera o pierwszej w nocy, kiedy po zakrapianej imprezie chcemy wrócić do domu.

Bardzo często będzie to imigrant: Ukrainiec, Białorusin, Filipińczyk czy Afrykanin. Chcemy jednocześnie taniej pracy imigranta i świata bez imigrantów. W tym miejscu pytanie o Ceutę staje się niewygodne. Czy Europa nie weszła w fazę dekadencji?

Rzym też miał granice

Porównanie współczesnej Europy z upadającym Cesarstwem Rzymskim jest kuszące i często zbyt łatwe – historia nigdy nie powtarza się w dokładnie ten sam sposób. Jest jednak analogia, której nie warto lekceważyć. Rzym również przez wieki bronił swoich granic, a jednocześnie coraz szerzej korzystał z ludzi pochodzących z prowincji, a z czasem także spoza imperium. Klasyczne legiony długo rekrutowano spośród obywateli rzymskich. Obok nich istniały jednak ogromne wojska pomocnicze – *auxilia* – tworzone głównie z nieobywateli, którzy po wieloletniej służbie wojskowej mogli otrzymać obywatelstwo. Z biegiem czasu armia stawała się coraz bardziej prowincjonalna, w późnym imperium rosło również znaczenie rekrutów pochodzących z ludów określanych przez Rzymian mianem barbarzyńskich. Granica pomiędzy tym, kto bronił Rzymu, a tym, przed kim Rzym miał być broniony, stawała się coraz mniej oczywista.

To daje do myślenia. Nie dlatego, że jutro Marokańczycy zdobędą Madryt, lecz dlatego, że wielkie cywilizacje nie giną wyłącznie wtedy, kiedy ktoś forsuje ich granice. Czasem wcześniej tracą odpowiedź na pytanie, dlaczego tych granic właściwie warto bronić.

Chrześcijaństwo z hotelu „all inclusive"

Od kilkunastu lat pracuję na misjach i nie będę idealizował rzeczywistości, w których żyję. Improwizacja, chaos, spóźnienia i niedotrzymane obietnice – to wszystko potrafi człowieka zmęczyć. Tylko na zdjęciach praca misyjna wygląda romantycznie: uśmiechnięte dzieci, ludowy festyn, chory w szpitalnym łóżku.

A jednak co pozostaje? Praca organiczna, edukacja, duszpasterstwo, próba stworzenia czegoś, co przetrwa dłużej niż jeden projekt. Kolejne dziecko, które nauczy się grać na skrzypcach, młody człowiek, który skończy szkołę, rodzina, która spróbuje żyć trochę inaczej.

Coraz częściej mam jednak wrażenie, że należę do pokolenia ostatnich Mohikanów, którzy decydowali się wyjeżdżać na wiele lat. Dostrzegam, jak bardzo zmienił się Kościół. Coraz trudniej znaleźć duchownych gotowych zostawić swój dotychczasowy świat i wyjechać na piętnaście lat lub do końca życia tam, gdzie nie ma europejskiego komfortu, przewidywalności i dobrze działających instytucji. Bynajmniej nie dlatego, że księża stali się mniej mobilni. Niektórzy duchowni potrafią niemal każdego roku wyjeżdżać za granicę, za każdym razem coraz dalej i coraz bardziej egzotycznie. Jako turyści.

Wzywanie do „konieczności przyjmowania migranta" wypowiadane z wysokości hotelowego tarasu jest równie irytujące jak wygłaszana przez młodego konserwatystę i obrońcę chrześcijańskiej cywilizacji zachęta do budowy coraz wyższych murów. Bo problem dotyczy obu kościelnych plemion, które pozornie nie mają ze sobą nic wspólnego, ale przecież są do siebie zadziwiająco podobne.

W obu przypadkach można postawić to samo pytanie: ile jestem gotów osobiście zapłacić za wartości, o których tak chętnie mówię? I może właśnie tutaj zaczyna się najgłębszy kryzys naszej cywilizacji. Nie wtedy, kiedy inni są gotowi przejść pustynię, przepłynąć morze i pokonać tysiące kilometrów, aby się do niej dostać, lecz wtedy, kiedy my sami coraz częściej chcemy jej bronić bez ponoszenia kosztów jej trwania. Cywilizacji nie ocala się hasztagiem w mediach społecznościowych, ale nie ocala się jej też koronką przy komży. Ostatecznie przetrwa tylko taka kultura, dla której znajdą się ludzie gotowi nie tylko o niej mówić, lecz także coś dla niej poświęcić – wygodę, pieniądze, czas, a nawet kawał własnego życia.

Nie ma łatwej odpowiedzi

Czy sam potrafię zaproponować skuteczne rozwiązanie? Nie. Ale być może właśnie to trzeba uczciwie powiedzieć. Nie wierzę w lewicową utopię otwartych granic, według której wystarczy wszystkich przyjąć, zapewnić im podstawowe warunki życia, zorganizować kurs integracyjny, a po kilku latach będziemy żyli w szczęśliwym wielokulturowym społeczeństwie. Ale nie wierzę również w prawicową utopię twierdzy Europa, według której wystarczy mur, wojsko i deportacje, abyśmy odzyskali bezpieczny chrześcijański kontynent.

Bo co właściwie chcemy chronić, budując dziesięciometrowy mur wokół społeczeństwa, które samo przestało wierzyć we własną przyszłość? Trzeba mieć odwagę dopuścić także myśl najbardziej niepokojącą: Europa, jaką znamy, nie musi trwać wiecznie. XXI wiek może przynieść kolejną wielką wędrówkę ludów, która przeobrazi nasz kontynent równie głęboko, jak migracje V i VI wieku przeobraziły świat zachodniorzymski. Czy należy się tego bać? Zapewne tak, bo upadek starego porządku niemal zawsze oznacza cierpienie, chaos i przemoc. Ale czy jedyną odpowiedzią na ten lęk ma być budowanie coraz wyższych murów?

Historia schyłku Rzymu podpowiada chrześcijanom jeszcze inną odpowiedź.

Augustyn patrzy na płonący Rzym

W 410 r. wojska Alaryka zdobyły Rzym. Wieczne Miasto zostało złupione. Trudno sobie wyobrazić, jaki to był wstrząs dla ówczesnego świata. Poganie oskarżali chrześcijan, że to kara za porzucenie dawnych bogów. Właśnie wtedy Augustyn zaczął pisać „De civitate Dei" („O państwie Bożym"), a jego odpowiedź była znacznie bardziej radykalna niż wezwanie do odbudowywania murów. Biskup Kartaginy powiedział coś dużo ważniejszego: przestańcie utożsamiać Królestwo Boże z imperium.

Żadne państwo nie jest wieczne. Żadna kultura nie posiada gwarancji nieśmiertelności. Rzym może upaść, granice mogą się przesunąć, instytucje mogą zniknąć. Państwo ziemskie nie staje się państwem Bożym tylko dlatego, że na ↦

eprasa.pl ed1902df8f

↦ swoich sztandarach umieściło krzyż. Dwa państwa Augustyna nie są dwoma terytoriami oddzielonymi granicą. Rodzą się z dwóch miłości: miłości Boga posuniętej aż do zapomnienia o sobie oraz miłości siebie posuniętej aż do zapomnienia o Bogu. Nie da się narysować między nimi granicy na politycznej mapie. Przebiegają przez społeczeństwa, narody, kultury, partie, a w pewnym sensie także przez serce każdego człowieka.

Chrześcijaństwo nie otrzymało od Boga obietnicy, że ocali Cesarstwo Rzymskie. Otrzymało Ewangelię. I przetrwało Rzym. Nie budujmy więc współczesnej Europy w oparciu o dawne *christianitas*!

Papież i barbarzyńcy

Kilka dziesięcioleci później nastał pontyfikat Leona Wielkiego. Tradycja zapamiętała jego spotkanie z Attylą w 452 r., gdy papież wyszedł naprzeciw wodzowi Hunów. Po kolejnych trzech latach ten sam papież zabiegał o ograniczenie przemocy podczas łupienia Rzymu przez Wandalów. A chrześcijan zachęcał, by „poznali swoją godność". Nie mówił o wyższości, tylko o godności. To ogromna różnica.

Historia zatoczyła niezwykłe koło. Dziś na Stolicy Piotrowej siedzi papież będący uczniem św. Augustyna, który przyjął imię Leona. W lipcu 2026 r. pojechał na Lampedusę. Nie po to, aby powiedzieć mieszkańcom Europy, że granice nie są potrzebne. I nie po to, aby rozwiązać jednym kazaniem problem migracji. Stanął na cmentarzu, gdzie pochowano ludzi, którzy nie dopłynęli do europejskiego brzegu. A potem odprawił Eucharystię i przypomniał, że wobec ogromu ludzkiego cierpienia chrześcijanin nie może pozostać obojętny.

Jeszcze wcześniej zrobił coś intelektualnie bardzo interesującego. W orędziu na Światowy Dzień Migranta i Uchodźcy napisał o migrantach jako o „misjonarzach nadziei". To odwrócenie perspektywy. Migrant nie jest jedynie tym biednym człowiekiem, któremu bogaty Europejczyk powinien łaskawie pomóc. On też może coś nam przynieść: wiarę, nadzieję, dzieci, rodzinę, pragnienie przyszłości. Papież mówi, że katoliccy migranci mogą ożywiać wspólnoty kościelne dotknięte duchowym pustynnieniem. Mogą stać się *missio migrantium* – misją dokonywaną przez samych migrantów.

To wypowiedź w duchu Augustyna. Bo być może najważniejszym pytaniem nie jest, czy uratujemy naszą cywilizację przed obcymi. Ale co z naszej cywilizacji jest jeszcze warte uratowania?

Granica, której nie wolno zamknąć

Państwo ma prawo bronić granicy. Ustalać, kto może wjechać, odsyłać osoby, które nie mają prawa pobytu. Ma też obowiązek chronić swoich obywateli, przeciwdziałać przemytowi ludzi i przestępczości. Ma również prawo powiedzieć: nie jesteśmy w stanie przyjąć wszystkich. Chrześcijaństwo nie wymaga od państwa samobójstwa.

Ale jest granica, której chrześcijaninowi przekroczyć nie wolno. Człowiek może nielegalnie przekroczyć granicę Hiszpanii, może złamać prawo, może zostać zatrzymany i może zostać odesłany. Ale jego godność nie została po drugiej stronie granicznego płotu.

Dlatego nie potrafię zaakceptować pomysłu strzelania do łodzi po to, żeby następni „dostali nauczkę". Nie potrafię człowieka nazwać śmieciem tylko dlatego, że śpi wśród śmieci. Możemy deportować człowieka, ale nie możemy deportować przykazania: „Byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie".

Być może dlatego wydarzenia w Ceucie są dla europejskiego chrześcijaństwa ważniejsze niż kolejny spór o mszę trydencką. Bo właśnie tam rozstrzyga się prawdziwy spór o Tradycję. Nie o to, w jakim języku wypowiemy słowa Ewangelii, ale czy jeszcze w nie wierzymy.

Być może Europa upadnie. Być może za pięćdziesiąt czy sto lat będzie wyglądała zupełnie inaczej. Być może współczesna wędrówka ludów zmieni ją tak głęboko, jak migracje V wieku zmieniły świat rzymski. Chrześcijaństwo już raz coś podobnego przeżyło. Rzym upadł, ale Augustyn pozostał, Leon pozostał i Ewangelia pozostała.

Nie wiem, jak rozwiązać kryzys migracyjny. Ale wiem jedno: jeżeli w imię obrony cywilizacji chrześcijańskiej będziemy musieli przestać zachowywać się jak chrześcijanie, to znaczy, że tę cywilizację już przegraliśmy.

© O. KASPER KAPROŃ OFM

Nie tak pusto, jak mówiono

KAZIMIERZ BEM

PROTESTANTYZM | Kościoły ewangelickie na Ziemiach Zachodnich nie „opustoszały" same. Luteranów wyrzucali z nich katolicy.

W polskim micie Ziem Zachodnich nie ma miejsca na Niemców. Zwróciła na ten fakt uwagę prof. Beata Halicka, która badała wspomnienia Polaków osiedlonych tam po II wojnie światowej. Jej zdaniem chodziło o „uniknięcie pytań o własną sprawczość" w wykreowaniu tej pustki. Podobna narracja dotyczy przejmowania świątyń ewangelickich przez Kościół katolicki po 1945 r. Lubimy czytać, jak dowódca Armii Czerwonej godził się na katolickiego księdza i dzięki temu powstawała nowa sieć parafialna. Tyle że ta sielska narracja ma niewiele wspólnego z rzeczywistością, co wykazali już historycy (m.in. Olgierd Kiec, Ryszard Michalak czy Jan Wild).

FAKTY | To prawda – część przejmowanych kościołów ewangelickich, szczególnie we wsiach i małych miasteczkach, było opuszczonych. Ale do takich sytuacji dochodziło rzadziej, niż twierdzą katoliccy hierarchowie i publiczna pamięć historyczna. W Słupskiem ewangelickie nabożeństwa odprawiano – jeszcze kilka miesięcy po wkroczeniu Armii Czerwonej – w blisko 1/3 parafii. Ich liczba zaczęła gwałtownie maleć z chwilą przybycia polskich repatriantów. Towarzyszący im ksiądz często z pomocą wiernych zajmował lokalny kościół bez pytania kogokolwiek o zgodę, nie zważa-

eprasa.pl ed1902df8f



ARTUR KOWALCZYK / ADOBE STOCK

Kościół garnizonowy pw. św. Elżbiety we Wrocławiu, przejęty od protestantów w 1946 r.

jąc na miejscową ludność ewangelicką. Czasem było to stosunkowo łatwe, bo niemieccy pastorzy z wielu miejscowości zostali wcześniej zmobilizowani na front wschodni lub wyjechali. Ale zdarzały się przypadki wyrzucania duchownych i wiernych wciąż przebywających na miejscu (np. w Darłowie).

W 1946 r. w Bytowie mieszkało wciąż ok. 800 ewangelików. Jednak katolicy uznali, że skoro ich świątynia (pw. św. Katarzyny) była zniszczona, mogą zająć kościół protestancki (św. Elżbiety). Dopiero rok później przydzielono ewangelikom malutki kościółek św. Jerzego (też wcześniej zajęty przez katolików), w późniejszych latach zresztą systematycznie dewastowany przez „nieznanych sprawców".

ARGUMENTY | Nie da się takich działań obronić. Argumentacja, że chodziło o ludność niemiecką, nie wytrzymuje próby czasu. Na dawnym pograniczu polsko-niemieckim przejmowano kościoły ewangelickie nawet, gdy ludność autochtoniczna mówiła po polsku, a nabożeństw ewangelickich w tym języku zakazano dopiero w czasach nazistowskich (albo dopiero po wybuchu wojny). Tak było np. w Żorach czy Prośliczach. Mitycznym „Słowińcom" w Klukach i okolicy odebrano kościoły w Smołdzinie i w Główczycach (a potem utrudniano przyjazdy duchownych ewangelickich). Nic dziwnego, że po 1946 r. autochtoni zaczęli masowo wyjeżdżać do Niemiec. Ewangelickie kościoły nie były więc „puste" – stawały się takimi w wyniku celowych działań lokalnych księży katolickich i ich fanatycznych wiernych.

METODY | W tych działaniach nie chodziło zresztą o „polskość", tylko o skatolicyzowanie przestrzeni publicznej. O czym świadczy przykład Kościoła Zgody w Gorzowie, ufundowanego w XVIII wieku dla miejscowych luteranów i kalwinistów, którzy na początku XIX wieku udostępnili budynek imigrantom z Polski (w mieście nie było jeszcze katolickiego kościoła). W 1947 r. grupka Polaków ewangelików wystąpiła z prośbą o przekazanie im Kościoła Zgody na potrzeby duszpasterskie, tłumacząc, że katolicy zajęli już sześć innych kościołów ewangelickich w mieście. Władze miejskie początkowo się zgodziły, wydały nawet klucze do świątyni. Zgodę cofnięto po interwencji ks. Zbigniewa Szelążka – kościół przekazano kapucynom.

Dwa lata wcześniej w Gdańsku, w zrujnowanej zakrystii Kościoła Reformowanego Świętych Piotra i Pawła rozlokowali się, bez żadnego tytułu prawnego, księża zmartwychwstańcy, nic sobie nie robiąc z faktu, że kościół został przyznany reformowanym. W 1958 r. „źli komuniści" przekazali oficjalnie świątynię katolikom, pomimo protestów ewangelików. Świątynia należy do Kościoła katolickiego do dziś.

Ulubionym sposobem przejmowania kościołów ewangelickich była metoda „na duszpasterstwo wojskowe". Katolicki kler wskazywał świątynię, którą chciałby zająć, wiedząc dobrze, że władze nie odmówią „potrzebom Wojska Polskiego". Tak przejęto m.in. kościoły w Łodzi, Poznaniu, Lesznie, Gliwicach.

Rekord padł we Wrocławiu, gdzie dla „duszpasterstwa wojskowego" luteranie oddali katolikom Kościół Jedenastu Tysięcy Dziewic, ale już po kilku miesiącach kuria wymusiła oddanie na ten sam cel Kościoła św. Elżbiety – najstarszej protestanckiej świątyni w mieście, w której nabożeństwa odprawiali już polscy ewangelicy.

GROŹBY | Władze Kościoła katolickiego nie wahały się nawet grozić władzy ludowej rozruchami (choć w zawoalowany sposób), gdy groziła im utrata zagrabionego mienia protestanckiego. Ks. Bolesław Kominek (późniejszy biskup) odmówił zwrotu przejętego siłą kościoła ewangelickiego w Wołczynie, grożąc wprost niezadowoleniem ludności katolickiej. Lokalne władze ustąpiły i zajęty budynek pozostał w rękach katolickich (podobnie jak kilka innych w okolicy). Luteranie autochtoni, liczący ok. 1500 wiernych, otrzymali na pocieszenie mniejszy kościółek staroluteranów.

Co ciekawe, w kontekście zajmowania mienia ewangelickiego przez katolików trudno mówić o wrogości władz komunistycznych wobec Kościoła katolickiego. Wręcz przeciwnie – w wielu przypadkach lokalne władze szły na rękę katolickim księżom i biskupom. W Szczecinie pastor Werner Dross odprawił ostatnie niemieckie nabożeństwo luterańskie w Kościele Zbawiciela w styczniu 1946 r. Polscy ewangelicy, już wcześniej osiedleni w mieście, wystąpili o przydział tego kościoła, jednak lokalne władze przekazały go – metodą faktów dokonanych – katolikom.

Warto zresztą dodać, że w Szczecinie wszystkie świątynie ewangelickie zostały przejęte przez Kościół katolicki. Po interwencji władz NRD (komunistycznych!) miejscowi ewangelicy (Polacy i Niemcy – łącznie ok. 2000 osób) otrzymali zniszczony Kościół św. Gertrudy na Łasztowni, ale Kościół katolicki do 1954 r. czynił starania, by ich stamtąd usunąć, a budynek przejąć na swoje potrzeby. ↦

eprasa.pl ed1902df8f

↦ Najbardziej niechlubnym przykładem metod i mentalności niektórych katolickich hierarchów był biskup katowicki Stanisław Adamski. Choć w 1939 r. sam namawiał Ślązaków katolików do podpisania volkslisty, to ewangelików, którzy również ją podpisali, oskarżył w 1945 r. o „zdradę narodową". W liście do wojewody Jerzego Ziętka, gorliwego katolika i komunisty, zaproponował zburzenie kościoła luterańskiego w Katowicach. W międzyczasie sam go zajął dla swoich wiernych.

Po interwencji władz centralnych, w 1947 r., świątynię zwrócono ewangelikom, ale katolicko-komunistyczny tandem Adamski-Ziętek narzucił im twarde warunki: w zamian musieli przekazać diecezji rzymskokatolickiej w nieodpłatne użytkowanie trzy inne swoje kościoły – w Hołdunowie, Chorzowie i Siemianowicach. Ten ostatni powrócił do prawowitych właścicieli dopiero w 1999 r., po interwencji Jana Pawła II (wcześniej żadnym władzom – ani PRL, ani z Solidarności po 1989 r. – nie udało się nakłonić Kościoła katolickiego, by oddał budynek luteranom).

KLUCZE | Na koniec – przykład kościoła w Objezierzu na Pomorzu Zachodnim. Po 1946 r. był to jedyny kościół ewangelicki w okolicy, zamieszkanej przez kilkuset Niemców, którzy budynek wyremontowali i utrzymywali. W 1971 r. katolicki ksiądz Jan Wszołek wystąpił do luteranów (pomimo fali emigracji do Niemiec we wsi wciąż mieszkało osiem ewangelickich rodzin) o zgodę na odprawienie bożonarodzeniowej mszy w kościele. Umówiono się na jednorazową celebrację, ale z czasem ks. Wszołek zaczął coraz częściej prosić o klucze do kościoła pod różnymi pretekstami.

W listopadzie 1972 r. odprawiał już tam msze bez pytania o zgodę i odmówił zwrócenia kluczy ewangelikom. Jednocześnie z grupą wiernych „odwiedził" luterańskiego pastora w Słupsku, grożąc mu, że „tłum z drągami będzie domagał się oddania kościoła". Proboszcz z Rokit w geście solidarności również zagroził miejscowemu pastorowi, że nie wpuści go do kościoła w swojej wsi, choć budynek formalnie był własnością obu wyznań. Ani władze PRL, ani kuria nie zrobiły nic, by duchownych zdyscyplinować za kradzież kościoła.

Piszę o tym bez niechęci do Kościoła katolickiego – choć nie widzę możliwości obrony jego postępowania. Chcę, by w imię prawdy, w żywej ostatnio dyskusji o Ziemiach Zachodnich, zagościła także perspektywa ewangelików (Polaków, Niemców i Czechów), która nie tylko odmitologizuje opowieści o „jeszcze ciepłej zupie" i „pustych kościołach bez wiernych", ale też przybliży nas do historycznej prawdy o tamtych trudnych i bolesnych czasach. © KAZIMIERZ BEM

Autor jest pastorem ewangelicko-reformowanym, historykiem (dr. hab.), redaktorem naczelnym kwartalnika ewangelickiego „Jednota".

REKLAMA

OGRODY ALEKSANDRY

Domy z ogrodem

Kraków - Bieżanów

www.ogrodyaleksandry.pl

• Osiedle ogrodzone • Powierzchnia domu ~100 m² • Ogród i miejsce postojowe do każdego domu
• Ogrzewanie podłogowe zasilane pompą ciepła • Klimatyzacja, PV, EV - instalacja pod montaż
• Wentylacja z rekuperacją • 20 min. pociągiem do Dworca Kraków Główny





eprasa.pl ed1902df8f

O. WACŁAW

Oszajca:
Koszmarny sen księdza



Ludzie przestali zamawiać msze, śluby i pogrzeby prowadzą mistrzowie ceremonii, w szkole nas nie chcą, w szpitalach się nas boją, do więzień nas nie wpuszczają. Z tłumnych uroczystości trzymają się jeszcze pierwsze komunie, z bierzmowaniem jest gorzej, a najgorzej z biskupimi wizytacjami. W młodym pokoleniu księży z tego powodu narasta poczucie krzywdy, jeśli chodzi o uposażenie. Wciąż przecież istnieją tzw. dobre i złe parafie. Nie lepiej mają się też starzy księża.

Coraz częściej, gdy nie idzie zasnąć, przychodzi do głowy niejednemu z nas straszna myśl: nikomu już do szczęścia nie jestem potrzebny. Czuję się jak oszust. Obiecuję cuda, cudeńka i z tego żyję. Przyjmując ofiarę za mszę np. o zdrowie, zaznaczam co prawda, że wszystko zależy od woli Boga, ale tylko po to, żeby na Niego przerzucić odpowiedzialność za nieskuteczność moich działań. Na dodatek nawet cieszące się dużym powodzeniem tzw. msze o uzdrowienie, które miały ożywić Kościół, też zaczynają wytracać impet. Niejeden z nas zaczyna jak mantrę powtarzać: „Co ty tutaj robisz, o-o-o, co ty tutaj robisz...?". Tymczasem osiem lat temu papież Franciszek mówił do zakonników, kleryków, prezbiterów i biskupów: „Dobrze, jeśli mamy świadomość, że nie jesteśmy Mesjaszem", ale nas to nie dotyczyło. U nas wtedy „był maj" i panowało przekonanie, że kapłan to *alter Christus*.

Jeśli dzisiaj nie wiemy, kim jesteśmy, co z sobą zrobić i po co nam Bóg, który podobnie jak my stoi bezradnie na dnie tej „łez doliny", jaką jest świat, to mówiąc za Franciszkiem, to „dobrze". To dobrze, ale pod warunkiem, że przestaniemy wreszcie wyręczać się Bogiem. Próbowali tej sztuczki już apostołowie, gdy namawiali Jezusa, żeby głodnych słuchaczy wysłał na zakupy. Wtedy usłyszeli: „To wy dajcie im jeść". Oczywiście Jezus zaradził tej potrzebie po swojemu, ale nam mierzyć się z Nim nie przystoi. Źle nam się dzieje w dzisiejszym świecie i Kościele? Nic dziwnego. „Kościół pozostał dwieście lat z tyłu", zwłaszcza w kwestiach związanych z seksualnością i cielesnością. Dlatego musimy zadać sobie pytanie, czy Kościół jest nadal autorytetem i punktem odniesienia, czy tylko medialną karykaturą? „Czemu Kościół się nie otrząśnie? Czego się boimy?" – pytał kilkanaście lat temu kard. Carlo Maria Martini SJ. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Szkoła życia



„Czy może niewidomy prowadzić niewidomego? – pytał nas Jezus w liturgii minionego tygodnia. – Czy nie wpadną w dół obydwaj?". I mówił dalej: „Uczeń nie przewyższa nauczyciela. Lecz każdy, dopiero w pełni wykształcony, będzie jak jego nauczyciel" (zob. Łk 6, 39-42). Obraz szkoły. Tu odniesiony do całego Ludu Bożego. Ale także do każdej rodziny, no i, oczywiście, do każdej szkoły. Co jest największym problemem szkoły?

Jezus nic nie mówi o jej trudnościach „zewnętrznych", np. materialnych czy wynikających z zewnętrznego zarządzania. Wskazuje dwa najpoważniejsze problemy. Pierwszym jest „ślepy" nauczyciel. Jego uczniom grozi nie tylko głupota, ale wręcz zagrożenie życia... Kiedy mamy do czynienia z taką figurą? Jezus odpowiada na to pytanie w zapisie św. Mateusza w rozdziale 23. Czytamy tam – i najlepiej brać to po prostu do siebie: „Przewodnicy ślepi, którzy mówicie: Kto by przysiągł na przybytek, to nic nie znaczy; lecz kto by przysiągł na złoto przybytku, ten jest związany przysięgą. Głupi i ślepi! Cóż bowiem jest ważniejsze, złoto czy przybytek, który uświęca złoto?". I dalej: „Przewodnicy ślepi, którzy przecedzacie komara, a połykacie wielbłąda!" (Mt 23, 16-24). To o tych, którzy zatrzymują się jedynie na tym, co zewnętrzne, nie docierając do istoty rzeczy; to o tych, którzy stracili wyczucie, co naprawdę ważne i fundamentalne, a co jedynie kosmetyczne i co najwyżej opcjonalne.

Drugim problemem szkoły jest przemądrzały uczeń, który stawia się ponad nauczyciela. A tak naprawdę jest u początku drogi. I chętnie wolałby uczyć (pouczać) innych niż siebie. To rzeczywista bieda – wszędzie, w każdej szkole, ale w Kościele chyba największa! Uczeń, który przestaje się w ciągu życia uczyć, to jest prawdziwy dramat. To ktoś, komu szkoła nie dała tego, co najważniejsze – pasji poznawania. W istocie rzeczy chodzi tu jednak jeszcze o coś więcej. Sformułowanie „w pełni wykształcony" – św. Hieronim oddaje w Wulgacie łacińskim *perfectus omnis:* cały doskonały (występujący w oryginale termin grecki może też oznaczać: „pełny" albo „świeży" – nie zestarzały...). Zatem nie chodzi tu jedynie o poziom wykształcenia, ale o to, w jakiej mierze poznana wiedza zmienia całego człowieka – czyni go w pełni doskonałym. I to w odniesieniu do Nauczyciela, jakim jest Jezus! ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl ed1902df8f

Zachwyt to dopiero początek

BARBARA WOŹNIAK, dyrektorka Małopolskiego Centrum Nauki Cogiteon:

Zmiana zdania pod wpływem nowych dowodów nie jest słabością. Jest intelektualną uczciwością. To jedna z najważniejszych lekcji ze spotkania z nauką.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Cogiteon po raz pierwszy koordynuje Małopolską Noc Naukowców, która odbędzie się 25 września. Co ta zmiana oznacza dla jubileuszowej, dwudziestej edycji?

BARBARA WOŹNIAK: Dwadzieścia edycji stworzyło ogromny kapitał doświadczenia, na który składa się praca wielu uczelni, instytutów badawczych, muzeów, instytucji kultury, firm technologicznych i przede wszystkim ludzi nauki. Nie chcemy tej historii zaczynać od nowa. Rolę Małopolskiego Centrum Nauki Cogiteon widzimy raczej jako próbę połączenia tego potencjału z pytaniem: czym Noc Naukowców powinna być dzisiaj?

Interesuje nas nie tylko to, jak skutecznie komunikować naukę, ale jak opowiadać o niej językami współczesności, nie sprowadzając jej przy tym do atrakcyjnego technologicznego opakowania. Dlatego ważną ramą jest dla nas Art & Science – podejście mocno wpisane w sposób myślenia Cogiteonu. Nie chodzi tu o ozdabianie nauki sztuką czy ilustrowanie gotowej wiedzy efektownym obrazem. Ciekawsza jest dla nas sytuacja, w której spotkanie naukowca, artysty, technologa i publiczności pozwala inaczej postawić pytanie i zobaczyć problem z perspektywy niedostępnej dla jednej dyscypliny. W tym sensie jubileusz traktujemy nie tyle jako podsumowanie dwudziestu lat, ile jako początek kolejnego etapu.

Co będzie znakiem rozpoznawczym tegorocznego programu? Gdyby miała Pani wskazać trzy wydarzenia lub doświadczenia, których szczególnie nie powinno się przegapić, co by Pani wybrała?

Zacznę od końca, czyli od finałowych „Kołysanek Kopernika" – koncertu prowadzącego przez kilka stuleci muzyki inspirowanej nocnym niebem i łączącego muzykę z opowieścią o astronomii. Towarzyszyć mu będzie mapping na fasadzie Cogiteonu. To będzie moment, w którym nauka, muzyka, obraz i architektura spotkają się w jednej przestrzeni.

Drugim, poniekąd równie kosmicznym doświadczeniem są „Niemożliwe planety" – immersyjna podróż do wnętrza prac krakowskiego artysty Dobiesława Gały, którego twórczość jest prezentowana w Polsce i za granicą w znaczących galeriach i muzeach. Jego reliefy powstają poprzez łączenie struktur, pigmentów i żywic. Kiedy oglądamy ich powierzchnię w ogromnym powiększeniu, detal zaczyna przypominać pejzaż nieznanej planety, strukturę geologiczną albo mikroskopowy krajobraz materii. I właśnie ta zmiana skali jest dla nas interesująca: sztuka staje się początkiem pytań o strukturę, światło, materiał i sposób, w jaki patrzymy na rzeczywistość. Nad warstwą wizualną immersji pracuje Jakub Hader, a istotnym elementem całego doświadczenia jest muzyka Mirosława Muzykanta i choreografia Wioletty Muzykant. Samą projekcję będzie można skonfrontować z rzeczywistymi pracami Dobiesława Gały prezentowanymi na wystawie „Perfecta imperfectio".

Trzecim istotnym elementem wieczoru jest zapowiedź spektaklu „Układ scalony", przygotowywanego wspólnie z Teatrem im. Juliusza Słowackiego. To opowieść, w której tradycyjna trupa lalkowa spotyka w nim Zieloną Nać – istotę biologiczno-krzemową, która próbuje odpowiedzieć sobie na pytanie, czy rzeczywiście żyje, czy jedynie przetwarza dane i algorytmy. To prowadzi do pytań o świadomość, sztuczną inteligencję i granicę między człowiekiem a maszyną, ale stawianych językiem teatru, a nie wykładu. Te trzy projekty są bardzo różne, a jednak łączy je wspólna zasada: każdy zaczyna od doświadczenia i emocji, ale nie chce na nich poprzestać. Ma prowadzić dalej – do stawiania pytań.

BARBARA WOŹNIAK jest dyrektorką Małopolskiego Centrum Nauki Cogiteon. Historyczka i muzealniczka, autorka publikacji oraz programów edukacyjnych poświęconych kulturze i historii.

Efektowne eksperymenty i pokazy przyciągają uwagę, ale mogą sprowadzać naukę do widowiska. Jak pokazać jej drugą stronę: niepewność, błędy i konieczność weryfikowania wyników?

Nie chcemy rezygnować z widowiska. Nauka może zachwycać i nie ma powodu, żeby się tego wstydzić. Problem zaczyna się dopiero wtedy, kiedy zachwyt uznajemy za cel sam w sobie. Można zatrzymać uwagę niezwykłym obrazem, eksperymentem czy technologią. Potem jednak trzeba wykonać następny krok i zapytać: co właściwie zobaczyliśmy? Dlaczego to się wydarzyło? Co właściwie potwierdza nasze wyjaśnienie? Czy istnieje inne? Czy ten sam rezultat otrzymamy ponownie? Warto też pokazywać, że błąd w nauce nie jest kompromitacją metody, lecz jej częścią. Eksperyment może wymagać powtórzenia, hipoteza – odrzucenia, a wynik – skonfrontowania z innymi obserwacjami. Nauka rozwija się właśnie dlatego, że dopuszcza możliwość korekty. To być może jedna z najważniejszych lekcji, jakie możemy wynieść ze spotkania z nauką: zmiana zdania pod wpływem nowych dowodów nie jest słabością. Jest intelektualną uczciwością. ©

MAŁOPOLSKIE CENTRUM NAUKI COGITEON

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO



MATERIAŁY PARTNERA

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl ed1902df8f

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik” na rok + 4 wydania specjalne



„Tygodnik Powszechny” to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie.

Treści „Tygodnika Powszechnego” są wyjątkowe na polskim rynku prasy.

- Diagnozy społeczne z ludzką wrażliwością
- Kultura jako klucz do rozumienia świata
- Otwarte podejście do wiary i duchowości
- Bieżące wydarzenia w szerokim kontekście

OFERTA CENOWA

Tygodnik na rok + 4 wydania specjalne	InPost	cena 786 zł
	Poczta	cena 787 zł
4 wydania specjalne	InPost	cena 100 zł
	Poczta	cena 100 zł

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl ed1902df8f



ARCHIWUM PAŃSTWOWE W TORUNIU

HISTORIA

CZŁOWIEK MIĘDZY ARCHIWAMI

W międzywojennej Polsce czuwał nad pamięcią Torunia jako jego wiceprezydent. Po 1939 r. zniknął w wojennej zawierusze. Choć Franciszek Bała jest obecny w wielu dokumentach, pozostaje nieodnaleziony. Połączmy jego rozproszone ślady.

RUSŁANA MARTSENIUK

Z jednej strony wiem o nim zaskakująco dużo. Urodził się w 1898 r. na wielkopolskiej wsi, jako 9-latek brał udział w szkolnym strajku. Potem ochotnik w powstaniu wielkopolskim oraz w wojnie 1920 r. (ranny pod Korosteniem, odznaczony Krzyżem Walecznych). W Poznaniu ukończył studia ekonomiczne, aby w latach 30., aż do wojny, pełnić urząd wiceprezydenta Torunia. Z żoną Marią i dwoma synami mieszkał tam przy ulicy Czerwona Droga. Z akt wojskowych wiem nawet, że został zwolniony ze służby 19 lipca 1939 r.

Mam więc przed sobą liczne papiery, w których jego życie opisano drobiazgowo, rubryka po rubryce. Nie wiem natomiast, co dzieje się później – i to właśnie okazuje się najważniejsze. Nie wiem, kiedy i gdzie umarł, gdzie jest jego grób.

eprasa.pl ed1902df8f

Zarząd i radcy miasta Torunia. Franciszek Bała w pierwszym rzędzie, drugi z prawej, 1933 r.

Im dłużej pracuję nad tymi dokumentami, tym mocniej uderza ta dysproporcja: można pozostawić po sobie tyle papieru, a mimo to zniknąć bez śladu w chwili, gdy te papierowe ślady się urywają.

TORUŃ | Wiemy, że dobrze zapisał się w historii tego miasta. Jako wiceprezydent (dość młody jak na tę funkcję, trzydziestoparoletni przecież) odpowiadał za kulturę i oświatę. Zabiegał o poprawę warunków w szkołach, zasiadał też w komisjach teatralnych. Nadzorował miejskie przedsiębiorstwa i finanse.

W 1932 r., gdy Toruń przygotowywał się do obchodów 700-lecia istnienia, przewodniczył podkomisji, która miała wydać drukiem najstarszy zachowany dokument dotyczący Torunia. Czuwał więc nad tym, by miasto ocaliło własną historię.

Gdyby trwałość pamięci mierzyć liczbą zachowanych dokumentów, również on, Franciszek Bała, powinien był w niej pozostać na zawsze. Jest w tym ironia, którą dostrzega się dopiero z perspektywy późniejszych wydarzeń: człowiek, który troszczył się o pamięć miasta – a we wrześniu 1939 r. o ratowanie jego archiwów – sam zniknął tak, że nie został po nim żaden dokument mówiący, jak zakończyło się jego życie.

NA WSCHÓD | Gdy wybucha wojna, rodzina się rozdziela. On zostaje w Warszawie, a Maria z synami rusza na wschód – jedną z ciężarówek, którymi urzędnicy toruńskiego magistratu wywożą akta, zgodnie z planem ewakuacji. Zachowała się relacja świadka, który zapamiętał ich jeszcze razem: „Zabrali się więc Franciszek Bała, wiceprezydent miasta, z żoną Marią i synami Stanisławem lat około 11 i młodszym Zenkiem".

To jedno zdanie jest miejscem, gdzie Bała pojawia się jeszcze nie jako rubryka w aktach, lecz żywy człowiek: mąż i ojciec, widziany na chwilę przed tym, nim jego ślad zaczyna się zacierać. Świadek pomylił się tylko co do wieku jego synów: starszy miał wtedy 8 lat (takie bywają wspomnienia, pamięć zapisuje twarze wierniej niż liczby).

Potem, już na wschodzie, sowieckie czołgi ostrzelały toruńskie ciężarówki. Zginął szofer i jedna z matek, a 6-letni Zenon został ranny w głowę. Wiadomość o tym dotarła jakoś do ojca, do Warszawy.

Wtedy Bała robi coś, co wydaje się sprzeczne z instynktem: rusza na wschód. Nocą z 26 na 27 listopada 1939 r. przekracza linię rozgraniczającą okupacje niemiecką i sowiecką – przez San, w pobliżu wsi Hureczko pod Przemyślem. Potem zezna, że było to 26 listopada. Sowieckie dokumenty (nakaz, postanowienie i akt oskarżenia) podają 27 listopada. On pamiętał chwilę, gdy przeszedł. Aparat tę, gdy go dostrzegł.

ŚLEDZTWO | Po co ryzykował przejście na stronę sowiecką? Niech powie własnymi słowami, zapisanymi w protokole: „Przechodziłem granicę (...) po to, żeby odnaleźć żonę i syna, którzy uciekli przy odwrocie wojska polskiego na terytorium zajęte przez Armię Czerwoną, do Tarnopola".

Nie był konspiratorem – był mężem i ojcem, idącym do rannego dziecka. Tarnopol nie był tu miejscem przypadkowym: Maria pochodziła z okolic miasteczka Skałat, wówczas w województwie tarnopolskim. Kierował się więc także ku jej rodzinnym stronom.

Śledczy próbowali wmusić w niego inną historię: utrzymywali, że został zwerbowany przez gestapo i przerzucony na stronę sowiecką w celach wywiadowczych. Konsekwentnie zaprzeczał. Przyznał się wyłącznie do nielegalnego przekroczenia granicy. Mówił: „nigdy nie byłem zwerbowany przez gestapo i o pracy szpiegowskiej nic nie wiem".

W aktach śledztwa jest pewien szczegół. Świadek ewakuacji, który widział rodzinę na ciężarówce, pamiętał go jako „Franciszka Bałę, wiceprezydenta miasta". Teraz w śledztwie ten sam człowiek kurczy się do „kancelisty biura statystycznego". Ten kancelista, szeregowy urzędnik, to tarcza: przyznać przed NKWD w 1939 r., że było się włodarzem miasta, przy pochodzeniu skrzętnie odnotowanym („kułak, 60 morgów, sześć krów, dwa konie"), znaczyło poważnie się obciążyć.

NA DROGACH IMPERIUM | Nie pomogło. Wyrokiem Kolegium Specjalnego NKWD ZSRS z 10 lipca 1940 r., na podstawie art. 16-80 Kodeksu karnego Ukraińskiej SRS, Franciszek Bała został skazany za nielegalne przekroczenie granicy na 5 lat zesłania. Trafił na północ: do Siewżeldorłagu, łagru w Republice Komi.

Odsiedział ponad półtora roku. Po ataku Hitlera na Stalina w czerwcu 1941 r., po ogłoszeniu „amnestii" dla polskich obywateli, został zwolniony i skierowany, jak głosi zaświadczenie, „do obranego przez niego miejsca zamieszkania". „Obranego" było urzędowym eufemizmem: wyznaczono mu Dagestan, rejon (powiat) agulski na Kaukazie, z wyłączeniem tamtejszych stref zakazanych. Z północy na dalekie południe imperium.

Na Dagestanie urywają się akta. To, co było potem (albo raczej: co być mogło), wiadomo już z powojennego listu żony: Maria napisze, że mąż miał dostać się stamtąd dalej na południe, ku Turcji. Tam jego ślad ginie już zupełnie.

Rodzina przemieszczała się w tym czasie w kierunku przeciwnym. Na koniec Maria z synami wróci z Tarnopola do Torunia. Nie spotkają się już nigdy.

WERSJA ZENONA | Jednak list Marii to nie jedyna wersja jego końca. Tam, gdzie milkną akta, zaczyna się pamięć bliskich, a tutaj jedna z wersji prowadzi w zupełnie inną stronę niż Turcja.

Syn Zenon (ten, który w 1939 r. był ranny pod Tarnopolem) przez całe życie będzie powtarzać, że ojciec nie zaginął na południu, lecz przeszedł przez Sybir i opuścił Związek Sowiecki wraz z armią Andersa, aby dotrzeć aż do Nowej Zelandii, gdzie miałby umrzeć wskutek chorób nabytych w łagrach.

Dwie drogi, których nie da się pogodzić: jedna wiedzie ku Turcji, druga na antypody. Żona w 1945 r. była przekonana o tej pierwszej; syn przez resztę życia opowiadał tę drugą. Ojciec rozdwoił się nawet w pamięci najbliższych.

Zenon odnajdywał ojca w książce Józefa Czapskiego „Na nieludzkiej ziemi", w jednym z portretów wyniszczonych ludzi, których pisarz spotkał w łagrach: „Barczysty człowiek chudł i nędzniał. Zabijała go troska o dziecko i w jego oczach było widać, że pamięta o nim zawsze". Czy to był Franciszek Bała, nie wiadomo – Czapski rzadko podawał nazwiska. Ale syn wierzył, że to on. Może dlatego, że ten opis – człowieka, którego zżera troska o dziecko – pasował do wszystkiego, co o ojcu wiedział.

MARIA PISZE LIST | To, co po nim zostało, leży dziś rozproszone w kilku miejscach: w archiwum wojskowym w Warszawie, ↦

eprasa.pl ed1902df8f



WAP SBU

Franciszek Bała – fotografia więzienna wykonana po aresztowaniu. Podpis w języku rosyjskim: „Bała Franciszek Martyn, 1898 r.”.

↦ w aktach sprawy śledczej w Kijowie, w papierach toruńskiego magistratu. Właśnie w napięciu pomiędzy nimi mieści się cała ta historia.

Choć wiele z tych dokumentów trudno czytać obojętnie, jeden wywołuje szczególne emocje badacza. To list żony. W lipcu 1945 r. Maria pisze do Zarządu Miejskiego w Toruniu. Prosi o zasiłek dla siebie i dzieci, bo zostali bez środków do życia.

W liście pada zdanie, w którym jest wszystko: „Mąż po dwuletniej syberyjskiej niewoli wyjechał na południe do Turcji i do dziś pozostaje za granicami kraju. Obecne miejsce pobytu męża nie jest mi znane”. Podpisuje się: Maria Bała, żona byłego wiceprezydenta miasta.

To najbardziej osobisty ze wszystkich dokumentów. To także ostatni urzędowy ślad.

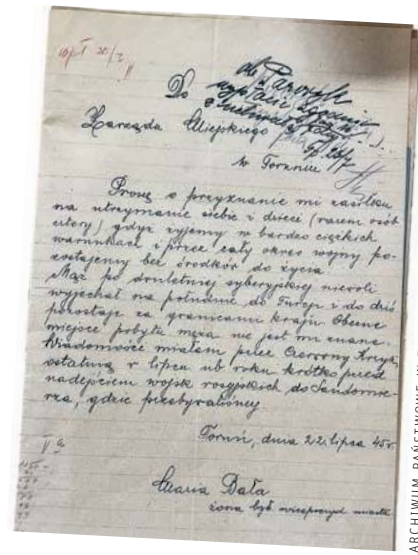
DOM Z OGRODEM | Takich próśb będzie potem więcej. Maria wraca do urzędu rok po roku, bo miasto płaci rodzinom zaginionych połowę pensji nieobecnego i za każdym razem żąda nowego oświadczenia, że mąż wciąż nie wrócił.

W liście z 10 kwietnia 1946 r. Maria pisze więc, że mąż nie daje znaku życia od wiosny 1943 r. i wyraża przypuszczenie, iż zaginął podczas działań wojennych. Po czym natychmiast wycofuje się z niego: „jednak wierzymy, że żyje i powróci do swej rodziny”. Urzędnik podkreślił te słowa czerwonym ołówkiem. Nie wiadomo, czy ze współczucia, czy dlatego, że do wypłaty potrzebne było domniemanie śmierci, a nie wiara w powrót (aby otrzymać tę połowę pensji, rodzina musiała najpierw zgodzić się, że jest on uznany za zaginionego).

Po wojnie Maria z synami żyje więc w Toruniu. Jest ich ślad w aktach: miejski dokument z 4 września 1945 r. notuje, że Maria Bała, zamieszkała pwrzy Grudziądzkiej 35, otrzymuje zasiłek. Wrócili zatem do domu, który Franciszek kupił tuż przed wojną, a którym nie zdążył się nacieszyć – drewnianego, z końca XIX w., z wielkim ogrodem.

Ojciec nie spędził w nim ani jednego spokojnego dnia. Syn przeciwnie: żyjąc w tym domu, Zenon patrzył, jak z biegiem lat osacza go nowoczesność – bank, hotel, wieżowiec. Do końca pokazywał na ścianie ślad po pocisku z 1939 r. i powtarzał, że nie umie rozstać się z domem ojca. Dziś dom stoi tak zarośnięty, że ledwie widać go z ulicy. Nie znać, by ktoś tam jeszcze bywał. Jakby i on osuwał się w niepamięć. Jak wszystko, co zostało po tej rodzinie.

WSZĘDZIE I NIGDZIE | Siedząc nad archiwami w Warszawie, Kijowie i Toruniu, mam poczucie, że trzymam w rękach ślady życia jednego człowieka, rozproszonego między dokumentami. Tak wygląda zniknięcie człowieka w XX w.: nie zawsze oznacza brak dokumentów, czasem przeciwnie – ich nadmiar, rozrzucony po archiwach kilku państw i języków, z którego żadne nie opowiada całej historii.



ARCHIWUM PAŃSTWOWE W TORUNIU

List Marii Bały do Zarządu Miejskiego w Toruniu z 22 lipca 1945 r. Podpisany: „Maria Bała, żona byłego wiceprezyd. miasta”.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA” DODATEK

50 LAT KOR. Polski pomysł na wspólne działanie

We wrześniu 1976 r. powstał Komitet Obrony Robotników jako reakcja na represje władz PRL wobec protestujących robotników. Był to jeden z najbardziej innowacyjnych polskich pomysłów w XX w. Opowiemy o tym w dodatku, przygotowanym wspólnie z Domem Spotkań z Historią, koordynatorem programu obchodów 50. rocznicy powstania KOR-u, przygotowanych przez m.st. Warszawę.

W dodatku: rozmowa z prof. Antonim Dudkiem, autorem cyklu multimedialnego „Dudek o KOR” ■ opowieść o narodzinach KOR-u ■ o wystawie DSH pt. „Komitet Obrony Robotników. Siła w jedności”, którą jesienią będzie można oglądać w Warszawie ■ co nam zostało z KOR-u – o dzisiejszym znaczeniu solidarności i odpowiedzialności.

PARTNER: DOM SPOTKAŃ Z HISTORIĄ

eprasa.pl ed1902df8f

Franciszek Bała jest wszędzie i nigdzie: żołnierz w jednym zbiorze, wiceprezydent w innym, więzień w kolejnym, zaginiony mąż w jeszcze innym. Nie ma go tylko tam, gdzie człowiek powinien być na końcu: w miejscu, gdzie spoczął.

Myślę o tym, ilekroć słyszę, że dziś już nic nie ginie, bo wszystko jest zapisane „w chmurze". A jednak ginie. Można być obecnym w licznych dokumentach i pozostać nieodnalezionym, jeśli nie zdoła się połączyć rozproszonych śladów. Pamięć nie polega na liczbie zachowanych danych. Polega na tym, że ktoś potrafi powiedzieć: to był człowiek, miał imię i nazwisko, oto jego historia.

RODZINA | Tym bardziej że zniknął nie tylko on. Z czteroosobowej rodziny, która rozdzieliła się we wrześniu 1939 r., do końca daje się doprowadzić ślad tylko jednej osoby: Zenona. Starszy syn, Stanisław, po wojnie także znika z dokumentów; szukałam go i nie znalazłam. Po Marii, żonie, ostatnie pewne ślady to jej listy z 1945 i 1946 r. – potem również jej trop się urywa.

Ojciec, matka i starszy syn – każde gubi się w swoim milczeniu. Tylko Zenon, ten sześciolatek ranny pod Tarnopolem, przeżył wszystko: dożył 75 lat, a na jego nagrobku widnieją dwie daty, których zabrakło ojcu – urodzenia: 10 stycznia 1933 r., i śmierci: 16 listopada 2008 r. Syn ma w Toruniu grób z imieniem i datą. Ojciec – nie.

A jednak Franciszek Bała nie znika do końca, nie rozpada się na rubryki – dopóty, dopóki potrafimy z rozproszonych dokumentów wydobyć i jego, i jego historię. Oraz ją opowiedzieć. © DR RUSŁANA MARTSENIUK

Autorka jest doktorem nauk historycznych, specjalizuje się w prozopografii i represjach sowieckich wobec obywateli polskich w latach 1939-1946. Stypendystka Centrum Dialogu im. Juliusza Mieroszewskiego. Mieszka w Toruniu.

Tekst oparty na materiałach Wyodrębnionego Archiwum Państwowego Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, Archiwum Państwowego w Toruniu i Wojskowego Biura Historycznego – Centralnego Archiwum Wojskowego w Warszawie.

Andaluzja kiedyś i dziś

PATRYCJA BUKALSKA

KSIĄŻKA | To kraina na granicy: Europy i Afryki, religii i kultur. Portret Andaluzji to mozaika fascynująca, pełna kontrastów i niewolna także od ciemniejszych barw.

Słońce świeci w Andaluzji przez ponad 300 dni w roku. To najgorętszy region Półwyspu Iberyjskiego. *Feria* i *fiesta*, wino (zwłaszcza to z Malagi), Picasso, Antonio Banderas, pełne kwiatów patia Kordoby, oliwki (w prowincji Jaén uprawia się ich 260 odmian) i oczywiście flamenco. Rajski zakątek Hiszpanii, idealny cel wakacyjnych podróży.

CIEŃ AL-ANDALUS | W książce Agnieszki Zielińskiej, dziennikarki współpracującej z „Tygodnikiem" i od lat mieszkającej w Hiszpanii, znajdujemy to wszystko, opisane żywo i barwnie, ale też uczciwie, bez retuszu z turystycznych folderów. W swej podróży po Andaluzji reporterka sięga głębiej, zanurza się w cieniu i nie boi konfrontacji z niewygodnymi faktami, pokazując różne punkty widzenia.

„Gdzie słońce spędza zimę. Historie z Andaluzji" to zbiór siedemnastu tekstów odsłaniających również te mniej znane oblicza regionu, opowiedzianych tyleż przez autorkę, co także przez ludzi, których spotyka na drodze.

W tej na wskroś współczesnej historii nie brakuje historycznego tła. Kto przykładowo wie, że najstarszy klub piłkarski w Hiszpanii założyli Brytyjczycy? Rzecz jasna, mamy tu także arabskie dziedzictwo dawnej Al-Andalus (Arabowie panowali tutaj przez ponad 700 lat), wiekowych tradycji i zwyczajów.

VOX I PAPRYKA | Ten portret Andaluzji pokazuje również, jak ta ziemia się zmienia i na jakie pytania musi sobie odpowiedzieć. Nie zawsze są one łatwe.

Truskawki? Ich uprawa w rejonie Doñany opiera się na rabunkowej gospodarce wodnej. Turystyczny sukces Malagi? To rosnące ceny mieszkań, wyludniająca się zabytkowa część miasta, mnożące się przechowalnie bagażu i apartamenty pod wynajem krótkoterminowy. Ekonomiczny sukces El Ejido? W tamtejszych szklarniach pracują głównie imigranci żyjący w fatalnych warunkach, a w sile rośnie skrajnie prawicowa partia VOX (na marginesie: to stąd pochodzą papryki, pomidory i cukinie, które kupujemy w naszych sklepach przez cały rok).

Te różnorodne andaluzyjskie historie mają zarazem szerszy wydźwięk: odbijają się w nich procesy współczesnego świata – zmierzch dawnego sposobu życia, bezwzględna eksploatacja zasobów, napięcia związane z imigracją, nierówności społeczne, susza.

PRZEZ GRANICE | Najbardziej przejmujący dla mnie rozdział mówi o problemie z identyfikacją ciał imigrantów, którzy utonęli podczas przeprawy z Afryki. Temat ludzi, którzy płyną do Europy, szukając szansy na lepsze życie, często pojawia się w mediach. Pisze się o przemytnikach, podaje statystyki. Mało kto podąża za tym wątkiem do samego końca: do pytania, co z tymi, którzy utonęli, co z ich bliskimi. Zielińska i Martín Zamora, bohater jej opowieści, to robią. „My musimy mówić za nich i walczyć w ich imieniu o ich godność" – mówi Zamora (za to, co robi, płaci wysoką cenę).

Książkę kończy nuta bardziej optymistyczna: historie miłosne, które przekraczają granice religii i kultur. „Są jak z dwóch różnych światów. Ale tylko z pozoru. W codziennym życiu są bardzo podobni" – pisze Zielińska o Celii i Abdelmajidzie, swoich bohaterach. To właśnie te różne światy, odmienne i podobne, tworzą Andaluzję. ©



Agnieszka Zielińska
GDZIE SŁOŃCE SPĘDZA ZIMĘ. HISTORIE Z ANDALUZJI
Wydawnictwo Czarne 2026.

eprasa.pl ed1902df8f

NAUKA

MOJA BARDZO WIELKA NIEWINNOŚĆ



Stosowane przez śledczych agresywne techniki przesłuchań sprawiają, że podejrzani czasem przyznają się do zbrodni, których nie popełnili. I zaczynają wierzyć, że spotka ich słuszna kara.

KAJA GŁOMB

Kilka miesięcy temu Paul Heaton, uznany kryminolog z Uniwersytetu Pensylwanii, ogłosił, że zmusił Chat GPT do przyznania się do przestępstwa, którego model nie popełnił. W kilku zagranicznych mediach ten eksperyment potraktowano niemal jako ostateczny dowód na szkodliwość popularnej techniki policyjnych przesłuchań. I choć cała próba wzbudza uzasadniony sceptycyzm specjalistów od sztucznej inteligencji, psychologów cieszy to, że Heaton otworzył na nowo dyskusję o problemie fałszywych przyznań do winy – zjawisku, które położyło się cieniem na niejednym policyjnym śledztwie.

Wyrok

Choć ludzie przyznają się do czynów, których nie popełnili, prawdopodobnie od zarania dziejów, w literaturze naukowej zjawisko to po raz pierwszy odnotowano dopiero na początku XX w. W zbiorze esejów „On the Witness Stand: Essays on Psychology and Crime" Hugo Münsterberg opisał sprawę mieszkańca Chicago, który przyznał się do zabójstwa, chociaż nie był jego sprawcą, w efekcie czego został skazany na karę śmierci i powieszony.

Münsterberg jako jeden z pierwszych podjął próbę wyjaśnienia psychologicznego podłoża tego zadziwiającego zjawiska. Przyczyn szukał zarówno w zaburzeniach natury psychiatrycznej – w tym w tendencjach histerycznych i neurotycznych, dysocjacjach czy psychozach – jak i w całkowicie racjonalnych przesłankach. Zauważył, że człowiek może brać na siebie winę, zmuszony groźbami lub skuszony obietnicami. Niektórzy podejrzani mogą uznać, że wobec dowodów zgromadzonych przez policję najlepszym wyjściem jest przyznanie się, by zyskać przychylność śledczych i sądu. Fałszywe zeznania mogą być również wyrazem samopoświęcenia w celu ochrony innej osoby, a w skrajnych przypadkach – wynikiem obezwładniającej rozpaczy.

Mimo tych wczesnych dociekań nad naturą fałszywych przyznań, badacze na poważnie tematem zajęli się dopiero w latach 80. Był to okres intensywnego rozwoju psychologii zajmującej się tematyką zeznań – świadków, ofiar czy też sprawców. Katalizatorem, jak to najczęściej bywa w naukach społecznych, były faktyczne sprawy kryminalne.

Przesłuchanie

Jedną z nich była sprawa osiemnastoletniego Petera Reilly'ego, który po tym, jak w 1973 r. znalazł ciało swojej matki, stał się głównym podejrzanym w sprawie o jej zabójstwo. Policja od razu uznała go za sprawcę. Nie tylko dlatego, że był na miejscu zdarzenia, ale także z powodu nienaturalnego – ich zdaniem – zachowania chłopaka. Peter miał jakoby nie okazywać silnych emocji. A tego oczekiwano od syna tragicznie zmarłej kobiety.

Po zatrzymaniu i przewiezieniu na komisariat Peter został poddany przesłuchaniu, które ciągnęło się godzinami. Choć nie został skrzywdzony fizycznie, zapis przesłuchania jasno pokazuje, że policjanci, wykorzystujący jego ufność wobec służb i młodzieńczą naiwność, dopuścili się znaczących manipulacji. Mogli sobie na to pozwolić – w przesłuchaniu nie uczestniczył bowiem przedstawiciel

eprasa.pl ed1902df8f



KATARZYNA BIALASIEWICZ / PHOTOGRAPHEE.EU / ADOBE STOCK

prawny podejrzanego. Z powodu wywieranej presji, kłamstw oraz zmęczenia, jak sam twierdzi, Peter sam uwierzył, że ma coś wspólnego z zabójstwem matki. Po dwudziestu czterech godzinach przyznał się do winy.

Na szczęście, historia ta ma dobre zakończenie – w każdym razie lepsze niż większość podobnych przypadków. Dwa lata po zatrzymaniu, dzięki nowym dowodom w sprawie, Reilly został uniewinniony.

O tak szybkim zakończeniu sprawy nie było mowy w przypadku jednej z najbardziej bulwersujących i znanych polskich spraw karnych. Torturowany psychicznie i fizycznie Tomasz Komenda także przyznał się do śmiertelnego w skutkach gwałtu na Małgorzacie Kwiatkowej. Nie mógł być jednak sprawcą – w noc zabójstwa nie było go nawet w Miłoszycach, gdzie doszło do zbrodni. Wymuszone zeznania posłużyły śledczym do postawienia mu zarzutów, a sąd zamienił je na maksymalny w tamtym czasie wyrok więzienia. Komenda za kratami spędził 18 lat. Zmarł w wieku 46 lat po chorobie nowotworowej. Wolnością cieszył się tylko sześć lat.

Przyznanie się

Kiedy w 2006 r. Komenda pytany był przez dziennikarza „Superwizjera" o przyczyny przyznania się do winy, mówił, że policjanci wymusili zeznania groźbą śmierci i brutalną przemocą – tak brutalną, że jak twierdził „nawet bym się przyznał, że strzelałem do papieża, nie?". Wyjaśnienie to dobrze wpisuje się w typologię fałszywych przyznań zaproponowaną jeszcze w 1985 r. przez Saula Kassina i Lawrence'a Wrightsmana.

Zgodnie z tą, wciąż dominującą, klasyfikacją, wyodrębnia się trzy typy fałszywych przyznań.

Pierwszym z nich są przyznania dobrowolne, do których dochodzi bez presji ze strony policji, a ich celem jest zazwyczaj ochrona innych osób lub chęć zwrócenia na siebie uwagi. Drugi typ to przyznania, które autorzy określili jako wymuszone-uległe. Polegają na behawioralnym podporządkowaniu się woli przesłuchującego w celu uniknięcia stresu, przy czym w tym wypadku przesłuchiwany ma pełną świadomość swojej niewinności. To właśnie ta kategoria najlepiej tłumaczy gotowość Komendy do przypisania sobie winy – choć doskonale wiedział, że nie skrzywdził Małgorzaty, chciał za wszelką cenę przerwać tortury.

Trzecią kategorię stanowią tzw. przyznania wymuszone-zinternalizowane, będące zjawiskiem pod względem psychologicznym najbardziej złożonym. W tym przypadku podejrzany zaczyna faktycznie wierzyć we własną winę. Jak twierdzi badacz fałszywych wspomnień, Gísli Guðjónsson, dzieje się to na skutek wywołania u przesłuchiwanego tzw. syndromu nieufności do własnej pamięci. Syndrom ten został opisany przez Guðjónssona i MacKeitha w 1982 r. w wyniku badań nad faktycznymi sprawami kryminalnymi. Badacze definiując to zjawisko zauważyli, że przyznania te poprzedza zwykle przedłużona izolacja przesłuchiwanego, który w trakcie przesłuchania jest pozostawiony sam sobie, bez wsparcia prawnego. ↦

eprasa.pl ed1902df8f

↦ Analiza dziennika należącego do oskarżonego, który znany jest pod inicjałami GS i był przetrzymywany w izolatce, dostarcza cennego wglądu w mechanizm rozwoju tego zjawiska. Guđjónsson zauważył, że u osób o typowym poziomie rozwoju intelektualnego syndrom ten wykształca się stopniowo, prowadząc do odroczonej w czasie, lecz skrajnej podatności na sugestię. Proces ten przebiega w pięciu fazach.

Wymuszenie

Pierwszą z nich inicjuje czynnik wyzwalający, którym jest agresywne przesłuchanie (faza 1). Podważenie alibi przez policję budzi u podejrzanego wątpliwości co do własnej niewinności, w wyniku czego zaczyna on dopuszczać możliwość swojego udziału w przestępstwie (faza 2). Pogłębiająca się niepewność dotycząca własnych wspomnień sprawia, że przesłuchiwany zaczyna akceptować sugestie i wskazówki płynące ze strony śledczych (faza 3).

Powstałe w ten sposób luki w pamięci ulegają zapełnieniu przez konfabulacje – podejrzany rekonstruuje przebieg zdarzenia w oparciu o informacje uzyskane podczas przesłuchania, dostosowując narrację do wersji policji (faza 4). Ostatecznym etapem jest rozstrzygnięcie dysonansu poznawczego, wyznaczone przez uznanie się za sprawcę i całkowitą internalizację poczucia winy (faza 5).

Warto pamiętać, że choć syndrom nieufności do własnej pamięci opisano na podstawie autentycznych spraw sądowych, w warunkach laboratoryjnych wyjątkowo trudno potwierdzić bezpośrednią relację między wywołaną wątpliwością a powstawaniem fałszywych wspomnień.

Z wyzwaniem uchwycenia tej zależności zmierzyli się polscy badacze z Uniwersytetu Jagiellońskiego – Iwona Dudek oraz Romuald Polczyk. Ich eksperymenty nie przyniosły jednak jednoznacznego potwierdzenia mechanizmu opisywanego przez Guđjónssona. Wyniki te nie podważają jednak wartości samej teorii w praktyce śledczej. Jak podkreślają autorzy badań, główna trudność tkwi w ograniczeniach metodycznych: krótkotrwałe i subtelne budzenie wątpliwości u uczestników eksperymentu nie jest w stanie oddać skrajnej presji, izolacji oraz poczucia bezradności, które towarzyszą realnym, wielogodzinnym przesłuchaniom.

> Psychologowie od dawna krytykują przesłuchiwanie podejrzanych techniką Reida. Jej agresywnie konfrontacyjny charakter i lęk, jaki wywołuje, **drastycznie zwiększają ryzyko fałszywych zeznań.**

Eksperci zajmujący się tym zagadnieniem zwracają uwagę nie tylko na sam kontekst wymuszania zeznań, lecz także na indywidualne cechy psychologiczne, które zwiększają skłonność do przypisywania sobie niepopełnionych czynów. Za kluczowy czynnik uznaje się wysoki stopień podatności na sugestię – cechę określaną przez prof. Romualda Polczyka mianem sugestialności.

Osoby o takim profilu, co jednoznacznie wykazują zarówno próby laboratoryjne, jak i analiza realnych spraw, z łatwością akceptują fałszywe informacje i bezrefleksyjnie podążają za wskazówkami przesłuchujących. Poważne zagrożenie stanowi również ogólna uległość – zwłaszcza gdy podporządkowanie się oczekiwaniom śledczych jawi się jako najprostszy sposób na uniknięcie konfrontacji lub wyciszenie trudnych emocji.

Podatność

Niebagatelną rolę odgrywają również czynniki rozwojowe oraz deficyty poznawcze. W środowisku naukowym panuje pełna zgoda co do tego, że presja wywierana w trakcie przesłuchania najsilniej uderza w dzieci i młodzież. Ich szczególna wrażliwość wynika z niepełnej dojrzałości wyższych funkcji poznawczych, które odpowiadają za trafną ocenę ryzyka, przewidywanie długofalowych konsekwencji własnych decyzji oraz elastyczne dostosowanie zachowania do wymogów stresującej sytuacji społecznej.

Podobną wrażliwością odznaczają się osoby z niepełnosprawnością intelektualną. Takie jak choćby Earl Washington Jr, młody czarny mężczyzna ze stanu Wirginia, którego iloraz inteligencji specjaliści określili na 69 punktów – czyli tuż pod kreską oddzielającą normę od lekkiej niepełnosprawności. W 1983 r. został on zatrzymany w sprawie włamania do domu sąsiada, kradzieży broni i postrzelenia brata. W trakcie przesłuchania dodatkowo przyznał się do gwałtu i morderstwa. Chodziło o nierozwiązaną sprawę gwałtu i zabójstwa 19-letniej Rebeki Williams, matki trójki dzieci, która na chwilę przed śmiercią w 1982 r. zdołała opisać sprawcę przestępstwa jako czarnego mężczyznę.

Analiza przebiegu przesłuchania ujawnia rażące błędy popełnione przez śledczych. Początkowo zeznania Washingtona pełne były sprzeczności z faktami – mężczyzna podawał błędny kolor skóry ofiary, jej wzrost oraz niewłaściwą lokalizację miejsca i błędne okoliczności zbrodni. Śledczy, stosując pytania sugerujące i przemycając w nich kluczowe szczegóły ze śledztwa, naprowadzali go jednak na poprawny opis wydarzeń. Krok po kroku wydobyli od niego spójną narrację, wykreowaną z informacji, które sami mu podsunęli.

Dokumentacja wskazuje, że Washington całkowicie podporządkował się autorytetowi przesłuchujących: przytakiwał, korygował swoje wypowiedzi pod ich dyktando i skrupulatnie podążał za każdą wskazówką.

Przy tak uległej i bezbronnej osobie wszystko poszło z górki – w 1984 r., mimo wycofania przyznania, Washington został skazany na karę śmierci. W celi śmierci spędził dziewięć lat, a od egzekucji uchroniło go wstrzymanie wyroku na dziewięć dni przed planowanym terminem. W 2000 r. badania DNA jednoznacznie wykluczyły jego udział w zbrodni i doprowadziły do pełnego uniewinnienia.

Dużą uległość w sytuacji przesłuchania wykazują także osoby z nasiloną impulsywnością i deficytami uwagi – a więc przede wszystkim osoby z diagnozą ADHD. Duża potrzeba stymulacji przy nasilonych objawach pobudliwości psychoruchowych powoduje, że fizyczna konieczność wytrzymania nierzadko kilkugodzinnego przesłuchania staje się bodźcem tak nieznośnym, że perspektywa natychmiastowej ulgi całkowicie przesłania takim osobom odroczone w czasie konsekwencje prawne. Podobnych efektów można spodziewać się u osób w stanie obniżonego nastroju czy nasilonych objawów lęku.

eprasa.pl ed1902df8f

Eksperyment

Wszystkie te czynniki wyraźnie pokazują, że fałszywe zeznania nie są nadzwyczajnym, niewytłumaczalnym zjawiskiem. Jak do tego ma się więc wspomniany na początku eksperyment Paula Heatona? Trudno przecież w Chacie GPT dopatrywać się niepewności co do własnej pamięci, deficytów poznawczych czy emocjonalnej wrażliwości. Jak więc wyjaśnić fałszywe przyznanie się do winy, które wymusił na nim Paul Heaton?

Zacznijmy od tego, że Chat GPT nie był oczywiście oskarżony o żadną zbrodnię, która wymaga posiadanie ciała – badacz zarzucił modelowi włamanie na skrzynkę mejlową i wysłanie bez wiedzy właściciela wiadomości do innych osób.

Badacz w trakcie „przesłuchania" zastosował technikę Reida, a więc klasyczną, opartą na konfrontacji metodę przesłuchania policyjnego, opracowaną w latach 50. XX w. w USA. W jej centrum leży założenie o winie podejrzanego, a celem procedury jest złamanie oporu przesłuchiwanego i wydobycie od niego przyznania się do winy. W trakcie przesłuchania śledczy prezentują się konfrontacyjnie, blokują lub przerywają wszelkie próby zaprzeczania, a także manipulują poziomem zagrożenia. Innymi słowy, wcielają się w modelowego „złego gliniarza".

Technika Reida charakteryzuje się także używaniem taktyk maksymalizacji – polegających na wyolbrzymianiu dowodów winy lub wręcz okłamywaniu podejrzanego co do stanu śledztwa (Heaton skłamał w swoim „przesłuchaniu", że specjalista z OpenAI zeznał na niekorzyść modelu językowego) – i minimalizacji, które poprzez usprawiedliwianie motywów zbrodni stwarzają złudne wrażenie, że przyznanie się do winy przyniesie łagodniejsze konsekwencje prawne.

Choć technika Reida przez dekady stanowiła o obliczu amerykańskiego – choć nie tylko – stylu prowadzenia przesłuchań, psychologowie sądowi od dawna nie szczędzą jej miażdżącej krytyki. Jej agresywnie konfrontacyjny charakter, silna presja psychologiczna i lęk, jakie wywołuje u przesłuchiwanych, drastycznie zwiększają ryzyko fałszywych zeznań.

Nic więc dziwnego, że nowoczesne systemy prawne coraz częściej odchodzą od techniki Reida na rzecz modeli opartych na bezstronnym pozyskiwaniu informacji, w których priorytetem jest ustalenie stanu faktycznego, a nie uzyskanie deklaracji winy za wszelką cenę.

Prawdziwa wina

Poddanie się presji przesłuchania przez model językowy stało się więc kolejnym argumentem w dyskusji nad stosowaniem technik przesłuchania, które generują tak poważne koszty – tak dla wymiaru sprawiedliwości, jak i samego przesłuchiwanego. Traktowanie doświadczenia Heatona jako pełnoprawnego dowodu naukowego jest jednak nadużyciem. Duże modele językowe nie posiadają świadomości, pamięci autentycznych zdarzeń ani stanów emocjonalnych; ich działanie opiera się na probabilistycznym przewidywaniu kolejnych słów na podstawie dostarczonego promptu.

W sytuacji, gdy algorytm zostaje osadzony w kontekście natarczywego przesłuchania, wygenerowanie przyznania się do winy nie jest efektem psychologicznego załamania ani powstania fałszywego wspomnienia, lecz wyłącznie wynikiem matematycznego dopasowania do narzuconej narracji. Eksperyment Heatona pokazuje zatem sprawność modeli w odgrywaniu scenariuszy konwersacyjnych, nie stanowi zaś psychologicznego dowodu na mechanizmy zachodzące w ludzkim umyśle.

Rzeczywistym i niepodważalnym dowodem na szkodliwość opresyjnych metod przesłuchań pozostają więc faktyczne ludzkie tragedie – udokumentowane sprawy sądowe osób, które pod wpływem realnego cierpienia, bezradności i manipulacji przyznały się do czynów, których nie popełniły. Dowodem są Tomasz Komenda, Peter Reilly, Earl Washington i setki innych osób, które w wyniku błędów wymiaru sprawiedliwości w więzieniu straciły zdrowie, a niekiedy i życie.

© KAJA GŁOMB

Autorka pracuje w Instytucie Psychologii Stosowanej UJ. Interesuje się m.in. psychologią zeznań świadków, badaniami poligraficznymi i związkami między przestępczością a cechami osobowości.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



eprasa.pl ed1902df8f

KULTURA

KIEDY BYŁAM NIEODKRYTĄ PISARKĄ

JANE CAMPBELL, PISARKA:

Społeczeństwo stara się tłumić indywidualność starych kobiet. Mam 84 lata. Może jeszcze nie miałam najszczęśliwszego dnia w życiu?

eprasa.pl ed1902df8f

JANE CAMPBELL jest brytyjską pisarką i psychoterapeutką. Debiutowała w wieku 80 lat zbiorem opowiadań „Czesanie kota" (w Polsce ukazały się przed kilkoma miesiącami, nakładem Wydawnictwa Pauza i w przekładzie Dobromiły Jankowskiej), dwa lata później ukazała się jej powieść „Interpretations of Love". 26 września na Big Book Festival w Warszawie porozmawia z Bartoszem Sadulskim o tym, czego pragną stare kobiety.

JUSTYNA DĄBROWSKA: Ile ma Pani lat?

JANE CAMPBELL: Osiemdziesiąt cztery. W styczniu skończę osiemdziesiąt pięć.

Czy to dużo?

Nie jestem pewna, co pani rozumie przez „dużo". Czy czuję się stara? Wydaje mi się, że to bardzo skomplikowane pytanie. Co to znaczy „czuć się starą"? Są rzeczy, których nie mogę robić, np. wbiec po schodach. Są rzeczy, które mogę.

Ciekawi mnie słowo „starość". Co ono dla Pani znaczy?

Jestem w pewnym wieku, a społeczeństwo mówi mi, że to znaczy, że jestem starą kobietą. Brytyjska służba zdrowia wpisuje człowieka do kategorii „geriatrycznej" już w wieku 65 lat, a to przecież niewiarygodnie wcześnie.

No dobrze, pomyślmy... Co dla mnie znaczy słowo „stara"? Moja prababka umarła, mając 101 lat – z pewnością była stara. A matka mojej matki, czyli moja babcia, umarła mając 35 – strasznie młodo. Ale ja czuję się bardzo dobrze i jestem wdzięczna, że jestem w wieku, w którym jestem, na razie bez poważnych kłopotów ze zdrowiem. Mam sporą rodzinę, lubię się z nią widywać, lubię życie, które mam, i przyjaciół, których mam. I lubię pisać książki!

Żyję z dnia na dzień, z roku na rok, robię plany. Na przykład na święta pojadę na miesiąc na Bermudy. Nie myślę o tym, ile mi jeszcze zostało.

Pani wie, ile lat temu się urodziła, ale ile lat ma Pani emocjonalnie? Zastanawia mnie taka sytuacja, że czasem czujemy w środku zupełnie coś innego, niż by wynikało z paszportu. Nie wiem, czy Pani to zna.

Do pewnego stopnia. Jestem przekonana, że jestem teraz mądrzejsza niż w wieku 35 lat. I że moja osobowość trochę się zmieniła.

Jak się zmieniła?

Jestem mniej skłonna znosić rzeczy, które uważam za niesprawiedliwe albo niewłaściwe. Jestem bardziej pewna siebie. Mogę mówić, co myślę. Jestem przekonana, że jestem lepszą pisarką. Może nawet jestem lepszą analityczką grupową. To prawda, że czasem idąc ulicą i widząc swoje odbicie w witrynie, myślę: „Dobry Boże, czy ja naprawdę tak staro wyglądam?".

O to właśnie mi chodzi. Mam tak samo! Kto jedzie ze mną tą windą? Czy to moja mama?

Ale nie zaprząta mnie to szczególnie. Jakoś pogodziłam się z tym, że wyglądam jak stara kobieta – wiem przecież, że jestem starą kobietą. Wszyscy mówią: „W środku czuję się na 17 lat". Ja się w środku nie czuję na 17. Chyba czuję się... zależy od dnia. Najlepiej mi było koło czterdziestki i w dobre dni umiem coś z tego odzyskać. Ale po co? Pamięta pani to zdanie z książki: „Może jeszcze nie miałam najszczęśliwszego dnia w życiu". A Pani ma ile lat?

Sześćdziesiąt sześć.

Dobrze pani w tych sześćdziesięciu sześciu!

Dziękuję. Co jeszcze pojawia się wraz z upływem czasu? Jak Pani sądzi?

Napisałam o tym w „Czesaniu kota". „Kotka i ja uczymy się teraz, czym jest proces utraty. Starość jest często kojarzona z gromadzeniem rzeczy, z chorobą, z niewygodami, ze zmarszczkami, ale tak naprawdę to proces utraty – praw, szacunku, pożądania, tego wszystkiego, co kiedyś do ciebie należało i co cię cieszyło, zupełnie bez refleksji". Mówi to postać fikcyjna, ale do pewnego stopnia to prawda.

Powiedziałabym więc, że wiek jest doświadczeniem ambiwalentnym. Coś się zyskuje, coś traci. Mam chyba wyważony stosunek do starzenia się.

Co zyskujemy?

Tak jak mówiłam – pewność siebie. Odwagę, żeby nazywać bzdury bzdurami. Zdecydowanie, które bierze się z doświadczenia i z tego, czego się po drodze uczymy.

Tracimy cały czas, przez całe życie. Które straty były dla Pani najbardziej bolesne?

Pani jest jak wszyscy psychoanalitycy. Szuka pani bólu. Może panią rozczaruję...

Bardzo proszę.

Musimy zacząć od początku – od dzieciństwa. Byłam rozdarta między matką a ojcem. Matka umarła, mając 89 lat, ojciec 91, ale byli zupełnie różnymi ludźmi i różny mieli stosunek do starzenia się. Matka chyba bardziej dotkliwie je odczuwała. Ojciec uważał, że całe życie jest przygodą. Ja jestem bardziej podobna do ojca, więc szczerze mówiąc, traktuję starzenie jak kolejne ciekawe doświadczenie.

Ojca poznałam, mając trzy i pół roku.

Dlaczego dopiero wtedy?

W skrócie: rodzice wzięli ślub, byli razem sześć tygodni, potem ojciec wyjechał na wojnę i wrócił dopiero cztery lata później. Matka zamieszkała u swojej babki, ponieważ jej matka, a moja babcia, zmarła młodo, kiedy mama miała 13 lat. Ojciec był zaginiony, potem został uznany za poległego.

Byłyśmy z matką bardzo blisko. Spałam w jej łóżku – jak wiele wojennych dzieci. Chyba stałam się dla niej zastępczym obiektem miłości po matce, którą tak wcześnie straciła. Dorastałam więc z poczuciem, że jestem naprawdę wyjątkową dziewczynką – niektórzy powiedzą, że zostało mi to do dziś. To nie zawsze zaleta.

Czy poczucie, że jest się wyjątkowym, nie pomaga w życiu?

Nie, jeśli sprawia, że człowiek uważa, że nie obowiązują go te same zasady co innych – a mnie się to zdarza. Moje pierwsze cztery lata były naprawdę wspaniałe. Byłam bezpieczna. Byłam najedzona. Byłam szczęśliwa. Moja prababka była dość zamożna. Prowadziła dom z kucharką i ogrodnikiem, dostatnie życie wyższej klasy średniej. Był też tam dziadek, ale jakoś mało go było. A potem wrócił ojciec i nasz mały raj się skończył. ↦

HEATHCLIFF O'MALLEY

eprasa.pl ed1902df8f

↦ Z czasem pokochałam ojca, a on kochał mnie. I to było cudowne – mieć z powrotem tatusia. Ale to był chyba początek tego, o czym, jak mi się zdaje, wiedziałam od zawsze: że każdej radości odpowiada jakaś rozpacz.

Kim był Pani ojciec?

Lekarzem i oficerem. Służył w Afryce Północnej, na pustyni. Potem trafił do niewoli. Dożył końca wojny w Salzburgu. Zwolniono go, wrócił i nigdy nie skarżył się na to, co przeżył. Naprawdę myślę, że dla niego to była przygoda – jednocześnie przerażająca i wyniszczająca, ale też pełna wyzwań i ekscytująca. Najtrudniejsze czekało go dopiero po powrocie: po tym wszystkim wrócił do mojej matki, kobiety niezwykle przywiązanej do rutyny życia domowego. Pamiętam, jak rzucił kiedyś znamienne zdanie: kiedy wraca się z wojny, gdzie w każdej chwili można zginąć, dość trudno uwierzyć, że naprawdę jest ważne, żeby być w domu o pierwszej na obiad.

Może sobie pani wyobrazić to napięcie: z jednej strony matka bardzo skupiona na domu, przez trzy i pół roku we mnie zapatrzona, z drugiej strony ojciec świeżo po wojennej traumie, dla którego córka staje się małym drogocennym stworzeniem. Córka i matki, i ojca, która nie wie, kim ma być. I która nigdy nie postrzegała ich jako pary.

Wie pani, że ja całe życie pragnęłam być jedynaczką?

Dlaczego?

Kiedy się urodziłam, on był zdrowym młodym mężczyzną, a ona zdrową i młodą kobietą. A po wojnie, po tych wszystkich latach ojciec wrócił odmieniony: psychicznie, emocjonalnie, także fizycznie. I potem mieli jeszcze czworo dzieci. Które, szczerze mówiąc, są dla mnie raczej jak przyrodnie rodzeństwo. Nie mam z nimi nic wspólnego. Żadne nie ma moich zainteresowań ani – jeśli mogę tak to ująć – moich zdolności, żadne nie żyje tak jak ja. Trudno mi uwierzyć, że mieliśmy tych samych rodziców.

I myśli Pani, że to ma związek z wojennym doświadczeniem ojca?

To jedna z możliwych interpretacji.

A potem, po wojnie, kilka lat po powrocie ojca, wyjechaliście do Afryki, do Rodezji Północnej – dzisiejszej Zambii. Dlaczego tam?

Ojciec po wojnie wrócił do lekarskiej praktyki, ale w 1948 r. wprowadzono w Anglii National Health Service (NHS) i jemu się ten pomysł bardzo nie spodobał. Widział w nim formę socjalizmu, uważał, że wystarczająco długo mu rozkazywano w więzieniu. To nie było to, o co walczył, ani to, do czego postanowił wrócić. Zrobił więc to, co robiło wtedy wielu ludzi: wyjechał do kolonii.

Rodezja należała do Brytyjczyków, ale jednocześnie niosła obietnicę wielkiej przygody. Nowy kraj. Niebezpieczny. Kilometry pustych przestrzeni, a gdzie się nie znajdziesz – zawsze widzisz horyzont. Ojciec nie lubił gór, bo więzienie w Salzburgu było otoczone śnieżnymi szczytami, które dla niego symbolizowały mur nie do przejścia. Pokochał więc Afrykę z jej przestrzeniami. Mieszkaliśmy w środku Wyżyny Środkowoafrykańskiej, 1830 m nad poziomem morza. I było mu tam cudownie.

A Pani?

Chcę dodać, że matce tam się nie podobało. Jako dziecko wychowała się w dużym domu w eleganckiej części Szkocji, potem mieszkała we wspomnianym już domu babki w Hoylake, a teraz musiała się urządzić w małym bungalowie pokrytym dachem z falistej blachy z siatką w oknach. Zagrożenia dla dzieci były oczywiste i realne: jadowite pająki, węże i inne niebezpieczne zwierzęta, malaria, polio. Żadnego świeżego mleka, wodę trzeba było przegotowywać. A do tego kwestie rasowe. Myślę, że popadła w głęboką depresję. Ale mimo to sprostała wszystkiemu – tylko że ja widziałam, że jest smutna. Dużo płakała. Ojciec natomiast bawił się znakomicie.

Ja sama byłam tym wyjazdem dość podekscytowana, choć nie było tak, jak sobie wyobrażałam. Byłam małą, bardzo posłuszną dziewczynką, która siedziała z nosem w książkach. Ale pamiętam przyrodę – te niezwykłe burze, które zagarniały całe niebo, ten krajobraz... Kiedy miałam 10 lat, posłano mnie do szkoły z internatem, pamiętam, że jechaliśmy pociągiem pięć dni i pamiętam, jak godzinami wyglądam przez okno. Uwielbiałam ten widok, te przepastne przestrzenie.

A Wodospady Wiktorii? Są w jednym z Pani opowiadań. Byłam tam, to coś zapierającego dech.

Myślę, że to rzeczywiście jest miejsce święte. Czy są takie, jak je opisałam?

Tak. Są wyjątkowe, nieskończone.

Jako dziecko z grupą innych dzieciaków cztery razy w roku przejeżdżałam tamtędy – pociąg jechał mostem nad wodospadami – wszyscy zrywaliśmy się wcześnie, żeby je zobaczyć i nie przejmując się żadnymi przepisami bezpieczeństwa, po prostu wychylaliśmy się z wagonów!

Uwielbiałam te krajobrazy, ale to nigdy nie był dom. To był kraj, w którym po prostu dorastałam. Zdumiewający, niezapomniany, ale kiedy wyjechałam, nie chciałam już wracać.

Jeżdżę do Afryki dość często i uwielbiam tamtejsze światło.

Tak, rzeczywiście światło jest tam wyjątkowe.

Mamy więcej wspólnego – też jestem psychoterapeutką. Dlaczego zdecydowała się Pani zostać terapeutką?

Powód był prozaiczny. Wróciłam z Afryki do Oksfordu, zrobiłam dyplom z anglistyki. I poznałam człowieka, za którego wyszłam. Był studentem prawa, a kiedy mieliśmy już dwie córki, powiedział, że dostał świetną ofertę pracy na Bermudach. Zapytał, czy moglibyśmy tam na kilka lat pojechać? Zgodziłam się. I w ten sposób w mgnieniu oka znalazłam się na subtropikalnej wyspie długiej na 33 kilometry i szerokiej na półtora.

Trudne miejsce dla kobiety ciekawej świata.

No właśnie. Dorastałam w Afryce, potem mieszkałam na Bermudach – mąż tam rozkwitał, a ja więdłam. Podobnie jak moi rodzice w Rodezji... Po 13 latach odeszłam od męża i przyjechałam z czwórką naszych dzieci z powrotem do Oksfordu. Kiedy wróciłam, miałam tylko swój stary dyplom z anglistyki, ale wiedziałam, że nauczycielka byłaby ze mnie beznadziejna. Na sekretarkę też się nie nadawałam. Szczerze mówiąc, jestem chyba niezatrudnialna.

Dlaczego?

eprasa.pl ed1902df8f

Nie lubię, kiedy mi się mówi, co mam robić. Postanowiłam więc zrobić podyplomowe studia ze stosowanych nauk społecznych, a w ramach tych studiów musiałam odbyć praktykę psychiatryczną. Wysłali mnie do poradni Child Guidance Clinic, bo miałam czworo dzieci, uznali chyba, że coś o dzieciach wiem.

To zabrzmi cynicznie, ale nauczyłam się wtedy, że można zarabiać pieniądze, sadzając kogoś przed sobą w fotelu i prosząc, by opowiedział o sobie. Myślę, że dla pacjenta rzecz sprowadza się do czegoś bardzo podstawowego: „Kiedy ostatnio ktoś dorosły poświęcił panu całą swoją uwagę, naprawdę się w pana wczuł i próbował zrozumieć?". Większość ludzi powie: „Boże, nie wiem, czy w ogóle kiedykolwiek". Nic dziwnego, że ludzie lubili przychodzić do mnie na terapię. To było proste. Nie byłam wtedy jeszcze wyszkolona, ale zrozumiałam, że to może być sposób na życie. Potem zgłosiłam się do Instytutu Analizy Grupowej w Londynie i tam szkoliłam się siedem lat. Jestem więc wyszkoloną psychoanalityczką grupową. To też była wielka przygoda. Dzięki tej pracy poszerzają się horyzonty umysłu, a człowiek dostaje nowy słownik. Myślę, że geniusz Freuda polega właśnie na tym, że dał nam cały zestaw nowych słów do opisu przeżyć wewnętrznych. Cenię Freuda, ale nigdy nie chciałam być psychoanalityczką. Dla mnie psychoanaliza jest zbyt sztywna, zbyt hermetyczna. A ja nie znoszę zasad. Wydaje mi się, że można nieźle łamać zasady i wciąż być dobrą analityczką grupową. Robiłam to przez lata, aż napisałam „Czesanie kota" i zostałam pisarką.

Jak to się stało?

Zawsze byłam pisarką. Zawsze pisałam. To był przymus. Pani Justyno, powiem tak: mnie po prostu odkryto, kiedy miałam 77 lat, ale piszę od ósmego roku życia. Pierwsze, co napisałam, to był wiersz.

Ma go Pani nadal?

Oczywiście. Nigdy niczego nie wyrzucam. To była „Oda do orzeszka ziemnego" napisana przez wiewiórkę – urocza, ale absolutnie bezwartościowa.

Zawsze pisałam wymyślone historie chyba dlatego, że jestem zbyt leniwa, żeby przykładać się do gromadzenia faktów. Nie jestem nawet pewna, czy wierzę w fakty. Podam przykład: kiedy szkoliłam się w analizie grupowej, musiałam pisać studia przypadku. I za każdym razem chciałam coś zmienić. Chciałam włożyć pacjentowi w usta jakąś ciekawszą historię, bardziej wielowątkową. Uchodziłam za jedną z lepszych studentek, ale za te studia przypadku nie dostawałam dobrych ocen, bo tak trudno mi było trzymać się tego, co się naprawdę wydarzyło. Urodziłam się, żeby tworzyć fikcje.

Zawsze byłam pisarką.
Zawsze pisałam.
To był przymus.
Powiem tak:
mnie po prostu odkryto,
kiedy miałam 77 lat,
ale piszę od ósmego
roku życia.

Skąd wzięło się tych 13 kobiet, które poznałam w „Czesaniu kota"?

Zjawiły się w mojej głowie. Są częścią tego, co przeżyłam. Nie powiedziałabym, że to realne osoby, ale dla mnie są prawdziwe. Rzecz w tym, że nie umiem opisywać faktów, a postaci ze swojej praktyki nigdy bym nie wzięła – bałabym się, że ktoś ją rozpozna. Lubię w prawdziwych historiach coś podkręcić, dodać coś ekstra, jak w tych studiach przypadku. I to właśnie robiłam, pisząc opowiadania. Z sobą też. Może jestem tą starą kobietą, która nie wychodzi z domu i mieszka z synem?Ale opis widoku z domu mojego syna jest prawdziwy. Scenerie są wierne rzeczywistości, postacie wymyślam.

Pytając, skąd się biorą, pytałam o poziom nieświadomy. Bierze Pani prysznic i nagle widzi w głowie: „O, jest taka osoba. Muszę biec do stołu i zapisać, co ona chce zrobić"?

Ktoś zjawia się w mojej głowie, a ja przyglądam się temu, co robi. Dokładnie tak to się dzieje.

Nie wiem, czy istnieje inna książka o kobietach w starości, które są tak świadome swoich pragnień, namiętności i bólu. Odebrałam ją jako bardzo żywą i jednocześnie smutną. Skąd się w Pani wzięły te opowiadania?

Opowiadanie „Czesanie kota" napisałam, kiedy byłam u syna na Bermudach, w tym jego pięknym domu z widokiem. Byłam tam, w jego kuchni. Była tam też jego kotka, Lucy, zaczęłam ją czesać i wtedy w mojej głowie uformowała się ta stara kobieta, bohaterka. Puściłam wodze fantazji, pozwoliłam sobie na zupełną swobodę, na poczucie humoru i trochę zaszalałam. Kiedy pisałam, nie byłam pewna, czy ktokolwiek to przeczyta, nie mówiąc o wydaniu. Przecież byłam wciąż nieodkrytą pisarką.

Kiedy się myśli, że opowiadanie nie zostanie przeczytane, ma się niezwykłą swobodę: można pisać, co się chce. Nigdy później już takiej wolności nie poczułam. Kiedy skończyłam, przeczytałam i pomyślałam: „niezłe". Wysłałam więc do „London Review of Books", które nie publikuje prozy. Ale się im spodobało. I przedstawili mnie kobiecie, która miała zostać moją agentką. Powiedziała mi wtedy: „Pisze pani bardzo dobrze o starych kobietach. Czy może pani napisać więcej takich opowiadań?". I proszę. Przez następny rok napisałam resztę. To było bardzo przyjemne zadanie.

To nie wygląda na zadanie. Wygląda, jakby Pani była pełna tych historii.

Przecież jedno i drugie może być prawdą. Jako psychoterapeutka wie pani, że czasem jakieś pytanie, spotkanie czy rozmowa otwiera coś, o czym się nie wiedziało, że tam jest. Pisarze cały czas z tego korzystają. Kiedy ta agentka zaprosiła mnie do pisania o starych kobietach, okazało się, że te wszystkie postacie miałam już w głowie.

Ktoś powiedział: „Nie ma tu zbyt wielu szczęśliwych zakończeń" – i to prawda, nie ma. Ale z drugiej strony moglibyśmy podyskutować, co właściwie jest „szczęśliwym zakończeniem". Wszystkie moje bohaterki mają jedną wspólną cechę: nie interesują ich szczęśliwe zakończenia. Interesuje je autentyczne życie.

Chcą mieć wybór. ↦

eprasa.pl ed1902df8f

↦ Chcą być tym, kim są. Społeczeństwo bardzo się stara tłumić indywidualność starych kobiet. Właśnie skończyłam pisać powieść, która dzieje się na Bermudach, i która jest o tym samym. O tym, że pieniądze nie pozwalają ludziom być tym, kim są, bo zamykają ich w pewnej bańce. Jedno było w moim życiu naprawdę ważne: być tym, kim się jest. Na tym polega wolność.

Psychoterapia może pomóc odnaleźć drogę do tego, kim się jest.

Może pomóc. Ale nie każdy ma taką możliwość. Ważny fakt, jeśli chodzi o moją matkę. Jest rok 1950. Jest w środku Afryki z trojgiem małych dzieci. Jest rozpaczliwie nieszczęśliwa. Chce wyjechać i zabrać je ze sobą. Żeby wywieźć dzieci z kraju, potrzebuje zgody mojego ojca. Potrzebuje podpisanego dokumentu, że wolno jej zabrać ze sobą dzieci!

Widzi pani, nie wszystko załatwi psychoterapia. Najpierw trzeba odkryć, kim się jest, ale potem potrzeba wolności, żeby móc tym kimś być. 30 lat później, mniej więcej w tej samej sytuacji, ja mogłam odejść od męża. Nie potrzebowałam już jego podpisu. Może żeby móc być tym, kim się jest, trzeba złamać parę zasad. Trzeba złamać parę serc. Trzeba przekroczyć parę granic. Ma pani na to moje pozwolenie.

Co Panią najbardziej zaskoczyło po tym, jak książka się ukazała?

Powiem coś nudnego. Pierwsze zaskoczenie: ludzie płacą mi za tę książkę, a ja nie mogę powiedzieć, że napisanie jej było ciężką pracą. Drugie zaskoczenie: radość z tego, że tak późno wyrobiłam sobie nową tożsamość, wraz z którą pojawiają się nowi ludzie, nowe przygody. Poznałam wspaniałą grupę: artystów, pisarzy, autorów, wydawców i zrozumiałam, że to jest moje plemię. Świetnie się bawiłam jako analityczka grupowa, bo w tej pracy myślenie jest skomplikowane, słownik bogaty, a zainteresowanie ludźmi ogromne. Ale teraz bardziej należę do artystów. Zdążyłam w samą porę.

© Rozmawiała JUSTYNA DĄBROWSKA



NATACHA PISARENKO / AP PHOTO / EAST NEWS

Shakira podczas trasy koncertowej „Las Mujeres Ya No Lloran". Buenos Aires, 7 marca 2025 r.

Lek na samotność

MARTYNA LESZCZYŃSKA

MUZYKA POP | Tegoroczna trasa koncertowa Shakiry już pobiła rekord Guinnessa. Kolumbijska artystka nie daje się zamknąć w złotej klatce.

W LIŚCIE OTWARTYM DO HISZPAŃskiego dziennika „El País" Shakira przytacza towarzyszące jej od dziecka zdanie z powieści Gabriela Garcíi Márqueza: „Plemiona skazane na sto lat samotności nie mają już drugiej szansy na ziemi". Zawsze czytała je jako przestrogę, dziś widzi w nim jednak wyzwanie. „A co, jeśli druga szansa istnieje? – pyta. – Co, jeśli kryje się tam, gdzie była od zawsze: w więziach między ludźmi, w objęciach, w byciu razem?".

Tropikalna gorączka

Artystka wraca do Hiszpanii po ośmiu latach. Dokładnie w momencie, kiedy zdaje się, że świat złapał bakcyla tropikalnej gorączki i coraz bardziej masowo tańczy w rytm latynoskich melodii. Na pierwszym miejscu rankingu Top Global 50 Spotify dopiero co znalazła się pierwsza w historii Hiszpanka – Judeline. Streamingowany na platformach utwór „BbY WOW" pochodzi z najnowszego albumu kolumbijskiej gwiazdy Karol G „No Me Arrepiento de Sentir Tanto" (Nie żałuję, że tyle czuję), a powstał we współpracy z jeszcze inną wschodzącą gwiazdą hiszpańskiej sceny muzycznej – Rusowskym.

Spoiwem dla tych współprac jest oczywiście język hiszpański, który w ostatnich latach odwrócił wektory wpływu anglosaskiej monokultury. Artyści, którzy na przełomie XX i XXI wieku – w okresie tzw. latynoskiej eksplozji – pragnęli zaistnieć na rynku globalnym, nie mogli uciec od crossoverów i dogrywania anglojęzycznych wersji swoich

eprasa.pl ed1902df8f

albumów. Współcześnie trend jest odwrotny – to Justin Bieber, Drake czy The Weekend zaczynają śpiewać po hiszpańsku. Występ Bad Bunny'ego podczas Halftime Show na Super Bowl udowodnił, że nie trzeba rozumieć tekstu śpiewanych utworów, aby dobrze się przy nich bawić. Tą samą zasadą kierują się platformy streamingowe.

Rosnącą popularność muzyki latino można by tłumaczyć modą, jednak Shakira stawia odważniejszą tezę. „Ludzie słuchają naszej muzyki, bo podświadomie znajdują w niej to, czego potrzebują" – tłumaczy na łamach „El País".

Latynoska szczepionka

Zdaje się, że w obliczu przybierającej na sile pandemii osamotnienia Latynosi wykształcili odporność zbiorową. Wykorzenione społeczeństwa naznaczone strukturalną przemocą nie raz musiały zagłuszać muzyką dziedziczone z pokolenia na pokolenie ból i żal. Opracowały własną szczepionkę, od lat posyłają w świat jej sprawdzony skład, a świat w końcu zaczyna rozumieć.

Tradycja muzyki europejskiej różni się od formuły znanej z krajów, gdzie marginalizowane społeczności tworzyły, czerpiąc z napływu obcych sobie kultur. Z tego mieszania narodziły się nowe style muzyczne i hybrydowe tożsamości. Shakira jest tu idealnym przykładem – libańskie korzenie ojca, hiszpańsko-włoskie matki oraz dzieciństwo spędzone na kolumbijskim wybrzeżu, gdzie całość dopełniły afrokaraibskie dźwięki.

Muzyka europejska u zarania dziejów była doświadczeniem samotniczym, wyrastającym z cichej kontemplacji, podczas gdy muzyka latynoska (szczególnie ta z karaibskiego wybrzeża) wymaga zaangażowania ciała. Rytm zmusza do ruchu i uwalnia napięcie. Wspólne tańce, lokalne fiesty i uliczne muzykowanie nie są jedynie źródłem rozrywki: często rekompensują brak wydolnych instytucji państwowych, których słaba kondycja wywodzi się jeszcze z czasów kolonialnych. Wspólne przeżywanie muzyki daje poczucie przynależności i bezpieczeństwa w świecie, który na co dzień bywa okrutny i nieprzewidywalny.

Kobiety już nie płaczą

Shakira również potrafiła przekuć własne cierpienie w chwytliwe beaty, przyczyniając się do zmiany stereotypu Latynoski, która według tradycyjnych kodów kulturowych jest postrzegana niemal wyłącznie przez pryzmat partnera. „Wilczyca jak ja nie jest dla typów takich jak ty" – śpiewa dumnie w hicie z 2023 r.

Utwór, nagrany ze znanym argentyńskim producentem Bizzarapem, bił rekordy popularności, zamieniając się w jeden z najbardziej chwytliwych współczesnych diss tracków. Shakira porzuciła lament złamanego serca i przejęła kontrolę nad narracją, dając do zrozumienia, że po jej policzkach nie płyną łzy, lecz diamenty – jak ma to miejsce na okładce albumu z 2024 r. „Las Mujeres Ya No Lloran" (Kobiety już nie płaczą). Przełożenie osobistej krzywdy na język sztuki i twardego biznesu zamienia zawód miłosny w kapitał i narzędzie wizerunkowej dominacji.

Muzyka zapisana w kulturowym DNA Latynosów ulega mutacjom od przeszło 500 lat, ale jedno się nie zmienia. Ma funkcje terapeutyczne i pomaga w budowaniu wspólnoty. Służy zacieśnianiu więzi. Sensualne tańce latynoskie, np. bachata lub salsa, to interakcja społeczna, która wymaga zaufania. Bliskość i dotyk krępują, ale zarazem otwierają na drugiego człowieka. Muzyka przyczynia się do umacniania nieformalnych sieci wsparcia, a te z kolei dają gwarancję przetrwania w świecie, gdzie – według Márqueza – „nie ma gorszego nieszczęścia jak umierać w samotności".

Sztuka przetrwania

Shakira musi coś na ten temat wiedzieć, skoro sama wytrwała na szczycie globalnej sceny muzycznej ponad trzy dekady. A tworząc tyle czasu, nie zamieniła się we własny pomnik – choć w 2023 r. w jej rodzinnym mieście Barranquilli wzniesiono jej ponad sześciometrową statuę. Kolejne wypuszczane przez nią utwory, w tym tegoroczny przebój mundialowy „Dai Dai", wykonywany w duecie z Nigeryjczykiem Burna Boyem, udowadniają, że jej recepta wciąż działa. Ponad miliard wyświetleń teledysku na YouTubie mówi samo za siebie.

Shakira jest jak Benjamin Button – z upływem lat staje się coraz młodsza. Jej dojrzałe wypowiedzi w początkowej fazie kariery zadziwiały odbiorców, a jednym z nich był sam Márquez, którego poznała, mając 21 lat. Gabo dostrzegł potencjał dziewczyny na długo, zanim zrobiła to reszta świata.

Skacząca do afrobeatu 49-letnia artystka hipnotyzuje fanów tańcem brzucha – emblematycznym i stale powracającym w jej twórczości elementem choreografii – a równocześnie wciąż zaskakuje. Tegoroczna trasa, „Las Mujeres Ya No Lloran World Tour", pobiła rekord Guinnessa i przejęła od Luisa Miguela tytuł najbardziej dochodowej hiszpańskojęzycznej trasy koncertowej w historii muzyki.

Europejskie serce Ameryki Łacińskiej

Formuła tzw. rezydencji koncertowych cieszy się ostatnio dużą popularnością, jednak w przeciwieństwie do wokalistów, których repertuar wyrasta z kultury anglosaskiej, Latynoska wybrała za centrum wydarzeń Madryt.

Nie bez powodu dzieje się to akurat teraz. Według danych Krajowego Instytutu Statystycznego w Hiszpanii mieszka ponad trzy miliony osób urodzonych w krajach hiszpańskojęzycznych Ameryki, z czego ponad milion – w stolicy Hiszpanii. Choć osobiste stosunki Shakiry z krajem Cervantesa nie należą do najcieplejszych – mowa o głośnym rozstaniu w 2022 r. z Katalończykiem Gerardem Piqué i skandalach z udziałem hiszpańskiej skarbówki – artystka się od nich nie odcina. Przeciwnie, podkreśla, jak wiele ją z tym krajem łączy.

„Imigracja latynoska nie jest tutaj zaledwie tolerowana, jest świętowana" – pisze Shakira, nawiązując do sytuacji politycznej w USA. Madryt stał się filią Ameryki Łacińskiej po drugiej stronie Atlantyku, rosnącą konkurencją dla Miami i pomostem, który przybliża latynoską twórczość reszcie Europy.

Serię 10 koncertów zagrał tu tego lata również Bad Bunny, ale on występował także w innych europejskich metropoliach. W przypadku Shakiry Madryt będzie jedynym europejskim przystankiem na trasie. Artystka ma w planach aż 12 koncertów, na które sprzedano łącznie ponad 650 tys. biletów.

Pierwszy występ zaplanowano na 18 września, jednak w południowej dzielnicy Madrytu Villaverde, gdzie wybudowane zostanie festiwalowe miasteczko wzorowane na marquezowskim Macondo, przygotowania trwają od początku sierpnia. Projekt wykracza daleko poza ↦

eprasa.pl ed1902df8f

↦ świat muzyki i performance'u. „30 hektarów na celebrowanie i poznawanie naszej kultury z udziałem ponad stu zaprzyjaźnionych artystów. Każdy odwiedzający będzie miał szansę doświadczyć tego, co latynoskie w wybrany przez siebie sposób: poprzez literaturę, taniec, muzykę, modę, gastronomię, kino lub sztukę. To będzie miasto spotkań, za którym stoi koncepcja siły latynoskich więzi w erze cyfrowej samotności" – tłumaczy Shakira.

Buntownicza poetyckość

Madrycka rezydencja to przedsięwzięcie, którym wokalistka przypomina młodszym wilkom sceny latino, że to ona stoi na czele watahy.

O jej pozycji świadczą wręczone 3 września w Marbelli Premios Juventud (Nagrody Młodości), w których Shakira wygrała główną kategorię, rywalizując m.in. z artystkami nowej fali latino: Rosalíą, Aitaną, Young Miko i Karol G. Tę ostatnią można uznać za jej kolumbijską następczynię – wokalistki wspólnie rozliczają byłych partnerów w utworze „TQG".

Mało kto pamięta jednak skromne, niewieszczące globalnego sukcesu początki Shakiry. Od nauczyciela śpiewu, który nie chciał przyjąć jej do chóru ze względu na zbyt mocne vibrato, po pierwszy kontrakt z wytwórnią Sony Music Colombia, który podpisała w wieku 13 lat. Dwa pierwsze albumy – „Magia" z 1991 r. i wydany dwa lata później „Peligro" (Niebezpieczeństwo) sprzedały się tak słabo, że wytwórnia rozważała rozwiązanie umowy. Młodej wokalistce postanowiono dać ostatnią szansę i zawrzeć jeden z jej nowych utworów w składance kolumbijskiego rocka. Skomponowana przez nią piosenka „Dónde Estás Corazón" (Gdzie jesteś, serce) odniosła niespodziewany sukces, a to zmotywowało wytwórnię do sfinansowania trzeciej i jak się później okazało – przełomowej płyty.

Album „Pies Descalzos" (Bose stopy) z 1995 r. był krzykiem pokoleniowego nonkonformizmu. Shakirze doskonale udało się odczytać nastroje społeczne lat 90. W końcu odcięła się od młodzieńczego wizerunku grzecznej dziewczynki śpiewającej melodyjne ballady i pokazała pazur, co na zdominowanej przez mężczyzn scenie latynoamerykańskiego rocka wzbudziło spore zainteresowanie. W utworze „Pies Descalzos, Sueños Blancos" (Bose stopy, białe sny) pokazała się od nieznanej wcześniej strony, krytykując tradycyjną obyczajowość. Teledysk ropoczyna się od wytwornego przyjęcia, na którym goście ukrywający twarze pod maskami uosabiają hipokryzję wyższych sfer oraz naiwne wyobrażenia o sukcesie i idealnym, poukładanym życiu.

W przesiąkniętym przemocą społeczeństwie tamtego okresu buntownicza poetyckość 18-letniej Kolumbijki z gitarą nie przeszła bez echa, Ameryka Łacińska oszalała na jej punkcie.

Transformacja

Aspiracje Shakiry sięgały jednak dalej. Celem stało się podbicie amerykańskich rozgłośni radiowych. Nazywana latynoską Alanis Morissette, przeszła wizerunkową metamorfozę: miejsce długich i czarnych jak heban włosów zajęła rozpoznawalna burza blond loków. Latynoscy fani zarzucali jej wówczas sprzedanie się amerykańskiemu biznesowi, a pofarbowane włosy odczytywano jako ustępstwo wobec zachodnich kanonów piękna i utratę tożsamości kulturowej.

Pierwszy album, w którym część utworów śpiewa po angielsku – „Laundry Service" (Pralnia) – wypuściła w 2001 r. To właśnie z niego pochodzi jeden z największych przebojów, który katapultował ją do światowej kariery: „Whenever, Wherever" (Kiedykolwiek, gdziekolwiek). Później było już tylko lepiej.

Wpływ Shakiry na globalną kulturę jest nie do zbagatelizowania. Artystka otworzyła uszy świata na bogactwo latynoskich dźwięków. Pokazała, że Latynosi mają własny głos, z którym należy się liczyć, a Kolumbia jest ważnym miejscem na mapie światowego popu. Kraj zyskał nową atrakcyjną twarz, inną niż twarz kokainowego barona Escobara.

Kończąc list do „El País", Shakira odrzuca fatalizm powieści Márqueza. Pisze: „Być może nie ma powodu, dla którego samotność miałaby trwać sto lat".

© MARTYNA LESZCZYŃSKA

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Festiwal Łódź Wielu Kultur 2026

FESTIWAL ŁÓDŹ WIELU KULTUR 2026 odbywa się w formule kroczącej – od maja do listopada, z kulminacyjnym weekendem **17–20 WRZEŚNIA.** Jak co roku w programie: koncerty, spektakle, performance, wystawy i spotkania dla publiczności w każdym wieku. Tegoroczna edycja to wielogłosowa opowieść o pamięci, tożsamości, solidarności i możliwościach wspólnego istnienia.

Festiwal otworzy premierowy koncert **WSPÓŁGŁOSÓW** z udziałem m.in. Magdaleny Koleśnik, Bartka Bielenia, Błażeja Króla i Tomasza Kota. W programie znalazły się także spektakl „**NIREŃSKA. PRÓBA OTWARTA**" Mai Kleczewskiej z Agnieszką Przepiórską, wystawa zbiorowa „**NA KRAWĘDZI CHAOSU**", wydarzenia poświęcone Kulturze Głuchych oraz **MIASTECZKO**



HAWA / MATERIAŁ PRASOWY

Koncert Shofar, 10.09.2023. fot. HaWa

FESTIWALOWE W PARKU OCALAŁYCH. Na festiwalowej scenie wystąpią Rasm Almashan, Rasha Nahas i Shkoon. W kolejnych miesiącach do Łodzi przyjadą m.in. **LE TRIO JOUBRAN, DEBORAH FELDMAN, MICHAEL SFARD, DANIEL KOTOWSKI I NOAM SHUSTER-ELIASSI.**

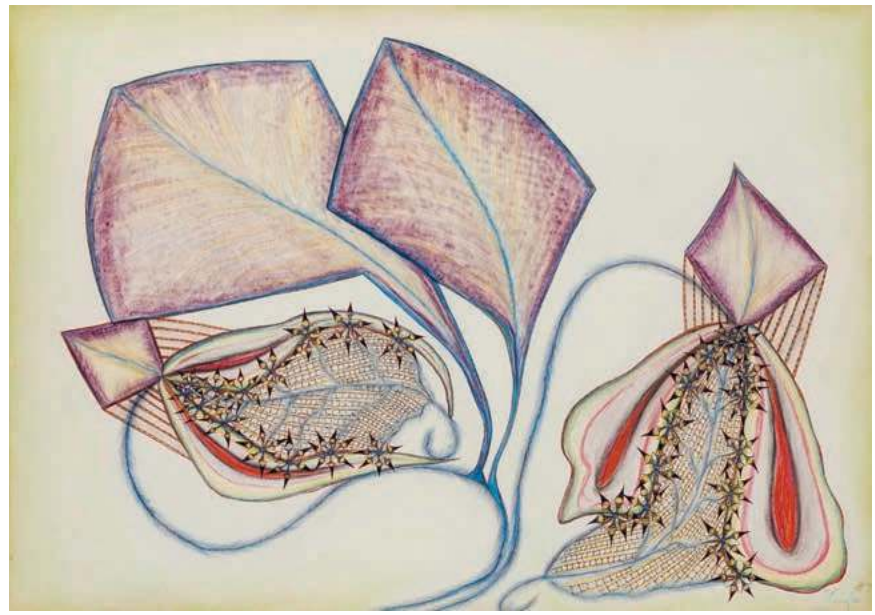
Czytaj więcej na: **LODZWIELUKULTUR.PL**

eprasa.pl ed1902df8f

Botanika duszy

PIOTR KOSIEWSKI

WYSTAWA | Czeski spirytualizm to jedno z najciekawszych zjawisk przełomu XIX i XX w. Wystawa w Muzeum Śląskim przybliża sztukę, która była z nim związana.



MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM ŚLĄSKIEGO X3

Anna Zemánková, bez tytułu, połowa lat 60. XX wieku

Spirytualizm to zjawisko, o którym pamięta się dziś jako o ciekawostce z przeszłości, jeśli w ogóle. Tymczasem w drugiej połowie XIX i pierwszych dekadach XX wieku przyciągał on i elity (fascynowali się nim Henri Bergson, Arthur Conan Doyle, Victor Hugo czy Lew Tołstoj), i szerokie grono odbiorców. Założone przez Allana Kardeca, kluczową postać dla jego rozwoju, pismo „La Revue spirite" w samej Francji miało blisko 500 tys. czytelników. A Madame Blavatsky, rosyjska mistyczka i medium, założycielka Towarzystwa Teozoficznego, osiągnęła status międzynarodowej celebrytki.

Czeski duch

W Polsce spirytualizm także znalazł wyznawców, jednak skali zainteresowania, jakie budził u nas, nie dało się porównać z tym, co działo się w Czechach i na Słowacji. Tam było to zjawisko niemalże masowe, o skali nieznajdującej odpowiednika w całej Europie. Pod koniec XIX wieku w samych tylko Czechach było ok. 60 tys. spirytystów, a na początku lat 20. XX wieku w całej Czechosłowacji - ok. 300 tys. Wydawano pisma, organizowano seanse mediumiczne.

Niezwykłym fenomenem były również liczne wystawy rysunków mediumicznych – i właśnie o tym przejawie spirytualizmu przypomina wystawa zorganizowana przez Muzeum Śląskie w Katowicach. Miał on zresztą istotne znaczenie dla sztuki pierwszych dekad XX wieku. Spirytualizmem interesował się František Kupka, jeden z współtwórców malarstwa abstrakcyjnego. Rysunki mediumiczne podziwiał Josef Čapek, ważny przedstawiciel czeskiej awangardy, i Jan Zrzavý, jedna z legend tamtejszego realizmu magicznego.



Josef Kotzian, bez tytułu, 1943 r.

Adéla Ducháčová, bez tytułu, lata 1910-1939



Kwiaty innych światów

Na wystawie w Muzeum Śląskim znalazły się prace powstałe w ubiegłym wieku. Wszystkie wypożyczono z Muzeum Sztuki w Ołomuńcu, które posiada jedną z najciekawszych w Europie kolekcji *art brut* (pojęcie wymyślone przez Jeana Dubuffeta, zafascynowanego pracami twórców, o których pisał, że są niezbrukani kulturą artystyczną). Z tego zbioru kuratorki katowickiej ekspozycji wybrały jedynie dzieła, w których pojawiają się kwiaty. Nieprzypadkowo: kwiaty odgrywały w tradycjach spirytystycznych szczególną rolę. Były, jak piszą twórczynie wystawy, „botaniką duszy", posłańcami „innych światów". Pomostem między materią a duchem, ale też ucieleśnieniem cyklu życia: delikatne, szybko ulegające upływowi czasu – rozkwitowi, więdnięciu i powstawaniu na nowo w kolejnym wcieleniu. Wreszcie, kwiaty uznawano za potwierdzenie obecności sił wyższych.

Znaczna część prac powstała w ostatnich latach monarchii Habsburgów i dwudziestoleciu międzywojennym, czyli w czasach największego rozkwitu spirytualizmu na tych terenach. Przy czym tworzący nie przypisywali autorstwa tych dzieł sobie. Uważali się raczej ↦

eprasa.pl ed1902df8f



MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM ŚLĄSKIEGO X3

Václav Groul, bez tytułu, 1948 r.



Anna Zemánková, bez tytułu, połowa lat 60. XX wieku

↦ za pośredników. Stanislav J. Běloradský, jeden z pierwszych propagatorów sztuki mediumistycznej, mówił o Josefie Kotzianie: jest przekonany, że „to nie on je rysuje". Prace mediumiczne miały być wynikiem połączenia z innymi, niewidzialnymi światami, z duchami czy istotami z innych planet. Inną formą tworzenia. „Rysunek mediumiczny jest czymś bardzo pierwotnym, podstawowym, niezbędnym, prawdopodobnie także znacznie bardziej naturalnym niż sztuka" – pisał Jan Švankmajer, autor m.in. kultowych obecnie filmów animowanych.

Adonis, Alfons, Maximus

Sposób tworzenia autorów rysunków mediumicznych był bliski praktyce surrealistów, ich *écriture automatique* – zapisom przypadkowych zdań i ich ciągów, odtwarzających „rzeczywisty bieg myśli", by w ten sposób ujawnić prawdę ukrytą w podświadomości. Twórcy mediumiczni także ujawniali, co jest niewidoczne. Zaznaczali czasami nawet daty, czas trwania połączenia, a nawet imiona tych, którzy ich inspirowali. Adéla Ducháčová notowała w swych pracach, że powstały pod wpływem Adonisa, Alfonsa, Maximusa i wielu innych duchów. I sumiennie informowała, że wykonanie rysunku, czyli połączenia z tymi istotami, zajęło jej, przykładowo, 1,5 godziny. Josef Kotzian, który za życia zdobył międzynarodowe uznanie jako rysujące medium, podpisywał swe prace imieniem „ducha przewodniego" Solferino.

Pochodzili głównie ze wsi i miasteczek. Adéla Ducháčová była gospodynią domową, Václav Groul krawcem męskim, a Anna Haskel produkowała masło. Nie wiadomo, czy myśleli o swych pracach w kategoriach artystycznych. Noszą one jednak bardzo indywidualny charakter i jako dzieła sztuki mogą być postrzegane. Kotzian precyzyjnie, wręcz rygorystycznie przedstawiał rośliny z ich masywnymi liśćmi i drobnymi kwiatami. Przekształcał je w ornamenty. Groul malował – temperą i akwarelami – dopracowane, bardzo skomplikowane obrazy, w których geometryczne wzory uzupełniał o motywy kwiatowe. Ducháčová nadawała każdemu rysunkowi charakter tego, kto ją inspirował. Motywy roślinne, w które czasami wpisywała twarze, uzupełniała wierszami o treści moralizatorskiej.

Dialog ze zmarłym mężem

Kres bujnie rozwijającemu się ruchowi spirytystów przyniósł w Czechosłowacji rok 1938. Niemcy ograniczyli jego działalność, a władze komunistyczne ostatecznie go zlikwidowały (ostatni zjazd członków ruchu odbył się w 1947 r.). Mienie przejęto, zniszczono m.in. bogatą bibliotekę i archiwum organizacji Spiritistický spolek Bratrství. Jednak rysunki mediumiczne powstawały przez cały powojenny okres, tworzone przede wszystkim przez młodsze pokolenie, urodzone już w XX wieku.

Jedną z jego przedstawicielek była Cecilie Marková, z zawodu modystka, która po śmierci męża zaczęła rysować. Robiła to do końca życia, a tworzenie stało się dla niej formą dialogu ze zmarłym. W swych pracach – w późniejszych czasach także malowała obrazy – przekształcała kwiaty w niemalże abstrakcyjne, płynne formy.

Dzieła mediumiczne tworzyła także Anna Zemánková. Z wykształcenia była technikiem dentystycznym. Prowadziła nawet z sukcesem własny zakład, jednak po ślubie przez lata zajmowała się tylko domem. Zaczęła tworzyć późno, po pięćdziesiątce, rysowanie zaś, a potem też ma-

eprasa.pl ed1902df8f

lowanie, stało się dla niej formą radzenia sobie z chorobą. Sposobem na uporządkowanie otaczającego ją świata.

Jej przedstawienia roślin są niezwykłe. To fantastyczne kwiaty i owoce, nierzeczywiste, rajskie, jak sama podkreślała – piękniejsze niż te, które istnieją w realnym świecie. Z czasem stały się niemalże abstrakcyjnymi formami, zdawały się wibrować. Jakby chciała w obrazach oddać dźwięki, rytm, melodię – Anna Zemánková była wielbicielką muzyki i zawsze, tworząc, jej słuchała. Nieustannie też poszukiwała. W jednej z rozmów opowiadała: „Robię szkic i zmieniam go, aż mi się spodoba, a potem dodaję do niego kolory. Czasami jest to łatwe, ale czasami nie. A kiedy coś tworzę, zawsze powtarzam sobie, że już się tego trzymam. I jestem przekonana, że nie pójdę dalej. Ale potem wciąż wymyślam coś nowego. I to staje się fascynujące... To mnie napędza". Sięgała zatem po rozmaite techniki: od pasteli, kredek po tkaniny czy koraliki, które włączała w swe dzieła.

Zemánkovą doceniono za życia. Jej prace nie tylko trafiły do muzeów zbierających *art brut*, ale też m.in. do paryskiego Centre Pompidou, wiedeńskiej Albertiny i Museum of Fine Arts w Bostonie. Pokazano je na głównej wystawie Biennale Sztuki w Wenecji w 2013 r. i ponownie w 2024 r. Jednak czy jej twórczość, podobnie jak wielu innych twórczyń i twórców, może być prezentowana jako sztuka, bez dodawania rozmytych przymiotników: naiwna, nieprofesjonalna, ludowa? Nie trafiać do szufladki o nazwie *art brut*?



Anna Zemánková, bez tytułu, ok. 1965 r.

KWIATY INNYCH ŚWIATÓW. ANNA ZEMÁNKOVÁ, CECILIE MARKOVÁ, MARIE KODOVSKÁ ORAZ CZESCY SPIRYTYŚCI,
kuratorki: Šárka Bělšíková, Anežka Šimková, Sonia Wilk.
Katowice, Muzeum Śląskie,
wystawa czynna do 27 października br.

Korzenie modernizmu

Wystawa „Kwiaty innych światów" to dobra okazja do postawienia pytań o miejsce tej twórczości w kanonie. Nie jest też przypadkiem, że zorganizowano ją właśnie w Muzeum Śląskim. Od czasu jego reaktywacji w 1984 r. gromadzi twórczość artystów i artystek związanych z *art brut*. Obecnie muzeum to ma jedną z najbardziej reprezentatywnych kolekcji w Polsce, prowadzi przemyślaną politykę czasowych wystaw tej sztuki, a jego stała Galeria Plastyki Nieprofesjonalnej jest jedyną tak obszerną ekspozycją tej twórczości w kraju. Bezpośrednio sąsiadującą z ekspozycją sztuki polskiej XIX i XX wieku, a jednak odrębną.

„Kwiaty..." są ważne także z innego powodu. Nowoczesność przyniosła „odczarowanie świata". Odrzucenie irracjonalnego, nadprzyrodzonego i niewytłumaczalnego. Jednak modernizm miał także inne, pozaracjonalne korzenie, związane z fascynacją metafizyką, ezoteryką czy okultyzmem. Wpłynęło to znacznie na powstanie awangardy, na Kandinskiego, Malewicza czy Mondriana.

Pomijanie pozaracjonalnych korzeni pozbawia sztukę czegoś istotnego. I nadal aktualnego, zwłaszcza dzisiaj, w czasach niepewności. Nieprzypadkowo młode pokolenie artystek i artystów coraz częściej wraca do wierzeń, mitów, spirytualizmu czy magii.

© PIOTR KOSIEWSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Sklep „Tygodnika Powszechnego"



DO CZYTANIA | DO NOSZENIA | DO KUPIENIA

SPRAWDŹ
sklep.TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl ed1902df8f

Polski monument man

TOMASZ SIEWIERSKI, WSPÓŁAUTOR BIOGRAFII KAROLA ESTREICHERA:

KSIĄŻKA | To z jego inspiracji narodził się amerykański oddział wojskowo-muzealny Monuments Men, sfilmowany kilka lat temu z Clooneyem w roli głównej.

JACEK STAWISKI: Choć był tak wyrazistą postacią, Karol Estreicher zniknął nam z krajobrazu myślenia o kulturze polskiej.

TOMASZ SIEWIERSKI: Tak, zdecydowanie jest zapomniany. Odnoszę wrażenie, że dużo osób nie chce o nim pamiętać bądź nie ma chęci kultywować pamięci o nim. Obecnie, ponad 40 lat od śmierci Karola Estreichera, świadków jego życia pozostało niewielu. Za to jego osiągnięcia są nie do przecenienia i ich aktualność rośnie. Trudno sobie wyobrazić dzisiejszy krajobraz Krakowa bez uniwersyteckiego muzeum w Collegium Maius w tym kształcie, w jakim je znamy. Albo Kościół Mariacki bez ołtarza Wita Stwosza czy Muzeum Narodowe bez dwóch z trzech najważniejszych obrazów z kolekcji Czartoryskich, czyli „Pejzażu z miłosiernym Samarytaninem" Rembrandta i „Damy z łasiczką" Leonarda da Vinci. Taki Kraków zawdzięczamy Estreicherowi.

Jego zasługi się do tego nie ograniczają.

Wiele dzieł zrabowanych podczas okupacji niemieckiej wróciło do kolekcji w innych polskich miastach. Zawdzięczamy je jego akcjom rewindykacyjnym po 1945 r.

Piszecie w książce, że sporo osób odmawiało podzielenia się wspomnieniami o nim. Biorąc pod uwagę jego zasługi dla kultury polskiej i ratowania dziedzictwa po katastrofie II wojny światowej, to wręcz zdumiewa.

To nie pierwsza biografia, nad którą pracowałem, ale po raz pierwszy zdarzyło mi się, że tyle osób odmówiło rozmowy lub mnie zbywało.

Dlaczego?

Karol Estreicher nie pozostawiał ludzi obojętnymi. Kluczem był jego nieprawdopodobnie trudny charakter. Ta wybuchowość, gra emocjami. Potrafił być, mówiąc delikatnie, nieuprzejmy. Bywał porywczy, zdarzało się, że wulgarny. Apodyktyczny, uparty. Trudno się z nim współpracowało. Ale dzięki tym samym cechom udało mu się osiągnąć bardzo wiele.

Drugie źródło niechęci do Estreichera to pozostawione przezeń dzienniki, które prowadził od 1939 do śmierci w 1984 r. Na początku XXI w. ukazały się drukiem: siedem opasłych, około tysiącstronicowych tomów. To publikacja praktycznie bez naukowego aparatu. W istocie to przepisane codzienne notatki, którymi pośmiertnie obraził zza grobu kolejne osoby, które być może byłyby mu bardziej przyjazne. I te „Dzienniki wypadków" zaktualizowały listę jego wrogów.

„Dzienniki" były podstawowym źródłem przy pisaniu biografii?

Staraliśmy się, żeby to nie było główne źródło, chociaż jest ono bardzo atrakcyjne ze względu na rozmiar, szczegółowość, zakres poruszanych przez autora zagadnień. Zwłaszcza gdy chodzi o okres wojenny i losy polskiej kultury. Estreicher drobiazgowo relacjonuje działania związane z poszukiwaniem zrabowanych dzieł sztuki i zabytków.

Natomiast dzienniki te mają warstwę trudną do przebrnięcia dla krytycznego czytelnika. Ma się często wrażenie, że autor na koniec dnia otwiera butelkę wina, sięga po pióro i zaczyna przelewać na papier wszystkie frustracje i złości, nie szczędząc przykrych komentarzy pod adresem bliskich i dalszych znajomych i współpracowników.

W czasie II wojny światowej Estreicher przebywa na emigracji, jest aktywny politycznie. Po czym po 1945 r. nagle decyduje się na powrót do komunistycznej Polski. Czy da się to usprawiedliwić tym, że chciał się poświęcić odzyskiwaniu dóbr kultury?

Nie szukałbym usprawiedliwienia, gdyż ta decyzja nie nosiła w sobie cech kompromisu moralnego. Przeciwnie, mam wrażenie, że była konsekwencją jego przekonania, które nosił w sobie od chwili, gdy jesienią 1939 r. opuszczał Polskę. To znaczy, że po zakończeniu wojny wróciłby do każdej Polski, jaka by nie była. I do Krakowa. To miasto było dla niego sumą najważniejszych wartości, które miał w sercu i głowie.

Lekceważył chyba grozę płynącą z nowego ustroju. Miałem wrażenie nieodpowiedzialności, towarzyszącej jego działaniom. Zwożenie do Krakowa „Damy z łasiczką", „Miłosiernego Samarytanina" czy innych ważnych zabytków w 1946 r. mogło przerodzić się w grabież ze strony wschodnich sąsiadów. On zupełnie nie brał tej okoliczności pod uwagę, co mnie trochę zaskakuje.

Z drugiej strony, jak dziś wiemy, Polska powojenna, jaka by nie była, odzyskiwała to, co mogła odzyskać. Gdyby nie było wtedy rewindykacji dóbr kultury, w czym Estreicher miał wielki udział, mogłyby one zostać trwale utracone.

Niewykluczone. Mogłyby znaleźć się np. w Ameryce Południowej. W tym sensie historia przyznała mu rację. Historia mu zresztą sprzyjała, bo po wojnie u szczytu władzy znalazł się jego znajomy, Józef Cyrankiewicz, premier PRL do 1970 r. Żonie Karola, Teresie Lasockiej-Estreicher, zawdzięczał on życie: z ramienia AK pomagała mu jako więźniowi Auschwitz. Karol Estreicher mógł na nim zawsze polegać, prosić go o wszystko i czuć się bezpieczny, czasem nawet bezkarny. Zawsze miał go po swej stronie.

Estreicher korzystał z tego do działań na rzecz dóbr kultury?

Koronnym dowodem jest tu sprytne wpisanie przebudowy i renowacji Collegium Maius w... stalinowski gospodarczy Plan Sześcioletni. W tamtych czasach to był nie lada wyczyn.

Gdy mówimy o odzyskiwaniu polskich dóbr kultury z Niemiec, dziś wydaje nam się, że to była oczywistość. Ale przecież tak nie było.

eprasa.pl ed1902df8f



MONUMENTS MEN AND WOMEN FOUNDATION

Karol Estreicher (drugi z lewej, w mundurze armii polskiej na Zachodzie) i amerykańscy żołnierze z oddziału „Monuments Men" prezentują odzyskany obraz „Dama z łasiczką". Norymberga, 1946 r.



Tomasz Siewierski, Artur Wójcik, **KAROL ESTREICHER,** *wyd. PIW, Warszawa 2026.*

Przede wszystkim sam transport nie był rzeczą prostą, powrót dzieł sztuki do Krakowa był iście brawurowy. Amerykanie też nie chcieli lekką ręką wszystkiego od razu wydawać. Kluczową sprawą było doskonałe przygotowanie Estreichera i jego upór. Amerykanie dość szybko mieli go dosyć ze względu na jego charakter i z pewnością ktoś mógł tam pomyśleć: „Niech on już sobie weźmie to, co chce, tylko żeby dał nam tutaj spokój". Trochę żartuję, chociaż wiem, że nie był łatwym partnerem dla Amerykanów. Natomiast istotne jest tutaj jednak bardziej jego znakomite przygotowanie. Karol Estreicher wiosną 1945 r. w Norymberdze, w amerykańskiej strefie okupacyjnej, nie pojawił się jako całkiem anonimowy człowiek. W latach 1942/43 odbył wielomiesięczną podróż do Stanów Zjednoczonych, gdzie przedstawił się najważniejszym dyrektorom galerii, muzeów i kuratorom. Miał wówczas wszelkie poparcie i pełnomocnictwa od premiera Władysława Sikorskiego, żeby reprezentować Polskę w sprawach rewindykacji.

W USA odbył szereg spotkań, wygłosił wiele wykładów, w których prezentował swoje pomysły na kwestie odzyskiwania dóbr kultury. Inspirował Amerykanów do integrowania działań w skali międzynarodowej. Być może bez zapału Estreichera nie narodziłby się słynny amerykański oddział Monuments Men. Jego historię, pełną sensacyjnych wydarzeń, w 2014 r. przypomniał George Clooney, reżyser filmu o losach tej jednostki. Zresztą tłem do napisów tego filmu są oryginalne fotografie z akcji rewindykacyjnych. Na niektórych z nich możemy zobaczyć Karola Estreicha w mundurze wraz z „Damą z łasiczką" na tle pociągu, oraz z jedną z rzeźb ołtarzowych Wita Stwosza w bunkrze w Norymberdze.

Nie był więc tam postacią anonimową.

Przeciwnie, był ceniony, rozpoznawalny. Do Norymbergi przyjechał z dwutomowym katalogiem strat polskiej kultury, który przygotował wraz ze swoim londyńskim zespołem, wszystko było tam drobiazgowo udokumentowane. Ten katalog rozdał amerykańskim żołnierzom, poszukującym dzieł sztuki.

Był całym sercem zaangażowany w tę sprawę. Wyobrażam sobie, że potrafił być nieugięty i może wręcz namolny, nie poddawał się zniechęceniu. Zwłaszcza Ołtarz Mariacki, który przywrócił Krakowowi w kwietniu 1946 r., stanowił jego obsesję. Uratował też arrasy wawelskie. Dzięki niemu po wojnie znajdowały się w Ameryce Północnej, do Polski wróciły w 1961 r. z wielką fetą: odegrał szczególną rolę przy ich wywiezieniu do Anglii z Francji po jej kapitulacji w 1940 r., potem zaś udało się je wysłać z Anglii do Kanady.

Co warto dalej badać, gdy idzie o życie Estreichera?

Od samego początku ogromną kontrowersją w moim odbiorze był jego testament. U schyłku życia, będąc skłócony z Uniwersytetem Jagiellońskim, poobrażany na wszystkich śmiertelnie, sprzeniewierzył się tym ideom, które kierowały nim przez lata wojny i trzy powojenne dekady. Myślę tu o zorganizowaniu londyńskiej placówki rewindykacyjnej i akcjach rewindykacyjnych, a potem budowie, organizacji i wyposażeniu Muzeum UJ.

Pierwotne plany Estreichera były oczywiste. Cała wielopokoleniowa spuścizna Estreicherów w Krakowie, od Dominika Österreichera w 2. połowie XVIII w., przez kolejnych Estreicherów, miała trafić do Uniwersytetu Jagiellońskiego i stać się częścią zasobu muzeum akademickiego. Przecież historia tej rodziny to po prostu historia krakowskiego uniwersytetu.

Ale złożony śmiertelną chorobą Estreicher zmienił zdanie i przekazał cały swój majątek Towarzystwu Przyjaciół Sztuk Pięknych, z czego wynikło mnóstwo problemów. Towarzystwo, którym sam przez lata kierował, nie posiada ani zaplecza naukowego z jednej strony, ani gwarancji finansowych, żeby taką spuścizną móc się opiekować. Ma ono bardzo ograniczone możliwości działania. A my do dziś nie wiemy, co jeszcze kryją pozostawione przez Estreichera teczki i pudła. Może ktoś kiedyś dostanie pełny dostęp do tych materiałów i będzie mógł napisać zupełnie inną biografię Karola Estreichera.

O amerykańskich Monuments Men powstał film. Może kiedyś powstanie o Estreicherze?

Byłby idealnym bohaterem filmu fabularnego, ze względu na jego charakter i na sprawy, którymi się zajmował, a także na ludzi, którymi się otaczał. Filmu z wartką akcją. Mam nadzieję, że ktoś kiedyś go nakręci.

©℗ Rozmawiał JACEK STAWISKI

eprasa.pl ed1902df8f

Nioska na gigancie

ANITA PIOTROWSKA

FILM | Węgierski reżyser zatroskanym wzrokiem patrzy na Stary Kontynent i na całą ludzkość w obłędzie. Wzrokiem zwierzęcia.



MATERIAŁY PRASOWE

Spośród naszych braci i sióstr mniejszych kura ciągle zajmuje miejsce poślednie, typowo użytkowe, jako tak zwany drób nieśny i mięsny. Nie licząc oczywiście gatunków ozdobnych, hodowanych na przykład przez malarza Leona Tarasewicza. Kura domowa najwyraźniej nie zasłużyła sobie na ludzką uwagę, a tym bardziej na uwiecznienie jej „w sztukach" – dotychczas zdarzało się to nader rzadko.

Tym większą prowokacją zdaje się fabularny film Györgya Pálfiego. Rozpoczyna się na przemysłowej fermie, w miejscu koszmarnym i na co dzień ukrytym przed naszym wzrokiem, lecz film nie idzie śladem krytycznych dokumentów w rodzaju „Gundy" (2020) Victora Kossakovsky'ego czy „Krowy" (2021) Andrei Arnold. „Kura" zabiera nas w szaloną podróż, w której czarna osobniczka rasy leghorn staje się nie tylko naszą przewodniczką, ale i obserwatorką ludzkiego szaleństwa. „Zagraną" przez osiem kur, wymienionych po imieniu w napisach końcowych.

Pierwsze w tym filmie jest jajko i wykluty z niego kolorystyczny odmieniec – „brzydkie kurczątko", które przejdzie co prawda pierwszą selekcję na taśmie, za to w dorosłej postaci, zanim podzieli los milionów brojlerów czy innych niosek, zostanie od razu przeznaczone na rosół. Po czym zdoła uciec swemu przeznaczeniu. „Kura" nie jest jednak opowieścią w stylu animowanych „Uciekających kurczaków". Kamera od początku przyjmuje punkt widzenia zwierzęcia, naśladuje jego percepcję, aczkolwiek Pálfi raczej unika naiwnej antropomorfizacji.

Film o przygodach Kury „na gigancie" pod wieloma względami przypomina „IO" (2022) Jerzego Skolimowskiego, inspirowany dziełem Roberta Bressona „Na los szczęścia, Baltazarze" (1966). Przypomnijmy: w polskim filmie wyzwolony z cyrku osiołek wędrował po Europie, stając się rodzajem medium wyczulonym na rozmaite patologie współczesności, z faszyzacją na czele. W scenariuszu węgierskiego reżysera bywa podobnie, jakkolwiek jego film daleki jest od tamtej nadekspresji i pod tym względem bliżej mu do kina dokumentalnego. Rzecz dzieje się we współczesnej Grecji, bardzo odległej od wakacyjnych klimatów. Mamy tu jakieś drogi szybkiego ruchu, stacje benzynowe, małomiasteczkowe bazary i podupadłą tawernę o nazwie „Panorama". Z widokiem na turkusowe morze, ale na zapleczu dzieją się rzeczy, o których turysta wolałby nie wiedzieć. Czyli przemyt towarów, a w końcu także i ludzi, bowiem lokalny gang szmuglerów upatrzył sobie właśnie tę miejscówkę na punkt przerzutowy nielegalnych imigrantów. Spojrzenie pierzastej bohaterki wnosi rys zdumienia i grozy, a zarazem, podobnie jak w „IO", nieco sowizdrzalski ton.

Wpisanie „Kury" w kryzys uchodźczy miało nadać tej historii większy ciężar, lecz film najlepszy wydaje się w tych scenach, kiedy po prostu idzie za tytułową postacią. I pozwala nam odczuwać całą jej osobliwą „kurzość": bycie kimś innym w morzu żółtych kurczaków, zaciekawienie światem, bezustanne ryzyko. Bo nie tylko ludzie zagrażają Kurze na każdym kroku; tak samo niebezpieczne może być spotkanie z lisem, psem czy drapieżnym ptakiem. Chociaż Pálfi nie próbuje na siłę moralizować, pozwala dostrzec różnicę pomiędzy tym naturalnym porządkiem a masową produkcją niskiej jakości mięsa i jaj. Nawet wówczas, gdy Kura, znosząca jajka w różnych dziwnych miejscach, przyczyni się niechcący do tragedii. W tym sensie film przywraca zwierzęciu podmiotowość i to ludzki świat okaże się najbardziej nieludzki.

Pewnie dlatego dwunożni bohaterowie nie mają w tym filmie imion, jest Właściciel Restauracji, Dziewczynka, Przemytnik, Policjant... I jedynie pierwszy z nich wykazuje jakieś człowiecze cechy, zwłaszcza po tym, jak Kura po wyjściu z kolejnych tarapatów (a ma do nich nadzwyczajny talent) wymaga opieki. Jednak reżyser wykracza poza ramy przypowieści, co i raz skręcając w kino przygodowe, to znów sensacyjne czy w dramat społeczny. Albo nawet romans, choć wtedy bywa też najbardziej komediowo. Zalotom w kurniku towarzyszą bowiem rzewne greckie piosenki, podobnie jak zwokalizowane „Bolero" Ravela ilustruje kurzą codzienność na wolnym wybiegu. I znowu: na większe utożsamienie z bohaterką pozwalają nam nie te momenty, kiedy Pálfi każe obserwować Kurze typowo ludzkie sprawy i bawi się muzyką, lecz gdy

eprasa.pl ed1902df8f



KURA (KOTA)
– reż. György Pálfi. Prod. Węgry/Niemcy/ /Grecja 2025. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 18 września.

György Pálfi to jeden z najoryginalniejszych reżyserów węgierskich. Zadebiutował filmem „Czkawka" (2002), za „Taxidermię" (2006) został doceniony na Sundance, a „Panie, panowie – ostatnie cięcie" (2012), zmontowane z ok. 500 fragmentów innych filmów, było wydarzeniem wielu festiwali. „Swobodne opadanie" (2014) przyniosło mu nagrodę za reżyserię w Karlowych Warach.

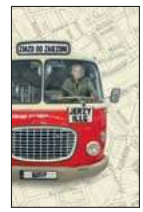
Na zdjęciu: kadr z filmu „Kura"

odtwarza zwierzęce postrzeganie. Na przykład tworząc na ścieżce dźwiękowej surrealistyczną kakofonię ludzkich głosów i dźwięków.

Bez wspomnianych atrakcji sama Kura zapewne nie uciągnęłaby fabuły, stąd i takie trochę wydumane scenki, jak przyglądanie się zza szyby gospodarzowi robiącemu jajecznicę (po uprzednim oczyszczeniu jej z kurzych zarodków) czy oglądanie w telewizji filmu o dinozaurach – poniekąd dalekich przodkach naszej bohaterki. Jej kokoszenie się w domu i zagrodzie wnosi kontrapunkt do ponurej rzeczywistości, gdzie liczy się przede wszystkim tępa przemoc i zysk. Węgierski reżyser, podobnie jak Skolimowski w „IO", zatroskanym wzrokiem patrzy na Stary Kontynent i na całą ludzkość w obłędzie. A że ów wzrok należy w filmie do zwierzęcia i pada tutaj niewiele słów, jest to w pewnym sensie podzwonne dla *Homo sapiens*. Dla gatunku, który konsekwentnie dąży do samozniszczenia, wręcz kanibalizacji, choć życia, odradzającego się w innych formach, nic przecież nie zmoże.

Pálfi wie, że mało kto szczerze zapłacze nad losem kury, i na szczęcie nie zmusza nas do tego. Mieliśmy już kino kręcone z punktu widzenia krowy, świni, osła, a nawet z perspektywy drzewa („Milcząca przyjaciółka" Ildikó Enyedi) i za każdym razem była w tym jakaś uzurpacja, a w najlepszym razie fantazja o tym, jak nas widzą zwierzęta czy rośliny. Toteż film Węgra, nakręcony jeszcze w czasach Orbána, rzecz jasna z finansowym wsparciem innych krajów, w pierwszej kolejności miał opowiadać o czymś zgoła innym – o zdesperowanych ludziach przypływających do Europy, o przestępczym procederze, braku sensownej polityki imigracyjnej. Za pośrednictwem Kury film daje nam jednak lekcję innej, szerszej wrażliwości. Bez efektów specjalnych i zaawansowanych badań etologicznych podąża za zwierzęciem, w którego spojrzeniu odbijają się absurdy tego świata. Opartego na ekstensywnej eksploatacji innych istot żywych, podczas gdy w świecie Kury liczy się po prostu przetrwanie. W ten sposób Pálfi prowokuje do refleksji nad naszym miejscem w różnych pokarmowych łańcuchach. ©

Lektor:
Kronika zachwytów



▪ *Jerzy Illg*
ZJAZD DO ZAJEZDNI
Wydawnictwo Znak, Kraków 2026, ss. 416.

Może czeka na nas na końcu drogi spokojna przystań, a może tylko zajezdnia dla wysłużonych autobusów? Cóż, wszyscy się przekonamy. Tytuł „Zjazd do zajezdni" doskonale pasuje do książki, która jest podsumowaniem, choć oczywiście niepełnym, czyjegoś życia.

To nie autobiografia – nazwałbym ją raczej „kroniką zachwytów", ułożoną z tekstów wcześniej powstałych. „Miałam dar zachwytu" – powiedziała kiedyś o sobie Irena Szymańska, ważna postać świata wydawniczego powojennej doby. Illg mógłby to za nią powtórzyć – jego pracę w wydawnictwie Znak, którym kierowanie przejął od Jacka Woźniakowskiego, cechowały emocje i pasje. Zachwyt czasem przeradza się w rozczarowanie, ale nie o tym ta książka.

A w ogóle nie jest to tylko spowiedź wydawcy. Illg, zanim trafił do Znaku (do czego przyczynił się stan wojenny), napisał okazały doktorat o powieściach Tadeusza Micińskiego. I właśnie od Micińskiego, najdziwniejszego może z naszych klasyków, ta kronika się zaczyna. Bo to też był zachwyt, badacza i czytelnika – wspaniałymi lirykami, monstrualnymi dramatami, które miały być niesceniczne, czemu kłam zadał ostatnio Jan Klata inscenizując „Termopile polskie", i labiryntowymi strukturami „Nietoty" i „Xiędza Fausta". A także niezwykłym życiorysem.

Dalej jest nie tylko literatura, bo ważne miejsce w tej historii zajmuje kino Andrieja Tarkowskiego. Pisarzom zaś przewodzi Czesław Miłosz, a poświęcona mu część tomu nosi tytuł „Zawsze o Nim" – znaczące zapożyczenie od Stanisława Pigonia, który tak właśnie zatytułował tom prac o Mickiewiczu. Bo Miłosz to dla Illga mistrz największy. Po nim dwaj kolejni autorzy-nobliści wydawani przez Znak, Josif Brodski ze swoją Wenecją i Seamus Heaney. A na kanapie noblistów u państwa Illgów siadywała i Wisława Szymborska...

Norman Davies, Julia Hartwig, Stanisław Barańczak, Wiesław Myśliwski, Ireneusz Kania, Kazimierz Kutz, Janosch, Andrzej Szczeklik. Dwaj bliscy przyjaciele autora, Leon Neuger i Stanisław Balbus. I przyjaciel trzeci, malarz i grafik, nieodżałowany Andrzej Dudziński. Interwencyjny tekst z podziemnego „Vacatu" po aresztowaniu Marka Nowakowskiego. Piękne wspomnienie o młodszym bracie, slawiście Jacku Illgu.

Tak różnorodną całość trudno ogarnąć. Więc na koniec wspomnę tylko o hymnie na cześć Znakowej koleżanki, Marii Makuch. Ponieważ z Maryną – najpierw Pajor, potem Makuch – miałem szczęście przepracować w miesięczniku „Znak" lata 80., mogę tylko zapewnić, że żadne jej pochwały nie są nadmierne. ©℗

eprasa.pl ed1902df8f

PAWEŁ

Bravo:
Wolę fasolę

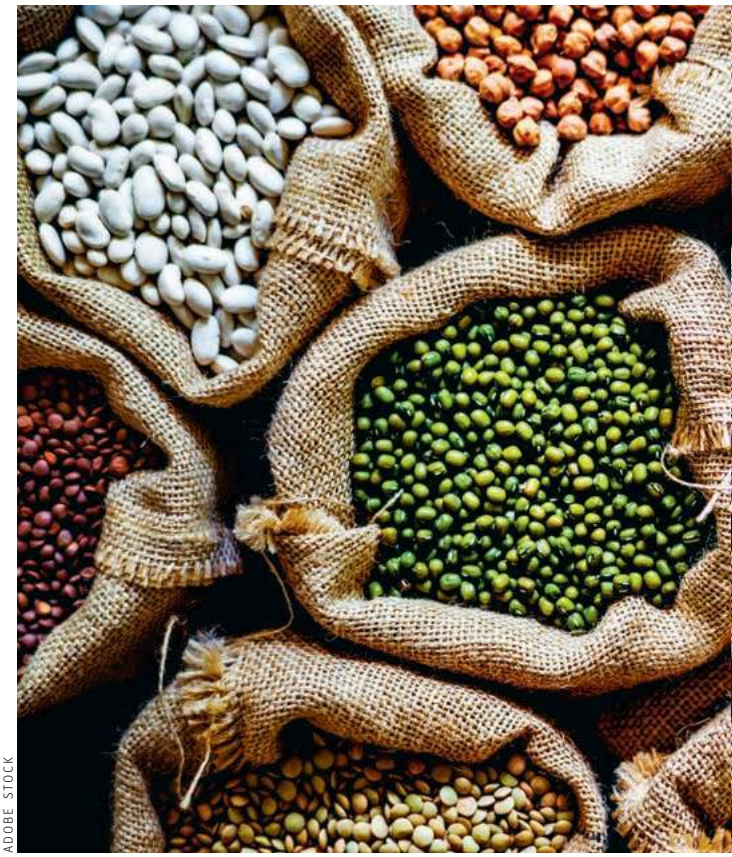


Grochem o ścianę. Idealnie pasuje. Nie mogła być mądrzejsza moja ukochana polszczyzna! Żeby nie było obrazy, włoszczyznę także cenię w jej nieskończonych niuansach dialektalnych i umiem w niej szpetnie zakląć, a ma w zasobie pęczki soczystych bluźnierstw, oj, za samą próbę ich tłumaczenia bym musiał tu przed wami pokutować pół roku klęcząc na – oczywiście – grochu. Ale wolę ją mimo wszystko, kiedy dochodzi w garnku. Polszczyzna za to jest powściągliwsza w przeklinaniu, starczą jej trzy słowa i garść przedrostków, ale za to ma więcej siły przetrwania – wciąż trzyma w użyciu wyrażenia i obrazy słowne dawno oderwane od naszej codzienności. *Zero waste* – jak już raz się upichciło metaforę, to potem się ją odgrzewa w nieskończoność, nawet gdy data przydatności składników dawno minęła.

Wątpię, by istotna część z nas posiadała w domu worek z suszonym grochem i dawała dzieciom do zabawy, np. rzucania o ścianę. A jednak wciąż używamy tego pustego grzechotu, gdy trzeba dać wyraz bezsilnej złości. Np. wobec faktu, że można latami opowiadać dobre rzeczy o roślinach strączkowych. A potem i tak wychodzi polityk, i to taki ponoć kształcony, niestroniący od książek, i używa publicznie fasoli jako obelgi.

Niewdzięczne zadanie sumiennego opisania jałowej połajanki wokół szkolnego jadłospisu spełnił już Michał Kuźmiński. Od niego dowiecie się po kolei i klarownie, co kto brzydkiego nagadał o fasoli (dodając do listy obelg kaszę, jakby chciał pozłocić jeszcze drugi raz litery nazwiska już zapisane w księdze durniów), z jakiej okazji to zrobił i dlaczego to jest bardzo ważne z uwagi na przyszłe losy dzisiejszej dzieciarni oraz kondycję (i koszty!) systemu opieki za czas jakiś, który będzie musiał stawiać czoła jeszcze większej fali chorób powiązanych z otyłością. Zapewne pamiętacie niedawny jego wywiad z Martą Dymek poświęcony właśnie stołówkom. Oba te teksty wystarczają, by zdać sobie sprawę, że nie rozmawiamy o jakichś wąskich technikaliach zbiorowego żywienia, metabolizmu wieku dziecięcego, epidemiologii chorób cywilizacyjnych oraz zmartwieniach dotyczących tylko niewielkiej grupy rodziców szkolnej dziatwy.

Wdzięczny zatem za nakreślenie wszystkich tych społecznych kontekstów, mogę wrócić do rzucania grochem o ścianę. Orka na ugorze też by pasowała. Pamiętajmy, że nawet najbardziej niewydarzony polityk, jeśli wali z retorycznej procy, to wie, że ten jego kamień trafi w czułe miejsca jego elektoratu. Tak, fasola i kasza wciąż są w polskiej świadomości czymś niepełnowartościowym, zastępczym czy wręcz karnym. Przymus jedzenia czegoś za karę ma oczywiście bardzo solidne tradycje, w rzymskich legionach za niesubordynację i inne przewiny nie tylko dziesiątkowano, kazano spać poza obozem, ale i rację pszenicy (ściślej – płaskurki) zamieniano na jęczmień, zboże godne koni i niewolników. Powiedzieć, że polskie pacholę podczas przerwy obiadowej zostanie zmuszone – no bo szkoła to jednak pewna forma klatki – do kaszy z fasolą, to też ma brzmieć jak opowieść o represji.



ADOBE STOCK

Skoro już jesteśmy przy Rzymianach, rzadko w rubryczce wspominanych, bo jadali nieciekawie, to dodajmy na użytek tamtego polityka zainteresowanego ich historią i od nich czerpiącego inspiracje dla wizji państwa, że legioniści te swoje grube tysiące kalorii niezbędne do marszu aż pod granice celtyckich, słowiańskich i germańskich dzikusów czerpali właśnie z pszenicy i strączków, najczęściej grochu i bobu, czasem tylko dodając do kotła kawałek suszonej słoniny, bo tłuszcz lepiej pozwala wchłaniać odżywcze składniki. Cezar w siódmej księdze „Wojny galijskiej" wspomina, że razu pewnego na zimowisku z powodu przerwy w dostawie zboża żołnierze musieli zadowolić się mięsem bydła pozyskanego w pobliskich wioskach i dodaje z zadowoleniem, że z tego powodu nie marudzili – a mieliby do tego prawo, bo tylko zupiszcze z roztartego ziarna z grochem mogło im naprawdę napełnić brzuchy.

Państwowa placówka zajmująca się edukacją żywieniową wydała przewodnik dla szkolnych kucharzy i intendentów pod tytułem „Strączki da się lubić!". Rany boskie! Nie, nie marudzę, broszurka jest świetna, po ludzku ją napisano, zawiera też parę łatwych przepisów na różne placki, potrawki i farsze, a nawet desery, zajrzyjcie do niej. Ale że trzeba narodowi (ta placówka ma oczywiście „narodowe" w nazwie), który przez wieki stłamszenia wyszedł na własnych nogach i w sumie całkiem zdrowy

eprasa.pl ed1902df8f



dzięki grochowi i fasoli oraz kaszy niekiedy cienko omaszczonej, tłumaczyć taką oczywistość?

No dobrze, widocznie trzeba. Powiecie może: strączki są nudne i mdłe. Rzut oka na przepisy z broszurki nie pomaga obalić tego stereotypu, a to przede wszystkim dlatego, że w przepisach jest głównie soczewica i ciecierzyca, jako że mają więcej białka. Ale faktycznie mało się poddają fantazji. A ja wolę fasolę. Cokolwiek gotuję, zaczynam od rzeczy, którą o dziwo potrafi każda chłopska kuchnia Południa, a której nie mamy w tradycji. Kiedy gotujemy fasolę (wiem, to wymaga moczenia, a więc czasu, ale może w weekend...), dodawajmy do wody aromaty. Ząbki czosnku, gałązki rozmarynu, listki szałwii, marchewkę, selera, pół cebuli, pieprz i laur... I może skórka od słoniny lub boczku. Ta woda potem, po odsączeniu ziaren, może służyć do ugotowania w niej makaronu – solo, jak w przepisie na *pasta e fagioli*, albo z małżami, jak w sławnym przepisie z Neapolu. Albo jako bulion do risotta, do którego na koniec dodacie fasolę częściowo przetartą i częściowo całą. Nie ma ograniczeń dla potencjału kuchennego tej cieczy. Ma tylko niekorzystny skutek trawienny – zawiera sporo substancji, od których potem trzeba poluzować pasek. Wiem, to jest krępujący problem. Podobno są na to suplementy, ja jeszcze nie spotkałem skutecznego. Ale gdybyśmy tak wzięli na siebie uboczne skutki fasolowej zupy z myślą, że to na złość? Na złość tym wszystkim politykom, którzy bezkarnie puszczają swoje źle przetrawione myśli prosto w nasze bezbronne nosy.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Zupa zakuta w łańcuchy

Przepisy na dwa co najmniej, o ile pamietam, warianty pasta e fagioli, czyli pysznej zupy fasolowej zagęszczonej skrobią z klusek, znajdziecie w naszym archiwum. Możliwości jest zresztą więcej, to taki przepis obecny pod różnymi nazwami w każdym regionie. Fasola jest też ważna jako składnik toskańskiej ribollity. Istnieje jej pewien wariant – farinata toscana – obecny w różnych miejscach tego regionu, gdzie zupę zagęszcza się kaszką kukurydzianą. W Livorno ma najpiękniejszą nazwę – farinata incatenata – czyli zakuta w łańcuch, bo kukurydza ma ten efekt, że wszystko „wiąże” w ścisłą papkę. A jako stali bywalcy naszego kącika dobrze wiecie, że jeśli kochacie Toskanię – tę prawdziwą, nie polską – to musicie polubić jedzenie gluta.

SKŁADNIKI:
400 g fasoli – najlepiej drobnej białej (w Krakowie nazywa się „igołomska”) 200 g liści jarmużu bez grubych nerwów 1 marchew 1 łodyga selera 1 cebula 2 pomidory bez skóry 100 g polenty błyskawicznej ▪ czosnek ▪ pieprz ▪ oliwa ▪ sól

Moczymy fasolę na noc, dajemy do garnka z dużą ilością zimnej wody z czosnkiem, pieprzem (i ewentualnie kawałeczkiem boczku). Gotujemy do miękkości, soląc dopiero pod koniec, odcedzamy, około połowę miksujemy. Równolegle w dużym garnku dusimy na oliwie siekane drobno cebulę, marchew i selera. Kiedy trochę zmiękną, dodajemy poszarpany jarmuż i pokrojone pomidory, podlewamy odrobiną wody fasolowej, dusimy na wolnym ogniu kilka minut, dodajemy zmiksowaną fasolę i ok. 0,7 l wody fasolowej (lub bulion warzywny albo zwykłą wodę, jeśli chcemy zmniejszyć efekty fasolowych oligosacharydów...) tak, by dobrze przykryć warzywa, gotujemy 10 minut pod przykryciem, odkrywamy i ostrożnie sypiemy polentę, ciągle mieszając. Kiedy już się cała wchłonie, gotujemy jeszcze dwa razy tyle, ile jest podane na jej opakowaniu, mieszając regularnie i uzupełniając wodą, gdyby potrawa nam całkiem „zesztywniała”. Na wydaniu dodajemy niezmiksowane ziarna fasoli, doprawiamy oliwą i garścią sera, najlepiej pecorino. Przepis oryginalny przewiduje użycie grubej mąki kukurydzianej, ale to oznacza, że będziecie musieli ją gotować co najmniej 40 minut, ciągle mieszając. Nie podejrzewam was o taki nadmiar czasu. ©℗



ULIAB / ADOBE STOCK

eprasa.pl ed1902df8f



PSYCHE

W OBRONIE NIEPRZEJRZYSTOŚCI

Camus i Ozon stawiają w „Obcym” pytania i nie dostarczają odpowiedzi.
To wywołuje dyskomfort,
którego źródłom warto się przyjrzeć.

CVETA DIMITROVA

eprasa.pl ed1902df8f



MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

Benjamin Voisin i Rebecca Marder w filmie „Obcy", reż. François Ozon

Dzisiaj umarła mama. A może wczoraj. Nie wiem". Lakoniczne słowa, które otwierają „Obcego" Camusa, są równie ciche i enigmatyczne jak jego bohater – Meursault. Ta zwięzłość w obliczu utraty matki staje się dowodem w sprawie zabójstwa. Sądzony jest nie tyle czyn, co charakter: nieporuszenie, płytka emocjonalność, obcość. Gdy brakuje wyjaśnień i spójnej wykładni, uzupełniamy luki.

FRANÇOIS OZON, choć ponoć jeszcze kilka lat temu się zarzekał, że nigdy nie zabierze się za ekranizację francuskiej klasyki, oddał hołd pierwszej powieści Camusa zaskakującą wiernością treści, obrazu i klimatu – pisała o tym w ostatnim numerze „Tygodnika" Anita Piotrowska. Reżyser nie pomija też warstwy politycznej. Film otwiera archiwalna kronika turystyczna promująca Algier z epoki, zestawiona z materiałem dokumentalnym, co tworzy ramę krytycznego spojrzenia na czas i miejsce akcji. Bezimienny Arab, który pada ofiarą mordu, zyskuje tożsamość i historię. Reżyser nadaje mu imię Moussa, a jego siostrze – Djemila. Ten gest jest symboliczny i znaczący, ale nie przykrywa innych odczytań. Czym innym jest historyczne wymazanie człowieka, a czym innym brak dostępu do jego wnętrza. Pierwszą z tych luk Ozon próbuje wypełnić – historyczna niewidzialność nie jest wszak neutralną tajemnicą. Drugiej nie usuwa.

Kiedy książka Camusa się ukazała, wielu bulwersował brak moralności jej bohatera. Tak sportretowany Meursault zdawał się nie mieć „duszy", a jego prowokacyjna i radykalna forma odmowy uczestnictwa w społecznych normach uderzała. Dziś równie mocno uderza brak wytłumaczenia dla jego czynów, ale przede wszystkim jego nieprzejrzystość – niejasność co do tego, kim jest.

Na sali sądowej dowodem w sprawie zabójstwa staje się cały jego charakter. Łzy czy ich brak na pogrzebie matki, wypita kawa, zapalony papieros – każdy z tych gestów zostaje włączony do narracji mającej doprowadzić do zbrodni. Sąd nie tylko rozstrzyga o winie. Próbuje zbudować spójną opowieść o człowieku, który tę zbrodnię popełnił.

KIEDY WYSZŁAM Z KINA, pomyślałam, że nowa ekranizacja stanowi dobry pretekst, żeby opowiedzieć o figurze obcego – kogoś nieprzystającego, niezrozumiałego, nieczytelnego. Nie tyle o własnym doświadczeniu obcości czy wyobcowania, ile o uczuciu wzbudzanym przez zetknięcie się z tym, co nieczytelne i niedające się jasno zamknąć w dobrze znanych ramach.

Nie mogłam jednak znaleźć dla tego formy, bo tym, co mnie najbardziej poruszyło w tej dopracowanej wizualnie i pieczołowicie wiernej tekstowi ekranizacji, było właśnie niezrozumienie. Warstwa polityczna jest uchwytna: Francuzi tamtego czasu zdają się nie dostrzegać ludności rdzennej i to oni właśnie mogą poruszać się po Algierii bez poczucia obcości. Tym, co komplikuje obraz, jest coś innego, mianowicie brak wewnętrznego motywu, brak introspekcji po stronie bohatera, brak jasności co do jego intencji. Ani Camus, ani Ozon nie dostarczają odpowiedzi. Stawiają pytania. A to wywołuje dyskomfort.

Wiele współczesnych produkcji stara się ten dyskomfort łagodzić, dostarczając bohaterom genezy. Nawet postacie dziwne i nieoczywiste – jak główny bohater „The Bear" czy, na zupełnie innym biegunie, cała rodzina Royów z „Sukcesji" – prędzej czy później zostają sportretowane jako ludzie ukształtowani przez rodzinę, tragedie i przeszłość. Bywają to portrety wyrafinowane, a jednak sam gest tłumaczenia bohatera jego historią staje się czymś w rodzaju leitmotivu, niepisanej umowy z widzem, która zakłada, że każdą postać da się ostatecznie wyjaśnić. W ilu serialach i filmach częścią scenariusza jest dziś figura terapeuty? Jeśli nie poznajemy bohatera przez reminiscencje i rekonstrukcję historii rodzinnej, to podsuwa nam się jego autonarrację z gabinetu psychoterapeutycznego – tak jakby to była miara wejścia głębiej, dotarcia do jakiejś prawdy o nim.

Tymczasem „obcego" nie da się położyć na kozetce. Nie jesteśmy przejrzyści ani dla innych, ani dla samych siebie. A pragnienie pełnej jasności jest kuszącą iluzją.

GDY POWIEŚĆ CAMUSA się ukazała, Maurice Blanchot, zamiast analizować wnętrze bohatera, a także jego moralność, zwrócił uwagę na coś bardzo istotnego – Meursault nie jest obcy tylko ↦

eprasa.pl ed1902df8f

↦ dla społeczeństwa. Jak dopowiada Blanchot, jest na zewnątrz siebie, jego stosunek do siebie jest taki, jakby ktoś inny go widział i o nim mówił. Marie nie ma jasności, czy on ją kocha, ale wie, że jej pragnie. Jest uderzająco szczery i nawet w obliczu kary śmierci gotów jest mówić prawdę. Zapytany o przyczynę swojego czynu, wskazuje na słońce.

Jest społecznie niewygodny, bo odmawia gry w pewną grę. Luki, którą zostawia – dlaczego zabił, dlaczego odmawia – Camus nie wypełnia. Wypełnia ją prokurator. Lecz czy jedna interpretacja nie zamienia się w roszczenie do wiedzy o całym człowieku? Ta wiedza dziś często wykładana jest za pośrednictwem opowieści o emocjach i indywidualnej historii. Tylko to nijak nie rozjaśnia ani moralnego, ani egzystencjalnego wymiaru takich zdarzeń.

To, co Blanchot opisuje jako osobliwość bohatera – wnętrze, o którym nie wiadomo, czy w ogóle istnieje – można złagodzić, sięgając po hermeneutyki Paula Ricoeura, do tezy o każdym z nas: nie znamy siebie inaczej niż przez innego, nie wprost. Ricoeur nie podważa potrzeby opowieści, przeciwnie – pokazuje, jak głęboko nasze rozumienie siebie jest narracyjne. Zarazem nie jesteśmy jedynymi autorami swoich historii, one siłą rzeczy splatają się z historiami innych. A kiedy ich nie opowiadamy, przechwytują je właśnie inni. W przypadku Meursaulta opowieść prokuratora staje się aż nazbyt jednoznaczna i aż nazbyt spójna.

W naszych życiach prokurator nie jest rolą, ale funkcją, którą często pełnimy – wobec siebie samych i naszego otoczenia. Żądamy od samych siebie spójnej wersji własnego życia i pełnego wglądu, od innych wystarczającego uzasadnienia, motywu i wytłumaczenia. To bywa ważne i potrzebne, trudno sobie wyobrazić funkcjonowanie pośród innych bez tego wysiłku nadawania jakichś ram własnym działaniom. Ciekawi mnie raczej ten moralny gest, jakim jest życiowa opowieść, rodem z terapii, która staje się dowodem w sprawie. Czasem okolicznością łagodzącą, czasem właśnie najcięższym oskarżeniem.

W GABINECIE TERAPEUTYCZNYM coraz częściej szukamy nie tylko samorozumienia. Niekiedy szukamy usprawiedliwienia, rozgrzeszenia, albo odwrotnie – potępienia. Tymczasem, paradoksalnie, właśnie tego terapia nie oferuje. Zderza z niewygodą braku uzasadnienia dla każdego naszego ruchu, z pewną złożonością tego, kim jesteśmy jako ludzie i jak sprzeczne siły nami targają, i z tym, że inni są w tym względzie do nas podobni. Z jednej strony to zderzenie jest na antypodach ukojenia, z drugiej – jest uznaniem naszych ograniczeń i zwolnieniem z obowiązku umieszczenia sensu we wszystkim, co nas spotyka.

W internecie krąży mem, w którym Camus zapytany o to, czy uczęszcza na terapię, odpowiada: „jestem powodem, dla którego ludzie idą na terapię". Mnie śmieszy, bo zestawia dwa porządki – pragnienie samorozumienia i doświadczenie absurdu, na które samorozumienie nie jest żadnym lekarstwem.

Precyzją, ale też cichą skromnością formy Camus odmawia uczestnictwa w budowie spójnej wizji świata. Nie wciska w tamten świat sensu. I podobnie jak autor nie podaje nam klucza do wnętrza swojego bohatera, tak Ozon przywołuje dyskomfort absurdu życia i istnienia tylko poprzez wierne cytaty. Reżyser wyznał w jednym z wywiadów udzielonych wokół premiery, że konsultował z rozmaitymi psychoanalitykami potencjalną diagnozę Meursaulta. Słyszał o autyzmie, psychopatii albo o „seryjnym zabójcy" – co samo w sobie diagnozą nie jest. Ale czy to cokolwiek wyjaśnia? Czy wiedza o tym, jakie ma cechy osobowości, jak powstały, jakkolwiek zmienia złożoność sytuacji i konsternację, w jaką wrzuca nas jego czyn?

JAKŻE INACZEJ MYŚLAŁOBY SIĘ o tym filmie, gdyby nam podsunięto którąś z powyższych etykiet. To fascynujące, jak bardzo pragniemy uproszczenia, nawet jeśli to ograbia nas z widzenia złożoności i ambiwalencji wobec rzeczywistości. Zapominamy, że ostatecznie umysły innych – i często nasze własne – są dla nas dostępne tylko w ograniczonym stopniu. To nie czyni ani ich, ani nas mniej odpowiedzialnymi.

Ale jeszcze jedną formą odpowiedzialności może być zdolność do zatrzymania opowieści, która nie jest jedna i nie jest skończona. Czy rację miałby wówczas brytyjski psychoanalityk Adam Phillips, który w jednym ze swoich esejów pisze, że satysfakcja z rozumienia jest tym, czym czasem dajemy się zbyć, a konsternacja jest tym, co nas ożywia? Ozon zrobił dokładnie to: usłyszał trzy etykiety i po żadną nie sięgnął. Jego bohater pozostał, jak sam to ujął, *page blanche* – pustą kartą. To jest faktyczne zderzenie z dość radykalną obcością – brakiem dostępu do drugiego człowieka i absurdem istnienia.

Gdy okazało się, że nikt nie był chętny sfinansować pomysłu Ozona na inny film – o młodym Paryżaninie, który w poczuciu braku sensu postanawia targnąć się na życie – znajomy zasugerował, żeby odświeżył sobie dawną lekturę szkolną. Może Paryżanin ze scenariusza, którego Ozon ostatecznie nie zrealizował, jest figurą obcego naszych czasów – człowieka, który ma dostęp do nieskończenie wielu języków opisywania siebie, do rekonstrukcji każdego bólu, każdej traumy i każdej emocji, a mimo to wciąż pozostaje sam w obliczu wyzwania istnienia.

© CVETA DIMITROVA

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

- **GRUDZIĄDZ,** czwartek 17 września, godz. 17.00, Biblioteka Miejska (ul. Legionów 28). „Czy możemy mieć pozytywny mit, który połączy Polaków?" spotkanie z Danutą Kuroń i Mirosławem Wlekłym. Współorganizator: Biblioteka Miejska w Grudziądzu.
- **POZNAŃ,** poniedziałek 21 września, godz.18:00, Salonik u Wszystkich Świętych, przy parafii pw. Wszystkich Świętych, (ul. Grobla 1.) „Pretekst włoski – wybór wierszy". Spotkanie autorskie z ks. Alfredem Wierzbickim.
- **TRÓJMIASTO,** środa, 23 września, godz. 18.00, Oliwski Ratusz Kultury, (ul. Opata Jacka Rybińskiego 25), Gdańsk Oliwa. „Wszyscy w Róży byli zakochani", rozmowa o Róży Ostrowskiej. Rozmowa Eweliny Stefańskiej ze Sławiną Kosmulską i Andrzejem Facem. Spotkanie współfinansowane przez Urząd Miasta Gdańsk.

REZERWUJ CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

eprasa.pl ed1902df8f

REKLAMA

MELISANA
Klosterfrau
Original

Dostępna bez recepty.

200 *lat tradycji* w leczeniu:*

- BÓLU BRZUCHA I WZDĘĆ NA TLE NERWOWYM
- WSPOMAGAJĄCO PRZY OBJAWACH PRZEZIĘBIENIA I GRYPY
- POWYSIŁKOWEGO BÓLU MIĘŚNI
- TRUDNOŚCI Z ZASYPIANIEM



HISTORIA MELISANY

* Historia Melisany sięga 1815 roku i legendarnej bitwy pod Waterloo. To wtedy zakonnica Maria Clementine Martin opracowała recepturę na bazie leczniczych ziół, pomagającą żołnierzom w stanach napięcia i bólu. Jej preparat zyskał uznanie króla Prus i stał się podstawą kultowej formuły produkowanej nieprzerwanie do dziś.

MEL.2025.06.02.2

Melisana Klosterfrau Original, płyn doustny, płyn na skórę. Produkt złożony. Wskazania do stosowania: Stosowanie doustne: w stanach złego samopoczucia o podłożu psychosomatycznym z objawami nadmiernej wrażliwości na zmiany pogody, w celu ułatwiania zasypiania, w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha), wspomagająco jako produkt leczniczy zmniejszający odczuwanie objawów towarzyszących przeziębieniu i grypie. Stosowanie miejscowo, na skórę: do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobólach i powysiłkowych bólach mięśni. Podmiot odpowiedzialny MCM Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o.

Tradycyjny produkt leczniczy roślinny z określonymi wskazaniami wynikającymi wyłącznie z długotrwałego stosowania.

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania. Nie przekraczaj maksymalnej dawki leku. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

eprasa.pl ed1902df8f

TOMASZ

Stawiszyński: *Tekstowie*



To nie jest felieton. To jest manifest. Nie pisuję manifestów. Ale jestem przekonany, że wymaga tego sytuacja. Nie dlatego, że coś konkretnego już się wydarzyło. Ale dlatego, że wydarza się cały czas...

Tak mógłby zaczynać się niniejszy felieton, gdybym zlecił jego napisanie jakiemuś czatbotowi. Ten charakterystyczny, irytujący, generyczny styl. Krótkie zdania i akapity, powtarzająca się jak mantra konstrukcja „nie X, ale Y". I parę jeszcze obowiązkowych zabiegów stylistycznych. Od pewnego czasu roi się od nich w mediach społecznościowych. Nieustannie na nie trafiam, coraz częściej także w postach pisanych przez ludzi obdarzonych kapitałem kulturowym i znanym nazwiskiem.

Zawsze, kiedy widzę tego rodzaju „tekstowie" – przed laty usłyszałem to sformułowanie od koleżanki, Dominiki Szczechowicz, i bardzo mi się spodobało – zastanawiam się, czy osoba publikująca coś takiego pod własnym nazwiskiem naprawdę wierzy, że my wierzymy, że sama to napisała. Czy też może nie wierzy, ale liczy na to, że ten format prędzej czy później tak się spopularyzuje, że nastąpi sprzężenie zwrotne na podobieństwo tego, które amerykański historyk Brian Levack zdiagnozował ongiś przy okazji rosnącej popularności egzorcyzmów i opowieści o opętaniach. Mianowicie, że to już nie tylko czatboty będą imitować ludzki styl, ale i ludzie zaczną imitować czatboty. I wówczas, w zalewie tak powstałej „masy tekstowej" – to inne określenie Dominiki – znikną wszelkie różnice. Nikt już nie będzie w stanie ustalić, co pisał model językowy, a co człowiek.

Domykając dygresję: w przypadku egzorcyzmów Levack prześledził zjawisko następujące. Najpierw to kultura popularna czerpała z biblijnej i teologicznej tradycji opisywania demonicznych nawiedzeń, ale w XX wieku sytuacja się odwróciła i sami egzorcyści zaczęli się w swoich relacjach posługiwać figurami rodem z kinematografii czy powieści grozy. Momentem przełomowym był oczywiście film „Egzorcysta" w reżyserii Williama Friedkina. Istotnie, lektura książek, dajmy na to, Gabriele Amortha pozwala stwierdzić takie podobieństwa. Ale jest to, jako się rzekło, dygresja, może kiedyś do niej wrócę.

W każdym razie dla każdego, kto ceni styl, bogactwo i różnorodność ludzkich sposobów ekspresji, wizja, że zostaniemy zalani aseptyczną i bezosobową masą tekstową, faktycznie przypomina horror. Zwłaszcza że proces wyraźnie przyspiesza. I nie chodzi wcale o moje motywowane egoistycznie obawy, że sztuczna inteligencja wyprze pisarzy, felietonistów czy eseistów. Mówiąc szczerze, wątpię, a nawet przypuszczam, że wartość swoiście brzmiących zdań stworzonych przez niemaszynowe umysły tylko wzrośnie. A im więcej dookoła rozpleni się generycznych prefabrykatów, tym bardziej się te prawdziwe teksty będą na ich tle wybijać na korzyść. Niemniej, może się okazać, że po ludzku napisany kawałek stanie się zarazem produktem wysoce niszowym. Co nie tylko zmniejszy nań ogólny popyt, ale i bez wątpienia zintensyfikuje – i tak pokaźny – spadek naszych możliwości poznawczych. W tym umiejętności rozumienia abstrakcji, ironii, złożonych zjawisk czy w ogóle krytycznego myślenia. I jeszcze bardziej ułatwi supremację tej okropnej nowomowie, od której nie będziemy się już w stanie uwolnić.

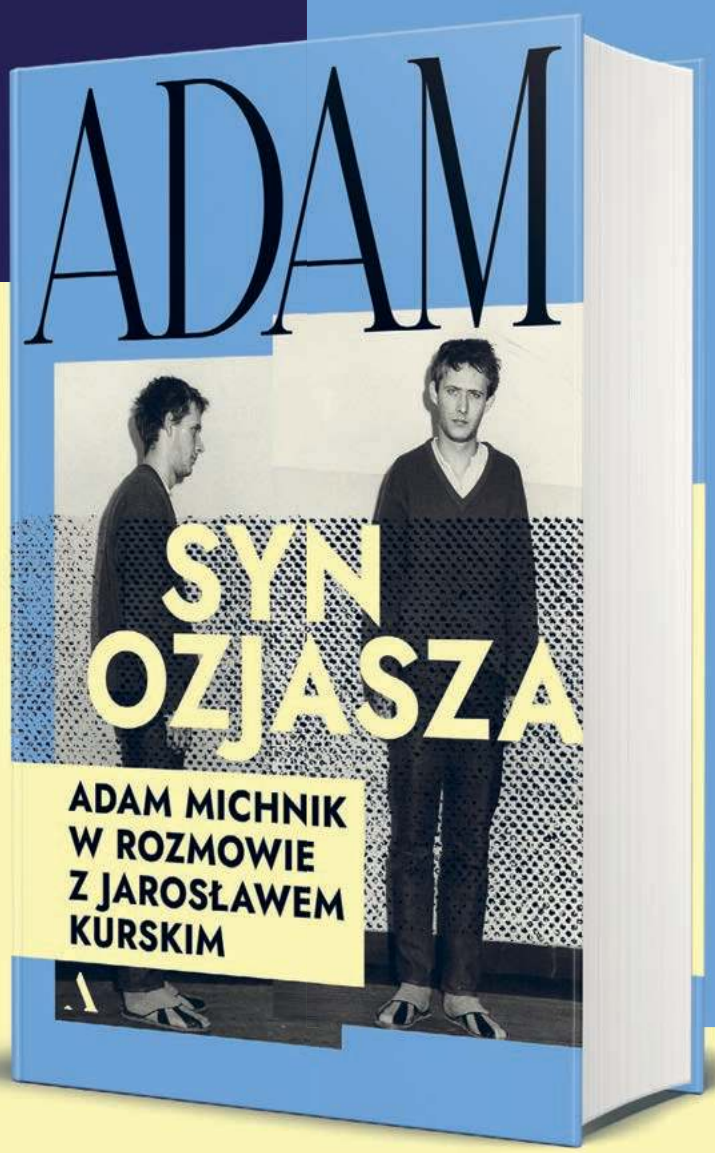
Nie jestem pewien, czy da się to w ogóle powstrzymać albo chociaż spowolnić, skoro znaczna część dzisiejszej komunikacji odbywa się za pośrednictwem mediów społecznościowych (o ich zgubnych skutkach piszę z przodu numeru). Z drugiej strony słyszałem kiedyś hipotezę, że – przynajmniej na początku – taka kolonizacja przez duże modele językowe może odrobinę zmniejszyć stężenie agresji, nienawiści, pogardy i rechotu, które zdają się na owych platformach dominować. Jak na razie czatboty są bowiem znacznie bardziej kulturalne niż większość wzmożonych komentujących. Spodziewam się jednak, że prędzej czy później pojawią się narzędzia AI, które będą przyłączać się do wirtualnych nagonek oraz je samodzielnie rozkręcać. Niewykluczone więc, że za jakiś czas – co może w sumie też jest pocieszające, choć surrealistyczne – w mediach społecznościowych nie będzie już w sensie ścisłym żadnej „społeczności", lecz jedynie wzajemnie się obrzucające obelgami, kancelujące i linczujące czatboty.

Ale tylko pod warunkiem, że ktoś będzie mógł na tym zarobić, rzecz jasna. Charakterystyczną cechą (nie tylko wirtualnego) kapitalizmu jest wszak jego niebywała zdolność do monetyzacji dowolnego stanu rzeczy. I tak, moją bezpośrednią inspiracją, żeby zwrócić uwagę na pleniące się wszędzie wyroby tekstopodobne, była reklama, na którą natrafiłem. „Publikujesz tekst, który miał brzmieć jak Ty. Po trzech zdaniach wszyscy wiedzą, że pisał go [tu nazwa popularnego czatbota – przyp. TS]" – głosił biały napis na czarnym tle. „Brawo! Jak to ma budzić zaufanie? Niby wszystko jest poprawnie, ale nie ma w tym Twojego rytmu, słów ani charakteru (...) Ten krótki pdf pokaże ci, jak nauczyć [czatbota – przyp. TS] Twojego języka, żeby pierwszy draft od razu nadawał się do użycia".

Od komentarza się powstrzymam, ale zostawię was z pytaniem. Jak myślicie, czy powyższą reklamę napisał czatbot, czy może żywy copywriter? A jeśli czatbot, to czy został wcześniej przez copywritera wytrenowany wedle reguł z tego „krótkiego pdf-a", czy może poradził sobie bez tej drogocennej wiedzy? ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl ed1902df8f



Porywająca, niezwykle ważna i konieczna książka, jeśli się chce zrozumieć decyzje, wybory i rozdarcia Adama Michnika.

JOANNA KUCIEL-FRYDRYSZAK

Adam Michnik daje *przejmujące świadectwo* przeciw totalitaryzmowi, którego mechanizmy mutują i wciąż się odradzają. *Ta książka to intymny zapis* także i jego ewolucji. Polecam.

ANNE APPLEBAUM

Fascynująca opowieść o Polsce, jej historii, kulturze i ideach. Rozmowy prowadzone wokół postaci ważnych dla biografii Adama Michnika tworzą uporządkowaną, wielowymiarową narrację o polskim losie, polskiej tradycji, opozycji i narodzinach wolności. Wyłania się z nich *wielobarwny portret intelektualny* Michnika.

PROF. ANDRZEJ FRISZKE

REKLAMA

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora

eprasa.pl ed1902df8f

FESTIWAL ŁÓDŹ WIELU KULTUR 2026

MUZYKA TANIEC PERFORMANCE FILM TEATR SZTUKI WIZUALNE SPOTKANIA



DATY FESTIWALOWE:

WRZESIEŃ	17-20.09 długi weekend festiwalowy 22-27.09 tydzień z kulturą Głuchych
PAŹDZIERNIK	15-17.10
LISTOPAD	5-10.11, 14-15.11

wejdź do świata festiwalu

@LODZWIELUKULTUR
LODZWIELUKULTUR.PL

Organizator:
CENTRUM DIALOGU im. Marka Edelmana w Łodzi

Finansowanie:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Narodowy Instytut Muzyki i Tańca
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.
Zadanie jest współfinansowane z dotacji Miasta Łodzi.

Patronat honorowy:
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego
PREZYDENT MIASTA ŁODZI HANNA ZDANOWSKA

Patronat medialny:
TVP KULTURA

Mecenasi:
FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCH ZUSAMMENARBEIT
VEOLIA
FUZJA

Partnerzy:
Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi
20 OSH
Akademia Muzyczna im. Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów w Łodzi
Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi

REKLAMA
ANO ROKU BRAZYLII
IGR
Ambasada Republiki Federalnej Niemiec Warszawa
TEATRO VILA VELHA
teatr szwalnia
Miejska Galeria Sztuki
galeria czynna
Polski Związek Głuchych
MM MIEJ MIEJSCE
tme półówka
biletomat PLC

eprasa.pl ed1902df8f